

# SŁOWO KTÓRE PRZENIKA

EWANGELIA  
DLA KAŻDEGO

SŁOWO KTÓRE  
PRZENIKA



ks. Andrzej Draguła

# SŁOWO KTÓRE PRZENIKA

EWANGELIA  
DLA KAŻDEGO

© Wydawnictwo WAM, 2018

Opieka redakcyjna: Kama Hawryszków

Redakcja: Ewa Buczek

Korekta: Katarzyna Stokłosa, Dariusz Godoś

Projekt okładki: Bogna Hamryszczak-Głowacz

Skład: Anna Krawiec

NIHIL OBSTAT

Prowincja Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego

ks. Jakub Kołacz SJ, prowincjał

Kraków, dn. 4 stycznia 2018 r., l.dz. 21/2018

ISBN 978-83-277-0878-6

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)

[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

Druk: Drukarnia WYDAWNICZA • Kraków

## Proroctwo Jego zgonu już się w świecie szerzy...

W owym czasie wyszło rozporządzenie cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym świecie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz. Podążali więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna. Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Powiła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie.

W tej samej okolicy przebywali w polu pasterze i trzymali straż nocną nad swoją trzodą. Wtem stanął przy nich anioł Pański i chwała Pańska zewsząd ich oświeciła, tak że bardzo się przestraszyli. I rzekł do nich anioł: „Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu: dziś bowiem w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan. A to będzie znakiem dla was: Znajdziecie Niemowlę owinięte w pieluszki i leżące w żłobie”. I nagle przyłączyło się do anioła mnóstwo zastępów niebieskich, które wielbiły Boga słowami: „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom, w których sobie upodobał” (Łk 2,1–14).

Nie bez przyczyny Jezus rodzi się w czasie, gdy „wyszło rozporządzenie cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym świecie” (Łk 2,1). Józef, który udał się do Betlejem po to właśnie, „żeby się dać zapisać” (Łk 2,5), zapewne urzędnikom Cezara Augusta podał nie tylko imię małżonki, ale także imię syna – Jezusa, syna Józefa, syna Jakuba, syna Dawida, syna Abrahama (por. Mt 1,1–16), choć oczywiście żaden z Ewangelistów nie wspomina o tym szczególe, a samo nadanie imienia, „którym Je nazwał anioł, zanim się poczęło w łonie [Matki]”, nastąpiło dopiero „gdy nadszedł dzień ósmy i należało obrzezać Dziecię” (Łk 2,21).

Ta okoliczność narodzin jest bardzo znamienita. Można powiedzieć, że jest urzędowym potwierdzeniem ludzkich narodzin Boga. Bóg wybrał ten moment, by zostać policzonym wśród ludzi. A może inaczej: posłużył się cezarem Augustem – jak niegdyś Cyrusem, swoim pomazańcem (Iz 45,1) – by przyjście Boga zostawiło ludzki ślad w postaci zapisu w spisie powszechnym.

Sugestia o Jezusie jako o Bogu „policzonym między ludzi” natychmiast przywodzi na myśl prorocstwo Izajasza o Słudze Jahwe, który „policzony został pomiędzy przestępców” (Iz 53,12). Do tego proroctwa nawiązą także Ewangeliści. Marek jego wypełnienie będzie widział w ukrzyżowaniu „razem z Nim [...] dwóch złoczyńców, jednego po prawej, drugiego po lewej Jego stronie” (Mk 15,27). „Tak wypełniło się słowo Pisma” (Mk 15,28) – konkluduje Ewangelista. U Łukasza sam Jezus wspomina o konieczności wypełnienia się proroctwa Izajasza: „to, co jest napisane, musi się spełnić na Mnie” (Łk 22,37).

„Policzony między ludzi” oraz „policzony między przestępców” to wyrażenia synonimiczne. Przecież od grzechu Adama jesteśmy przestępcami. W imieniu całej ludzkości – choć pewno o tym nie wiedział – wyraził to jeden z tych, którzy obok Niego zawisną: „My przecież – sprawiedliwie, odbieramy bowiem słuszną karę za nasze uczynki, ale On nic złego nie uczynił” (Łk 23,41). Obok Niego zawiśnie nie tylko dwóch ludzi, ale cała ludzkość – wszyscy, którzy dali się i dadzą się kiedykolwiek zapisać z imienia potwierdzającego ich człowieczeństwo.

To właśnie tam będzie orędownął za przestępcami (por. Iz 53,12). A oni nieustannie przyjmować będą Jego orędownictwo bądź je odrzucać.

Ale „policzony między przestępcami” to także „wzięty za przestępcę”. Autor Listu do Hebrajczyków powie, że Jezus jest doświadczony „pod każdym względem podobnie [jak my] – z wyjątkiem grzechu” (Hbr 4,15). To podobieństwo osiągnie swój szczyt właśnie w tej chwili – gdy zostanie wzięty za przestępcę, to znaczy za jednego z nas.

Dopóki się to nie stanie, podobieństwo objawia się w ciele, by nie powiedzieć – w fizjologii, bo przecież „owinęła Go w pieluszki” (Łk 2,7), jak to się robi z każdym niemowlęciem. Tymczasem przychodzi dla wielu niepoznawalnie – jako bezdomny, „gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie” (Łk 2,7), przychodzi jakby nigdzie, bo w mieście, o którym śpiewamy, że „nie bardzo podłe” – to znaczy, że przecież podłe. Przychodzi „z wnętrza podejrzanego nieco, peryferyjnego Galilei”<sup>1</sup>. Przychodzi jako jeszcze jeden mieszkaniec ziemi, równie anonimowo jak ten, dzięki któremu liczba ludzi przekroczyła ostatnio siedem miliardów<sup>2</sup>. Przychodzi – tak naprawdę – niezauważalnie dla świata. Ale nadejdzie moment, gdy świat Go zauważy, gdyż „proroctwo Jego zgonu już się w świecie szerzy”. Świat Go zauważy wtedy, gdy zaliczą Go już nie tylko między ludzi, ale także między przestępców. Gdy upodobni się do nas nie tylko w narodzinach, lecz także w śmierci. Już teraz czekamy z nadzieją na ten moment.

24 GRUDNIA 2011

<sup>1</sup> G. Strzelczyk, *Po co zbawienie? Po co Kościół?*, w: Z. Nosowski (red.), *Wielkie tematy teologii*, Warszawa b.r.w., s. 26.

<sup>2</sup> Jako umowną datę osiągnięcia przez ludność świata liczby siedmiu miliardów Fundusz Ludnościowy Narodów Zjednoczonych (United Nations Population Fund, UNFPA) przyjął 31.10.2011 r.



## O inicjałach Samarytanina

A oto powstał jakiś uczony w Prawie i wystawiając Go na próbę, zapytał: „Nauczycielu, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?” Jezus mu odpowiedział: „Co jest napisane w Prawie? Jak czytasz?” On rzekł: „Będziesz miłował Pana, Boga swego, całym swoim sercem, całą swoją duszą, całą swoją mocą i całym swoim umysłem; a swego bliźniego jak siebie samego”. Jezus rzekł do niego: „Dobrze odpowiedziałeś. To czyn, a będziesz żył”. Lecz on, chcąc się usprawiedliwić, zapytał Jezusa: „A kto jest moim bliźnim?”

Jezus, nawiązując do tego, rzekł: „Pewien człowiek schodził z Jeruzalem do Jerycha i wpadł w ręce zbójców. Ci nie tylko go obdarli, lecz jeszcze rany mu zadali i zostawiwszy na pół umarłego, odeszli. Przypadkiem przechodził tą drogą pewien kapłan; zobaczył go i minął. Tak samo lewita, gdy przyszedł na to miejsce i zobaczył go, minął. Pewien zaś Samarytanin, wędrując, przyszedł również na to miejsce. Gdy go zobaczył, wzruszył się głęboko: podszedł do niego i opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem; potem wsadził go na swoje bydlę, zawiązał do gospody i pielęgnował go. Następnego zaś dnia wyjął dwa denary, dał go gospodarzowi i rzekł: «Miej o nim staranie, a jeśli co więcej wydasz, ja oddam tobie, gdy będę wracał». Kto z tych trzech okazał się według ciebie bliźnim tego, który wpadł w ręce zbójców?” On odpowiedział: „Ten, który mu okazał miłosierdzie”. Jezus mu rzekł: „Idź i ty czyn podobnie!” (Łk 10,25–37).

Dzisiaj czytanie o Samarytaninie – o tym gorszym i wykluczonym, co to okazał się lepszy od „kapłana i sługi ołtarza”, którzy „popadli w hipokryzję” – jak to przed kilkoma dniami określił papież Franciszek<sup>1</sup>. To w gruncie rzeczy straszne, że tak bardzo skupili swój wzrok na drodze i na wyglądanu świątyni na horyzoncie, że nie dostrzegli człowieka na poboczu. Teraz trzeba tę Ewangelię odnieść do współczesności, jak każe homiletyka.

Przestrzegałbym tylko przed łatwymi aktualizacjami. Że ten Samarytanin to pewno ks. W.L., a pełen hipokryzji kapłan to abp H.H. A może jeszcze inaczej: że ks. W.L. to ten pobity, zbójcy noszą inicjały pewnego arcybiskupa, a w Samarytanina wcielili się życzliwi dziennikarze, co niby z miłosierdziem i na swoich ramionach... Ksiądz Artur Stopka po lekturze porannej prasy dodał w swoim komentarzu na Facebooku: „Można też tak, że zbójcy to dziennikarze i niektórzy politycy, napadnięty i pobity – pewien hierarcha, a obojętny (skupiony na sobie) – jeden medialny proboszcz”. Można, ale obawiam się, że rzeczywistość jest bardziej skomplikowana<sup>2</sup>.

„Jeśli napadnięty jest obrazem człowieka, wtedy Samarytanin może być tylko obrazem Jezusa. Bóg – obcy nam i daleki – wyruszył w drogę, by zająć się swym rozbitym stworzeniem. Bóg daleki stał się nam bliski w Jezusie Chrystusie” – mówi papież Benedykt XVI<sup>3</sup>. I niech tak zostanie. To jedyne rozwiązanie tego równania metodą „przez podstawianie”, jakie jest właściwe. Hipokryzję zostawmy nam wszystkim. I nam wszystkim zbrojstwo. To z tego powinniśmy się wszyscy nawracać, by Samarytanin mógł nosić także nasze inicjały.

„Musimy podjąć wysiłek zdobywania na nowo odwagi bycia dobrym. Okaże się to możliwe, jeśli sami staniemy się wewnętrznie «dobrzy»”

<sup>1</sup> Franciszek, Homilia wygłoszona na wyspie Lampedusa, 8.07.2013 r.

<sup>2</sup> W lipcu 2013 r. nasilił się konflikt między ks. Wojciechem Lemańskim a abp. Henrykiem Hoserem, który odwołał go z funkcji proboszcza parafii w Jasienicy. Opinia publiczna, w tym prasa, była bardzo spolaryzowana w ocenie postępowania obu stron konfliktu.

<sup>3</sup> J. Ratzinger / Benedykt XVI, *Jezus z Nazaretu*, cz. 1: *Od chrztu w Jordanie do Przemienienia*, tłum. W. Szymona, Kraków 2007, s. 173.

– raz jeszcze Benedykt<sup>4</sup>. Ale nie stanie się to nigdy, jeśli będziemy żyć w przekonaniu, że Lampedusa jest zawsze „gdzie indziej”. I jeśli z takim samym przekonaniem będziemy szli do ołtarza i od niego wracali. I kapłani, i słudzy ołtarza wszelacy, po tej i tamtej jego stronie. Do kitu taka pobożność, bo – jak pisał ks. Jan Twardowski – „I to wszystko psu na budę / bez miłości”<sup>5</sup>.

14 LIPCA 2013

<sup>4</sup> Tamże, s. 172.

<sup>5</sup> J. Twardowski, *Miłość [czystość ciała...]*, w: tegoż, *Nie przyszedłem pana nawracać. Wiersze 1937–1958*, Warszawa 1986, s. 358.

## Pamięć Maryi. Na Nowy Rok...

[Pasterze] udali się też pośpiesznie i znaleźli Maryję, Józefa oraz leżące w żłobie Niemowlę. Gdy Je ujrzeli, opowiedzieli, co im zostało objawione o tym Dziecięciu. A wszyscy, którzy to słyszeli, zdumieni się tym, co im pasterze opowiedzieli. Lecz Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu. A pasterze wrócili, wielbiąc i wysławiając Boga za wszystko, co słyszeli i widzieli, jak im to zostało przedtem powiedziane. Gdy nadszedł dzień ósmy i należało obrzezać dziecię, nadano Mu imię Jezus, którym Je nazwał Anioł, zanim się poczęło w łonie Matki (Łk 2,16–21).

Święty Łukasz pisze, że Maryja „zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu” (Łk 2,19). Jedną z tych spraw było zapewne obrzezanie Jezusa, które dokonało się zgodnie z tradycją żydowską ósmego dnia. Przyjdzie czas, gdy przypomni sobie o tym pierwszym wylaniu krwi Jezusa.

Podobnej formuły dotyczącej „pamięci Maryi” św. Łukasz używa dwa razy. Pierwszy raz po wizycie pasterzy: „Lecz Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu” (Łk 2,19). Po raz wtóry po odnalezieniu dwunastoletniego Jezusa w świątyni i powrocie do Nazaretu: „A Matka Jego chowała wiernie wszystkie te sprawy w swym sercu” (Łk 2,51). Hans Urs von Balthasar wskazuje

na odrębność, a zarazem komplementarność tych dwóch procesów: zachowywania i rozważania. Zachowywanie „czyni z jej serca i pamięci jakby szkatułkę kosztowności”<sup>1</sup>. „Maria ma dość miejsca – pisze von Balthasar – by przechować w sobie wszystkie Boże słowa: te, które anioł wypowiedział do niej, następnie te, które wyrzekł do pasterzy opowiadających, co im zostało objawione o Dziecięciu”. Podobnie jest ze słowami, które Jezus skierował w świątyni do swoich rodziców: „Maria zachowa [...] także niezrozumiane słowa dwunastoletniego Jezusa i będzie je wszechstronnie rozważać”<sup>2</sup>.

Drugi proces to właśnie rozważanie słów i spraw, „rozważanie, które w przeciwieństwie do odłożenia wskazuje na coś, co jest aktualne i co porusza, co jest stale żywe”. Maryja „żyje w wierze, która jest czymś wzrastającym, która szukając, może wiele znaleźć, choć nie przeniknie do końca wszystkiego”. Szwajcarski teolog podkreśla dynamizm wiary Maryi, która nie jest czymś statycznym, czymś danym jednorazowo i na stałe, lecz procesem, rozwojem, wzrastaniem. „Kiedy nadejdzie moment – kontynuuje von Balthasar – że szkatułka Maryi zostanie otwarta albo sama się otworzy, nie znajdzie się w niej nic zbutwiełego, lecz jedynie rzeczy, które dzięki stałemu ruchowi są tak świeże, jak były w dniu złożenia ich tam”<sup>3</sup>. A były tam najpierw te wspomnienia i sprawy, które złożyła Maryja od chwili Zwiastowania, poprzez dramatyczne Narodziny, aż po zamieszkanie w Nazarecie z Jezusem wkraczającym pomału w wiek młodzieńczy. Było w tej szkatułce serca zapewne także wspomnienie obrzezania.

Ojcowie Kościoła i późniejsi teologowie poświęcali obrzezaniu Jezusa dużo miejsca. Widziano w tym wydarzeniu nie tylko wypełnienie Prawa Mojżeszowego, ale także – prócz innych sensów – zapowiedź Męki oraz pierwsze wylanie krwi zbawienia. W dziele *Rozmyślenia o życiu Chrystusa* autorstwa Pseudo-Bonawentury – średniowiecznym

<sup>1</sup> H.U. von Balthasar, *Ty masz słowa życia wiecznego*, tłum. J. Zychowicz, Kraków 2000, s. 103.

<sup>2</sup> Tamże, s. 104.

<sup>3</sup> Tamże, s. 103-105.

bestsellerze sprzed 1300 r. – czytamy: „Dziś nasz Pan Jezus Chrystus przełał za nas swą uświęconą krew. Od samego początku Ten, który jest bez grzechu, cierpiał za nas ból i za nasze grzechy znosił mękę”<sup>4</sup>. W innym, równie popularnym dziele średniowiecznym, którym była *Złota legenda* Jakuba z Voragine, ułożona pod koniec XIV wieku, czytamy z kolei: „Tego dnia [Jezus] zaczął przelewać za nas swą krew [...] i to był początek naszego odkupienia”<sup>5</sup>. Krew wylana w trakcie obrzezania dała początek kolejnym krwawieniom: podczas modlitwy w Ogrójcu, biczowania, ukrzyżowania, aż do przebicia włócznią. W teologicznej świadomości średniowiecza pierwsza i ostatnia rana stanowią graniczne momenty całego procesu wylewania zbawczej krwi. Choć dla współczesnego odbiorcy brzmieć może to szokująco, w tej teologicznej optyce przynoszące zbawienie męczeństwo Chrystusa, którego kresem jest krew płynąca z przebitego serca, ma swój początek we krwi obrzezania. Milton w sonecie *Upon circumcision* z roku 1634 o kamiennym nożu służącym do obrzezania powie, że „ten nóż może być preludium włóczni”<sup>6</sup>.

Dla Maryi obrzezanie Jezusa było wypełnieniem Prawa Mojżeszowego, czymś koniecznym i właściwym. To jeszcze nie tego dnia zostanie jej zapowiedziana Jej własna męka. Stanie się to jednak już niedługo, gdy przyniosą Jezusa do świątyni, by Go ofiarować Bogu, a miną już dni rytualnej nieczystości wynikającej z porodu. To wtedy starzec Symeon wygłosi prorocstwo: „A Twoją duszę miecz przeniknie” (Łk 2,35). Zapewne i te niepokojące słowa zostaną ukryte w szkatułce serca i wiele razy będą przywoływane i rozważane. Czas na ich zrozumienie – a może raczej: wypełnienie – przyjdzie podczas Męki Syna, gdy Maryja stanie pod Jego krzyżem. Wtedy to – niczym kłamrą – Jej słowa wypowiedziane Bogu wobec Anioła: „Oto ja służebnica” (Łk 1,38) zostaną dopełnione Jego proklamacją: „Oto Matka” (J 19,27).

<sup>4</sup> Cyt. za: L. Steinberg, *Seksualność Chrystusa. Zapomniany temat sztuki renesansowej*, tłum. M. Salwa, Kraków 2013, s. 62.

<sup>5</sup> Cyt. za: tamże.

<sup>6</sup> Cyt. za: tamże, s. 66.

Pieśń pasyjna mówi, że „w jasełkach leżąc, gdy płakał, już tam był wszystko oglądał”. To prorocze widzenie przyszłości przypisywane Dzieciątku dopełnia się retrospekcją Maryi: „Maryja Matka patrzała na członki, co powijała, powijając, całowała, z tego wielką radość miała”. Trzymając ciało Syna zdjęte z krzyża, przypomina sobie przede wszystkim dni spędzone w radości. Ale czy mogła sobie w tej chwili nie przypomnieć pierwszego bólu Jezusa i Jego pierwszej krwi – krwi obrzezania? Ten miecz, który teraz ostatecznie przenika Jej duszę, wymierzony został w Nią od dnia Zwiastowania, inicjując kolejne boleści. Ikonografia chrześcijańska na wiele sposobów wiąże Narodzenie ze Śmiercią, Matkę Narodzonego z Matką Umarłego. Najpiękniejszym motywem jest moim zdaniem dwojake potraktowanie *velum* – welonu, chusty Matki Bożej, tej chusty, o której śpiewamy w kolędzie, że „rąbek z głowy zdjęła”. Ta sama chusta pełni bowiem często także funkcję przepaski do okrycia nagości Jezusa zdjętego z krzyża. Przywoływany już Pseudo-Bonawentura pisał, że Maryja „zawstydzona i zasmucona ponad miarę, kiedy widzi Go całkiem nagiego, ponieważ nie zostawili Mu nawet Jego przepaski, spiesźnie podchodzi do Syna, obejmuje Go i okrywa zdjętą z głowy chustą”<sup>7</sup>. Ta sama nagość, ta sama zasłona. Emblemata pamięci.

Gdy dzisiaj, w Nowy Rok, rozpoczynamy nowy rozdział w naszym życiu, może dobrze byłoby „uruchomić” w sobie maryjny mechanizm zachowywania i rozważania słów, spraw i wspomnień. Żadna chwila nie jest bowiem oderwana od historii zbawienia, a każde wydarzenie ma w oczach Boga swoje preludium i jakiś ciąg dalszy. Lektura Biblii pokazuje nam dokładnie, że Bóg widzi czas w organicznej całości, która składa się w sens. Obyśmy w Nowym Roku potrafili tak patrzeć na wydarzenia i tak słuchać słów, jak czyniła to Maryja. A gdy przyjdzie chwila, otworzymy szkatułkę serca (albo sama się ona otworzy), a znajdziemy tym żywe i świeże Słowo, które wciąż stawać się będzie ciałem. PS. We współczesnej liturgii obrzezanie Jezusa nie jest czczone żadnym osobnym świętem czy wspomnieniem. Do reformy kalendarza

<sup>7</sup> Cyt. za: tamże, s. 66.

w roku 1961 wydarzenie to miało swoje święto (II klasy), które obchodzone było 1 stycznia, na zakończenie Oktawy Bożego Narodzenia. Liturgicznie wydarzenia tego nie łączono z nadaniem imienia Jezus, gdyż święto Najświętszego Imienia Jezus obchodzono osobno w niedzielę pomiędzy Oktawą Bożego Narodzenia a Objawieniem Pańskim albo w przypadku, gdy w tych dniach nie przypada niedziela, 2 stycznia (też II klasy). Obecny kalendarz przypisał nadaniu imienia Jezus jedynie rangę wspomnienia dowolnego i przeniósł je na dzień 3 stycznia. Co ciekawe, Ewangelia na ten dzień mówi o świadectwie Jana Chrzciciela o Jezusie, a o nadaniu imienia czytamy w Uroczystość Bożej Rodzicielki, czyli 1 stycznia. Dla całości obrazu trzeba dodać, że teksty liturgiczne – prócz perykopy Ewangelii – przeznaczone w formie nadzwyczajnej rytu rzymskiego też nic o obrzezaniu nie mówią, koncentrując się jedynie na macierzyństwie Maryi.

1 STYCZNIA 2014



## Metamorfozy Boga i nasze

Jezus wziął z sobą Piotra, Jakuba oraz brata jego, Jana, i zaprowadził ich na górę wysoką, osobno. Tam przemienił się wobec nich: twarz Jego za-jaśniała jak słońce, odzienie zaś stało się białe jak światło. A oto ukazali się im Mojżesz i Eliasz, rozmawiający z Nim. Wtedy Piotr rzekł do Jezusa: „Panie, dobrze, że tu jesteśmy; jeśli chcesz, postawię tu trzy namioty: jeden dla Ciebie, jeden dla Mojżesza i jeden dla Eliasza”. Gdy on jeszcze mówił, oto obłok świetlany osłonił ich, a z obłoku odezwał się głos: „To jest mój Syn umiłowany, w którym mam upodobanie, Jego słuchajcie!” Uczniowie, słysząc to, upadli na twarz i bardzo się zlékli. A Jezus zbliżył się do nich, dotknął ich i rzekł: „Wstańcie, nie lękajcie się!” Gdy podnieśli oczy, nikogo nie widzieli, tylko samego Jezusa.

A gdy schodzili z góry, Jezus przykazał im, mówiąc: „Nie opowiadajcie nikomu o tym widzeniu, aż Syn Człowieczy zmartwychwstanie” (Mt 17,1–9).

Dzisiejsza Ewangelia w pewnym sensie się powtórzy. Stanie się to „pierwszego dnia tygodnia”, po południu, gdy dwaj uczniowie będą zmierzać z Jerozolimy do Emaus, a zbliży się do nich Nieznajomy (Łk 24,13–35). Wtedy też Jezus powoła na świadków Prawo i Proroków. Wtedy też ukaże się im „w innej postaci” (Mk 16,12). Między tymi dwoma wydarzeniami – Taborem i Emaus – dokona się Jerozolima z Kalwarią.

Na opisanie tego, co się wydarzyło na górze Tabor, św. Marek (Mk 9,2) użył trzeciej osoby liczby pojedynczej czasu przeszłego (aoryst) strony biernej czasownika *metamorphoō*, tzn. „przemieniać się, zmieniać formę”, co należałoby przetłumaczyć jako „został przemieniony”. Czasownik ten – co oczywiste – spokrewniony jest z rzeczownikiem *morphē* (postać). Marek użyje go, pisząc o dwóch uczniach, którzy zmierzali ku wsi i którym podczas drogi ukazał się Jezus „w innej postaci” – *en hetera morphē*. Tu i tam dokonało się – choć w różny sposób – przemienienie.

Święty Leon Wielki w kazaniu 51, które znamy z dzisiejszej godziny czytań, pisze, że Jezus ukazał swoją chwałę, a „postać cielesną, którą dzielił z innymi, rozjaśnił [...] blaskiem”. Jezus chce przez to „z serc uczniów usunąć zgorszenie krzyża”<sup>1</sup>, aby doświadczenie Jego męki nie zachwiało ich wiarą. Właśnie dlatego przemienia się wobec nich, ukazując im swoją postać w chwale, ową przyszłą paschalną „formę”. Właśnie w takiej „innej postaci” Jezus ukaże się uczniom zmierzającym do Emaus, czego oni najpierw nie będą umieli rozpoznać, bo oczy ich będą „niejako na uwięzi” (Łk 24,16), niezdolne do ujżenia Chrystusa w Nieznajomym. Dlaczego tak się stanie? Filtr wspomnień, w których będzie dominował obraz Jezusa z ostatnich dni Jego życia, wizerunek ukrzyżowanego, skutecznie nie będzie im pozwalał w Nieznajomym rozpoznać Zmartwychwstałego. Dopiero sam Jezus otworzy im oczy.

Dzisiejsza kolekta to prośba do Boga: „ożywiaj naszą wiarę swoim słowem, abyśmy odzyskawszy czystość duszy, mogli się cieszyć oglądaniem Twojej chwały”. To właśnie dokona się w drodze do Emaus. Najpierw Jezus będzie swoim słowem otwierał uczniom Pisma, co następnie zaowocuje otwarciem ich oczu i rozpoznaniem Go przy stole. Oczy duszy oczyszcza i otwiera jedynie słowo samego Boga, któremu dajemy wiarę. To jest także zadanie na Wielki Post: wejść na Górę Przemienienia, gdzie Jezus rozmawia z Eliaszem i Mojżeszem, oświecając tym samym wszystko to, co w Prawie i Prorokach odnosiło się do Niego

<sup>1</sup> Św. Leon Wielki, Kazanie 51.

– podobnie jak to zrobił w drodze do Emaus. Anna Świderkówna podkreśla, że Jezus Zmartwychwstały nie ukaze się żadnemu poganinowi ani też nikomu z Sanhedrynu. Gdyby nawet Piłat czy Kajfasz pojawili się wieczorem „dnia trzeciego” w Wieczerniku, i tak nie rozpoznaliby Pana, skoro bowiem ich serca nie dały wiary Słowu, ich oczy nie rozpoznałyby Zmartwychwstałego<sup>2</sup>.

Ale dzisiejsza Ewangelia mówi jeszcze coś o Kościele. Święty Leon Wielki przypomina, że także Ciało Chrystusowe, którym jest Kościół, „zostało obdarowane mocą przemiany”<sup>3</sup>. Wydarzenie Taboru i wydarzenie Emaus uczą nas gotowości do nieustannego rozpoznawania na nowo Kościoła, który wciąż musi się ukazywać *en hetera morphē* – w innej postaci. Kościół jako Ciało Chrystusowe musi nieustannie odkrywać swoją postać paschalną, nową, odmienioną, abyśmy nie poprzestali na tym, co przeszłe i minione. I abyśmy nie popełnili tego błędu, który czyhał na Jezusowych uczniów. Rozpoznanie Jezusa paschalnego jest możliwe pod warunkiem wewnętrznej otwartości na spotkanie Jezusa „w innej postaci”, tzn. przy założeniu, że Jezus może być jeszcze „inny” niż taki, jakim uczniowie Go poznali. „Najbliższym Mu zresztą groziło jeszcze inne niebezpieczeństwo. Łatwo mogli szukać spotkania z takim Jezusem, jakiego dotychczas znali, mogli chcieć Go zatrzymać przy sobie, w swoim własnym ciasnym światku, uznać, że po prostu powrócił do nich, i pragnąć, żeby znów było wszystko jak dawniej. [...] Trudno było pogodzić się z faktem, że ten Jezus, którego znali i kochali, pozostanie z nimi wprawdzie nadal, lecz pozostanie w sposób całkiem nowy i niepojęty, niemieszczący się w ich dotychczasowych doświadczeniach” – pisze Świderkówna<sup>4</sup>. Spotkanie Zmartwychwstałego jest możliwe tylko wtedy, gdy przestaniemy się kurczowo trzymać przeszłości i nie będziemy tęsknić, aby znów było jak dawniej. Podobnie jest z Kościołem, który nieustannie się przemienia, jest w stanie ciągłej

<sup>2</sup> Por. A. Świderkówna, *Zmartwychwstanie*, Kraków 1999, s. 54.

<sup>3</sup> Św. Leon Wielki, Kazanie 51.

<sup>4</sup> A. Świderkówna, *Zmartwychwstanie*, dz. cyt., s. 54–55.

metamorfozy i nie może przywiązywać się do form przeszłych, jeśli te nie poddają się przemianie.

Dzisiejsza prefacja poucza nas, że Jezus „upewnił nas, że przez cierpienie dojść możemy do chwały zmartwychwstania”. Nie ma innej drogi do chwały zmartwychwstania niż cierpienie, tzn. obumarcie w nas tego, co ludzkie, a więc skażone grzechem, aby pozostało tylko to, co przemienione. Do *hetera morphē* – do „innej postaci” można wejść tylko przez de-formację tego, co w człowieku cielesne, doczesne, materialne, dotknięte skutkami upadłej natury. Nie inaczej stało się z Jezusem, którego ludzkie ciało musiało przejść de-formację Wielkiego Piątku, fizyczne zniszczenie tego, co w Nim ludzkie – aż po radykalność śmierci, aby mógł „wejść do chwały”. Nie inaczej stanie się z nami. Nie inaczej musi się stawać w Kościele: „inna forma” domaga się nieustannej de-formacji tego, co nie daje się przemienić.

16 MARCA 2014

## Dobro, co rozsadza system

Królestwo niebieskie podobne jest do gospodarza, który wyszedł wczesnym rankiem, aby nająć robotników do swej winnicy. Umówił się z robotnikami o denara za dzień i posłał ich do winnicy. Gdy wyszedł około godziny trzeciej, zobaczył innych, stojących na rynku beczynnie, i rzekł do nich: „Idźcie i wy do mojej winnicy, a co będzie słuszne, dam wam”. Oni poszli. Wyszedszy ponownie około godziny szóstej i dziewiątej, tak samo uczynił. Gdy wyszedł około godziny jedenastej, spotkał innych stojących i zapytał ich: „Czemu tu stoicie cały dzień beczynnie?” Odpowiedzieli mu: „Bo nas nikt nie najął”. Rzekł im: „Idźcie i wy do winnicy”. A gdy nadszedł wieczór, rzekł właściciel winnicy do swego rządcy: „Zwołaj robotników i wypłać im należność, poczynawszy od ostatnich aż do pierwszych”. Przyszli najęci około jedenastej godziny i otrzymali po denarze. Gdy więc przyszli pierwsi, myśleli, że więcej dostaną; lecz i oni otrzymali po denarze. Wziąwszy go, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: „Ci ostatni jedną godzinę pracowali, a zrównałeś ich z nami, którzy znosiliśmy ciężar dnia i spiekotę”. Na to odrzekł jednemu z nich: „Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy; czyż nie o denara umówiłeś się ze mną? Weź, co twoje, i odejdź. Chcę też i temu ostatniemu dać tak samo jak tobie. Czy mi nie wolno uczynić ze swoim, co chcę? Czy na to złym okiem patrzysz, że ja jestem dobry?” Tak ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi (Mt 20,1–16).

Przypowieść o robotnikach w winnicy (Mt 20,1–16) i przypowieść o synu marnotrawnym (Łk 15,11–32) mówią w gruncie rzeczy o tym samym: że dobroć rozsądza system oparty na przekonaniu, iż każdemu trzeba oddać (jedynie) to, co mu się słuszenie należy. Nie dzieje się to jednak „bezkarnie”. Takie antysystemowe dobro rodzi u innych, owych „sprawiedliwych”, a czujących się skrzywdzonymi, określoną reakcję – „złe oko”.

Roszczenia robotników najemnych z przypowieści wydają się uzasadnione. W końcu sprawiedliwość polega na tym, by oddać każdemu to, co się mu słuszenie należy. Tak też zdaje się sugerować sam gospodarz, który do robotników trzeciej godziny mówi: „a co będzie słuszne, dam wam” (Mt 20,4). Można założyć, że mówił tak po kolei do wszystkich, których najmował. Tak też myśleli sami robotnicy pierwszej godziny dnia, którzy – otrzymawszy wypłatę – zbuntowali się przeciwko gospodarzowi. To prawda, że umówili się o denara. Prawdą jest jednak także to, że tych, którzy jedną tylko godzinę pracowali, gospodarz zrównał z tymi, którzy znosili ciężar dnia i spiekoty. Być może zbuntowali się także najemnicy z innych godzin, przecież też mogli czuć się pokrzywdzeni. Sprawiedliwość wymienna nakazywałaby przecież wziąć pod uwagę czas pracy i wielkość włożonego wysiłku. Ci najęci najpóźniej powinni dostać co najwyżej jedną dwunastą tego, co zarobili ci, którzy najęli się jako pierwsi. Jednak wszyscy dostali tak samo. Powiedzmy sobie szczerze, jeśli właściciel winnicy będzie kontynuował taki sposób rekrutacji robotników, to długo nie pociągnie. Wieść rozniesie się szybko. Że jest niesprawiedliwy. Że wystarczy przyjść na ostatnią chwilę, by zarobić jak za dniówkę. W końcu nikt nie będzie chciał przychodzić do niego pracować, gdyż takie kompletnie uznaniowe warunki płacy nie dają żadnej pewności co do zarobku. Właścicielowi grozi szybka plajta. W biznesie nie ma miejsca na sentymenty i manifestacje dobroci.

Czego spodziewali się robotnicy ostatniej godziny – nie wiemy dokładnie. Skoro powiedział im, że da im „to, co słuszne”, to zapewne mieli świadomość, że nie dostaną tyle, co robotnicy pierwszej godziny dnia.

Wydawało się to przecież logiczne, słuszne i sprawiedliwe. Wiemy natomiast, co sobie myślał syn marnotrawny, gdy wracał do domu. Był przekonany, że nie jest już godzien nazywać się synem swojego ojca, i jedyne, co mu się należy, to status najemnika. Tego domaga się przecież sprawiedliwość wobec kogoś, kto za życia ojca żądał spadku po nim – majątku, który należy się dopiero po śmierci. Człowiek, który w ten sposób opuszcza ojca, nie ma prawa nazywać się już synem. A jednak po jego powrocie do domu ojciec nie odpłaca mu tym, co – jak sądzi sam syn – słusznie mu się należy. Wybiega naprzeciw niego, rzuca mu się na szyję (nie odwrotnie!), a następnie każe przynieść szatę, pierścień i sandały, zabić utuczone cielę, zwołać muzykantów, ucztować i bawić się. Reakcja starszego syna jest znana. Zaczął czynić ojcu wyrzuty, gdyż uznał jego decyzję za głęboko niesprawiedliwą. Szybko dokonuje porównania między swoją postawą a postawą młodszego brata oraz między nagrodą, jaką jeden i drugi otrzymali: z jednej strony – wierność i jednocześnie nigdy żadnego koźlęcia, by się zabawić z przyjaciółmi, z drugiej zaś strony – roztrwoniony majątek i utuczone cielę. Jezus nie opowiedział dalszych losów braci. Można się jednak spodziewać, że trudno było starszemu bratu żyć z tą jawną dla niego niesprawiedliwością.

Ojciec z przypowieści mógłby powtórzyć do swego starszego syna słowa gospodarza winnicy: „Chcę też i temu ostatniemu dać tak samo jak tobie. Czy mi nie wolno uczynić ze swoim, co chcę? Czy na to złym okiem patrzysz, że ja jestem dobry?” (Mt 20,14–15). Ten sam sens zawiera się przecież w zapewnieniu: „ty zawsze jesteś ze mną i wszystko, co moje, do ciebie należy. A trzeba było weselić się i cieszyć z tego, że ten brat twój był umarły, a znów ożył; zaginął, a odnalazł się” (Łk 15,31–32). Starszy syn jest jak robotnik pierwszej godziny dnia, młodszy – jak najemnik z ostatniej.

Niezadowolenie robotników pierwszej godziny Jezus wyraża określeniem „złe oko”. Greckie *ponēros* tłumaczone bywa jako „zły, diabelski, niegodziwy, złośliwy”, ale także jako „zazdrosny”. Za tym ostatnim tłumaczeniem idzie wiele współczesnych wersji Biblii, gdzie mówi się

o „zazdrosnym oku” czy „patrzeniu z zazdrością”. Słowniki podkreśla ją jednak, że słowo to odnosi się zawsze do zła. Takim samym „złym okiem” czy też „okiem zazdrosnym” patrzył zapewne także starszy syn na poczynania swojego ojca. Tym, co w obu przypadkach wywoływało taką reakcję, była dobroć, która rozsadza system, była jak kij włożony w tryby struktury opartej na sprawiedliwości rozumianej jako słuszność czy należność, w której każdy czyn domaga się adekwatnej zapłaty: dobry czy zły. Bohaterowie przypowieści: gospodarz winnicy i ojciec synów wykraczają poza ten system, znoszą go, naruszają, unieważniają. Dobroć jest ponad należność, słuszność i odpłatę, ponad – powiedzmy to – sprawiedliwość. Ale system nie pozostaje bez natychmiastowej reakcji. Reaguje złem, a w gruncie rzeczy – zazdrością o dobro, które winno być – w rozumieniu systemu – rozdzielane sprawiedliwie. Okazuje się jednak, że sprawiedliwość nie wystarcza. Przeciwnie, wydaje się, że konieczna jest ingerencja dobra w to zamknięte koło sprawiedliwej należności, aby ją rozerwać, a tym samym uniknąć niebezpieczeństwa przekształcenia się sprawiedliwości w odpłatę, zemstę, odwet.

W tej interpretacji ważne jest jeszcze jedno Jezusowe zdanie: „Królestwo niebieskie podobne jest do...” (Mt 20,1). Ktoś powie, że to o czasach ostatecznych. O naszej nadziei – nas, synów marnotrawnych, nas, robotników jedenastej godziny. Ja bym jednak nie czekał. Im więcej bowiem tego podobieństwa tutaj, tym więcej Królestwa pośród nas.



## O (nie)podobieństwie, cezarze i synodzie

Faryzeusze odeszli i naradzali się, jak by Go podchwycić w mowie. Posłali więc do Niego swych uczniów razem ze zwolennikami Heroda, aby mu powiedzieli: „Nauczycielu, wiemy, że jesteś prawdomówny i drogi Bożej w prawdzie nauczasz. Na nikim Ci też nie zależy, bo nie oglądasz się na osobę ludzką. Powiedz nam więc, jak ci się zdaje? Czy wolno płacić podatek cesarzowi, czy nie?” Jezus przejrzał ich przewrotność i rzekł: „Czemu wystawiacie Mnie na próbę, obłudnicy? Pokażcie Mi monetę podatkową!” Przynieśli Mu denara. On ich zapytał: „Czy jest ten obraz i napis?” Odpowiedzieli: „Cezara”. Wówczas rzekł do nich: „Oddajcie więc cesarzowi to, co należy do cezara, a Bogu to, co należy do Boga” (Mt 22,15–21).

Wypowiedź Jezusa, który wzywa, by cesarzowi oddać to, co cesarskie (por. Mt 22,21), jest najczęściej interpretowana w kontekście politycznym i cytuje się ją powszechnie, gdy mowa o rozdzieleniu Kościoła od państwa, odseparowaniu porządku boskiego od porządku ludzkiego, o autonomii rzeczywistości ziemskiej. Wydaje się jednak, że słowa Jezusa mają głębsze znaczenie, że dla Niego stały się pretekstem, by powiedzieć coś bardzo ważnego. Że kryterium wszelkiego wyboru

musi pozostać podobieństwo albo niepodobieństwo: do Boga albo do cezara, do Boga albo do świata.

Biblia Tysiąclecia pytanie Jezusa tłumaczy następująco: „Czy jest ten obraz i napis?” (Mt 22,20). W greckim tekście Ewangelii wg św. Mateusza obraz to *eikōn*. Słowo to jest tłumaczone jako „obraz”, ale także jako „podobizna” albo „podobieństwo”. Jak wiadomo, termin *eikōn* jest teologicznie bardzo – jeśli można tak powiedzieć – nasycony. Użyli go tłumacze Septuaginty, gdy w Księdze Rodzaju czytamy o stworzeniu człowieka „na obraz Boży” (Rdz 1,27). Także św. Paweł użyje tego słowa, gdy będzie mówił o Chrystusie, „który jest obrazem Boga” (2 Kor 4,4) czy też „obrazem Boga niewidzialnego” (Kol 1,15). Słowo *eikōn* dało początek naszej ikonie, ikonkom i wszelkiej ikonizacji.

Przywołana sytuacja ewangeliczna pokazuje nie tylko konflikt natury politycznej, ale przede wszystkim konflikt natury teologicznej. Trzeba pamiętać, że Jezus jest Żydem – członkiem narodu, którego obowiązywało przykazanie zakazujące czynienia obrazów: „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią!” (Wj 20,4). Nakaz ten miał uchronić Naród Wybrany przed bałwochwalstwem. Teraz do Jezusa przynoszą monetę z podobizną cezara. W ten oto sposób w hebrajski świat „bez podobizn” wkracza świat grecko-rzymski, który zresztą da filozoficzne fundamenty pod chrześcijańską teologię obrazu ujawniającą się już w pismach św. Pawła nazywającego Jezusa obrazem Boga. Trzeba jednak pamiętać, że zarówno hebrajska niechęć do obrazów, jak i grecko-rzymskie upodobanie podobizn ma to samo źródło – jest nim przeświadczenie, że obraz nie jest jedynie tym, co widzialne, zobaczone, dostrzeżone przez oczy. Obraz to coś więcej. Obraz to odniesienie do rzeczywistości, która istnieje poza nim. Sobór Nicejski II w roku 787 powie, że to relacja do prototypu – rzeczywistości, która jest poza i przed obrazem, rzeczywistości, której reprezentację jedynie widzimy, ale ona sama wykracza poza to, co widzialne dla oczu. Denar z podobizną cezara miał także swoją moc odwoławczą. To nie tylko zewnętrzna, graficzna podobizna,

to relacja przynależności, wewnętrznego podobieństwa, przyporządkowania. Właśnie dlatego Jezus mówi: „Oddajcie więc cesarzowi to, co należy do cesarza”.

Teologiczna kategoria podobieństwa była jedną z kluczowych idei św. Augustyna. W *Wyznaniach* biskup Hippony pisał: „Gdy po raz pierwszy Cię poznałem, Tyś mnie do siebie przygarnął, żebym zobaczył, że powinienem coś ujrzeć, a także – że nie jestem zdolny do ujżenia tego. Schłostałeś słabość mego wzroku, przemożnym uderzywszy we mnie blaskiem, aż zadrżałem z miłości i grozy. Zrozumiałem, że jestem daleko od Ciebie – w krainie, gdzie wszystko jest inaczej”<sup>1</sup>. Swoją świat sprzed nawrócenia św. Augustyn nazywa mianem *regio dissimilitudinis* – „kraina niepodobieństwa”, kraina, „gdzie wszystko jest inaczej”. Jeśli i prawdziwą naturą, i powołaniem człowieka jest *similitudo Dei* – „podobieństwo do Boga”, to zrozumiała wydaje się teza Augustyna: odchodząc od Boga czy też będąc od Niego daleko, tracimy podobieństwo do Niego, wkraczając jednocześnie w krainę niepodobieństwa.

Zdaję sobie sprawę, iż obraz i podobieństwo do Boga to nie są łatwe kryteria teologiczne. Trzeba je teraz – jak to się mówi – zoperacjonalizować, tzn. ukonkretnić, wyznaczyć jasne przesłanki oceny poszczególnych przypadków. Nie jestem ani dogmatykiem, ani moralistą, więc nie czuję się kompetentny, by to robić. Pomyślałem sobie, że być może byłoby to jednak kryterium dobre do zastosowania w toczących się dyskusjach okołosynodalnych<sup>2</sup>. Punktem zapalnym w debacie stały się dwie kwestie: komunია dla osób rozwiedzionych, które zawarły nowe małżeństwa, oraz ocena związków osób tej samej płci. Trzeba by najpierw się zapytać, co jest istotą naszego podobieństwa do Boga. Najprostsza, ale i budząca najwięcej wątpliwości jest odpowiedź, że cechą tą jest zdolność do kochania. Nikt nie ma wątpliwości, że sakramentalny związek kobiety i mężczyzny oparty na miłości jest „na obraz

<sup>1</sup> Św. Augustyn, *Wyznania*, tłum. Z. Kubiak, Warszawa 1978, s. 120.

<sup>2</sup> W dniach 5–19.10.2014 r. odbywała się w Rzymie III Nadzwyczajna Sesja Synodu Biskupów poświęcona wyzwaniom duszpasterskim związanym z rodziną w kontekście ewangelizacji.

i podobieństwo”. Jak bardzo tracą ten obraz i podobieństwo osoby, które zawierają powtórny związek małżeński, często przekonane, że pierwszy był po prostu nieważny? Moje kilkunastoletnie już doświadczenie sędziego kościelnego pozwala mi stwierdzić, że drugie związki bywają trwalsze, szczęśliwsze, dojrzałsze, choć nie mają pieczęci sakramentu. Na ile niszczą one i przekreślają w sobie „obraz i podobieństwo”? Czy ludzie żyjący w takich związkach już automatycznie stają się obywatelami „krajiny niepodobieństwa”? Czy kieruje nimi rzeczywiście jedynie egoizm, a za sobą zostawiają wyłącznie spaloną ziemię? No i jak mogą wypełnić swoje powołanie do miłości? Czy tylko wyrzekając się swej seksualności? A co powiedzieć o osobach homoseksualnych, które nie wybierają sobie tej orientacji? Czy rodzą się wbrew „obrazowi i podobieństwu”? Czy ich jedynym powołaniem zgodnym z podobieństwem jest wyłącznie samotność? A alternatywą – terapia reparatywna? Jakie środki zbawcze przewidział dla nich Bóg i jakie winien zaoferować im Kościół, aby doprowadzić ich do zbawienia? Gdzie jest ta linia demarkacyjna, gdy człowiek staje się coraz bardziej podobny do jakiegoś cezara niż do Boga? Czy da się postawić słupy graniczne? Nie wiem. Łatwiej zadawać pytania, niż znaleźć odpowiedzi.

Papież Franciszek mówił do księży, że „pobożność, która wchodzi w serce wraz ze chrztem, jest ogromną siłą, tak iż lud Boży, który ma ją w sobie, nie może się mylić, jest nieomylny w wierze”<sup>3</sup>. I w tym moja nadzieja.

19 PAŹDZIERNIKA 2014

<sup>3</sup> Franciszek, Przemówienie do księży, Ceserta, 28.07.2014 r.

## O naturze królestwa Bożego (na ziemi)

Gdy Syn Człowieczy przyjdzie w swej chwale, a z Nim wszyscy aniołowie, wtedy zasiądzie na swoim tronie pełnym chwały. I zgromadzą się przed Nim wszystkie narody, a On oddzieli jednych [ludzi] od drugih, jak pasterz oddziela owce od kozłów. Owce postawi po prawej, a kozły po swojej lewej stronie. Wtedy odezwie się Król do tych po prawej stronie: „Pójdźcie, błogosławieni u Ojca mego, weźcie w posiadanie królestwo, przygotowane dla was od założenia świata!

Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść;  
byłem spragniony, a daliście Mi pić;  
byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie;  
byłem nagi, a przyodzialiście Mnie;  
byłem chory, a odwiedziliście Mnie;  
byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie”.

Wówczas zapytają sprawiedliwi: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym i nakarmiliśmy Ciebie? Albo spragnionym i daliśmy Ci pić? Kiedy widzieliśmy Cię przybyszem i przyjęliśmy Cię, lub nagim i przyodzialiśmy Cię? Kiedy widzieliśmy Cię chorym lub w więzieniu i przyszliśmy do Ciebie?”

A Król im odpowie: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnie uczyniliście”.

Wtedy odezwie się i do tych po lewej stronie: „Idźcie precz ode Mnie, przeklęci, w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom!

Bo byłem głodny, a nie daliście Mi jeść;  
byłem spragniony, a nie daliście Mi pić;  
byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie;  
byłem nagi, a nie przyodzialiście Mnie;  
byłem chory i w więzieniu, a nie odwiedziliście Mnie”.

Wówczas zapytają i ci: „Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym albo spragnionym, albo przybyszem, albo nagim, kiedy chorym albo w więzieniu, a nie usłużyliśmy Tobie?” Wtedy odpowie im: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili”. I pójdą ci na wieczną karę, sprawiedliwi zaś do życia wiecznego (Mt 25,31–46).

„Według przesłania Jezusa Królestwo istnieje i to jedyny powód, dla którego życie nie jest z konieczności porażką. Jeśli Królestwo nie istnieje, to życie jest przegraną – zawsze, w każdym wypadku” – pisze Leszek Kołakowski<sup>1</sup>. My, ludzie wierzący, nie mamy wątpliwości, że Królestwo istnieje. Trudniej nam się zgodzić w kwestii, gdzie istnieje i w jaki sposób się urzeczywistnia. Podpowieź, którą daje sam Jezus w przypowieści o kozłach i owcach, wskazuje, że natura tego Królestwa jest przynajmniej dwójaka: w pełni urzeczywistni się dopiero w wieczności, ale przecież zaczyna się już tutaj.

Pokusa budowania królestwa Bożego na ziemi jest właściwie tak stara jak stary jest człowiek. Nie jest to bowiem przypadek jedynie uczniów Chrystusa. Zdaje się, że w każdej religii – objawionej czy też

<sup>1</sup> L. Kołakowski, *Jezus ośmieszony. Esej apokaliptyczny i sceptyczny*, tłum. D. Zańko, Kraków 2014, s. 55.

nie – jest ukryte pragnienie ostatecznego ustanowienia boskiego porządku tutaj – na ziemi. Chrześcijanie nie są z tej pokusy wyłączeni. Świadomie piszę o tym, że to pokusa. I to pokusa – jak ostrzegają mądrzejsi ode mnie – perwersyjna.

Najpierw Leszek Kołakowski, który w eseju pt. *Jezus ośmieszony* wiele miejsca poświęca relacji między *sacrum* a *profanum*. W jego rozumieniu jedyna właściwa relacja między tymi dwoma aspektami rzeczywistości to równowaga. Zarówno próba zniesienia *sacrum* przez *profanum* (profanacja wszystkiego), jak i zniesienia *profanum* przez *sacrum* (sakralizacja wszystkiego) zawsze prowadzi do tego samego – do totalitaryzmu. „Teokracja – pisze Kołakowski – która nie chce niczego wystawiać na ryzyko doczesności, ale usiłuje narzucić ściśle reguły wszystkiemu, co stworzone, nieuchronnie zaczyna tęsknić za tym, czym chce być: sakralizując wszystko i znosząc różnicę między *sacrum* a *profanum*, niszczy *sacrum*, pozostawia je jedynie jako pretekst służący aspiracjom i interesom *profanum* i przeobraża się w totalitarną tyranję, perwersyjną imitację raju. [...] Jezus nie nawoływał do tyranii *sacrum*”<sup>2</sup>.

Ponadto Benedykt XVI, który w encyklice *Spe salvi* wiele miejsca poświęca relacji między nadzieją zbawienia a doczesnością. Kiedy papież analizuje myśl Kanta i Marksa, zwraca uwagę na ideę ustanowienia „królestwa Bożego”, które według Kanta miałoby zastąpić tzw. wiarę kościelną. To „królestwo” otrzymało nową definicję i nowy sposób obecności: „oczekiwanie natychmiastowe”, którego realizację mogą przyspieszyć rewolucje. „Jak tylko rozwieje się prawda o «tamnym świecie», trzeba będzie ustanowić prawdę o «tym świecie»” – relacjonuje myśl Marksa papież<sup>3</sup>. Co się jednak dzieje, gdy człowiek próbuje ustanowić takie „królestwo Boże” bez Boga? „Nie ma [...] wątpliwości, że «królestwo Boże» realizowane bez Boga – a więc królestwo samego człowieka – nieuchronnie zmierza ku «perwersyjnemu końcowi» wszystkiego” – odpowiada Benedykt XVI.

<sup>2</sup> Tamże, s. 40–41.

<sup>3</sup> Benedykt XVI, Encyklika *Spe salvi*, Rzym 2007, 19–20.

A co z „królestwem” realizowanym z Bogiem? Co z „królestwem Bożym”, które chciałoby się zaimplantować w ten świat w sposób całościowy, strukturalny, teokratyczny – tzn. oddając wszelką władzę Bogu czy też ludziom działającym w Jego imię? Benedykt przestrzega także przed taką religijną utopią. „[...] nigdy na tym świecie nie zostanie definitywnie ugruntowane królestwo dobra”. Dlaczego? Z powodu ludzkiej wolności. „Kto obiecuje lepszy świat, który miałby nieodwołalnie istnieć na zawsze, daje obietnicę fałszywą; pomija ludzką wolność. Wolność musi wciąż być zdobywana dla dobra. Wolne przyłgnięcie do dobra nigdy nie istnieje po prostu samo z siebie. Jeśli istniałyby struktury, które nieodwołalnie ustanowiłyby jakiś określony – dobry – stan świata, zostałaby zanegowana wolność człowieka, a z tego powodu ostatecznie struktury takie nie byłyby wcale dobre”<sup>4</sup>. Nie ma podstaw, by nie myśleć, że ta przestroga dotyczyć może także Kościoła i ludzi Kościoła, którzy – owszem, w imię Boże – chcieliby ustanawiać tutaj, na ziemi, „lepszy świat”, „królestwo Boże” w swej ziemskiej emanacji. Obyśmy nie pomylili „biblijnej nadziei królestwa Bożego” z „nadzieją na królestwo ludzkie, nadzieją na lepszy świat, który będzie prawdziwym «królestwem Bożym»”.

Gdzie jest więc to królestwo, o którym mówi Jezus, a bez którego – jak pisał Kołakowski – życie jest porażką? Odpowiedź na to pytanie daje przypowieść z Ewangelii wg św. Mateusza. Jakkolwiek brzmi to górnolotnie, trzeba tak to powiedzieć: królestwo Boże jest tam, gdzie jest miłość. I to niekoniecznie nawet miłość motywowana samą osobą Jezusa. Jak słusznie zauważył Grzegorz Kramer SJ w krótkim komentarzu na Facebooku, „dzisiejsza Ewangelia mówi o Królu, który jest nierozpoznawalny. Jest w przebraniu. Nie rozpoznali Go i dobrzy, i zli. I to bardzo dobrze, bo mamy czynić dobro bezinteresownie. Mamy kochać bezinteresownie”. Do niejednego niewierzącego można by więc powiedzieć za samym Jezusem: „Niedaleko jesteś od królestwa Bożego” (Mk 12,34). Bo – jak mówi Benedykt XVI – „Jego królestwo to nie

<sup>4</sup> Tamże, 24.



wyimaginowane zaświaty, umiejscowione w przyszłości, która nigdy nie nadejdzie; Jego królestwo jest obecne tam, gdzie On jest kochany i dokąd Jego miłość dociera”<sup>5</sup>. A miłości – jak wiadomo – nie da się ni-jak zadekretować, ustanowić, uchwalić, zarządzić. Bo jedynym powodem miłości jest wyłącznie miłość. Miłość z nakazu byłaby perwersją.

23 LISTOPADA 2014

<sup>5</sup> Tamże, 30.

## Na Nowy Rok. O wolności od dyktatu chwili

Takie jest świadectwo Jana. Gdy Żydzi wysłali do niego z Jerozolimy kapłanów i lewitów z zapytaniem: „Kto ty jesteś?”, on wyznał, a nie zaprzeczył, oświadczając: „Ja nie jestem Mesjaszem”. Zapytali go: „Cóż zatem? Czy jesteś Eliaszem?” Odrzekł: „Nie jestem”. „Czy ty jesteś prorokiem?” Odparł: „Nie”. Powiedzieli mu więc: „Kim jesteś, abyśmy mogli dać odpowiedź tym, którzy nas wysłali? Co mówisz sam o sobie?” Powiedział: „Jam głos wołającego na pustyni: Prostujcie drogę Pańską, jak rzekł prorok Izajasz”. A wysłannicy byli spośród faryzeuszów. I zaczęli go pytać, mówiąc do niego: „Czemu zatem chrzczisz, skoro nie jesteś ani Mesjaszem, ani Eliaszem, ani prorokiem?” Jan im tak odpowiedział: „Ja chrzczę wodą. Pośród was stoi Ten, którego wy nie znacie, który po mnie idzie, a któremu ja nie jestem godzien odwiązać rzemienia u Jego sandała”. Działo się to w Betanii, po drugiej stronie Jordanu, gdzie Jan udzielał chrztu (J 1,19–28).

Kiedy wczoraj, w Nowy Rok, śpiewaliśmy na Mszy św., że „leży Dzieciątko jako jagniątko”, przypomniał mi się obraz, który widziałem w jednej z kaplic monachijskiej katedry. Był to *Pokłon pasterzy*, na którym moją uwagę przykuł pewien bliski mi szczegół. Przy nogach jednego z pasterzy leżał mały baranek ze spętanymi nogami. Nie wiem,

czy autor polskiej kolędy pt. *Nowy Rok bieży* miał na myśli to co ja, ale przede mną znów otworzyły się wielorakie teologiczne konotacje. Jak choćby ta, że nie da się myśleć o Narodzeniu Pańskim (a może i każdym narodzeniu) bez spojrzenia ku śmierci. I chyba w tym znaczeniu miał rację Martin Heidegger, gdy pisał, że człowiek to „Sein zum Tode” – bycie zmierzające do śmierci. O ile jeszcze bardziej Jego bycie niż nasze.

Baranki czy owieczki pojawiają się w bożonarodzeniowej ikonografii w wielu kontekstach, najczęściej jako naturalna scenografia szopki czy groty. Zdarzają się jednak bardziej oryginalne przedstawienia. Niedawno dopiero natknąłem się na wizerunek Maryi trzymającej w ramionach Jezusa i – tak to jest najczęściej interpretowane – małą owieczkę. Można powiedzieć, że Maryja trzyma Baranka Bożego, którego losem jest wydanie na rzeź. Jeśli więc leży „jako jagniątko”, to i podobnie jak ono kiedyś zostanie poprowadzone na śmierć. Baranek pojawia się także w przedstawieniach, na których mały Jezus spotyka się czy też bawi z Janem Chrzcicielem. To oczywista zapowiedź późniejszego spotkania między nimi, gdy Jan nad Jordanem wskaże na Jezusa słowami: „Oto Baranek Boży, który gładzi grzech świata” (J 1,29). Wizerunek typu *Pokłon pasterzy*, na którym jest także baranek o spętanych nogach, idzie jeszcze dalej. Przywołując starotestamentalne wydarzenie, proklamuje śmierć. Analogia między Jezusem a Izaakiem wydaje się zrazu oczywista, tylko że finał obu historii jest zgoła inny.

W moich ulubionych *Homiliach na ewangelię dzieciństwa* Ryszard Przybylski odwołuje się do ojców Kościoła: Tertuliana i Jana Chryzostoma, by opisać teologiczną analogię, w której Izaak raz jest prototypem Jezusa, a raz obrazuje cały świat. Izaak niósł drzewo na swych plecach podobnie jak Jezus niósł drzewo krzyża, ale to nie Izaak został ofiarowany, lecz baranek – tak jak Chrystus został ofiarowany za wszystkie narody. Baranek był uwikłany w krzak ciernisty, Jezus został przybity do rogów krzyża, a na Jego głowie zawisła korona cierniowa. Baranek wybawił jedynie Izaaka, Chrystus – cały świat. Przybylski pisze o tym przejmująco. Jezus to „Baranek Nowego Przymierza, upatrzony przez Ojca na ofiarę za grzechy świata. Jahwe, który nie ulitował się ani

nad sobą, ani nad swoim Synem, podarował jednak życie Izaakowi”<sup>1</sup>. Właśnie to „darowanie życia” Izaakowi, w którym sam się odnajduję, brzmi dla mnie przejmująco. Przecież w Izaaku, a przez Jezusa, darował życie nam wszystkim. Mówił o tym papież Franciszek w homilii na zakończenie roku 2014: „Dlatego Bóg posłał swojego Syna, aby nas wybawić ceną swojej krwi. A jeśli istnieje wybawienie, to istnieje jakaś niewola. Byliśmy synami, ale staliśmy się niewolnikami, idąc za podszeptem złego. Nikt inny nie może wybawić z tej prawdziwej niewoli jak tylko Jezus, który przyjął na siebie nasze ciało z Dziewicy Maryi i umarł na krzyżu, aby nas wybawić, wyzwolić z niewoli grzechu i przywrócić straconą godność dziecka”<sup>2</sup>. W tym kontekście być może da się też odczytać obrazy przedstawiające Madonnę z Jezusem i barankiem – jako obraz dzieciństwa, które przywraca nam Jezus swoją śmiercią – ofiarą złożoną w miejsce świątynnego baranka.

W *Jezusie ośmieszonym* Leszek Kołakowski pisze, że „całe Jego [Jezusa] życie i całe nauczanie toczy się w cieniu dnia ostatecznego, dnia nieuchronnego Sądu” i że „bez tego apokaliptycznego oczekiwania niczego w chrześcijaństwie nie da się zrozumieć”<sup>3</sup>. Według tego filozofa główną bolączką współczesnego świata jest brak apokaliptycznego czy eschatologicznego wymiaru życia, brak pamięci o „ostatecznej godzinie”, która ma nadejść. Kontynuację tego myślenia znalazłem we wspomnianej już homilii papieża Franciszka, który powiedział: „zakończenie roku oznacza powrót do wyznania, że «ostatnia godzina» oraz «pełnia czasu» są rzeczywistością”. Tej rzeczywistości „ostatniej godziny” według św. Jana i „pełni czasu” z nauczania św. Pawła Franciszek przeciwstawia „chwilę”. „W naszej egzystencjalnej wędrówce – mówił Franciszek – ciągle istnieje tendencja, by opierać się wolności; boimy się wolności i paradoksalnie wolimy – mniej lub bardziej świadomie – niewolę.

<sup>1</sup> R. Przybylski, *Homilie na ewangelię dzieciństwa*, Warszawa 2007, s. 138.

<sup>2</sup> Franciszek, Homilia wygłoszona podczas I Nieszporów w uroczystość Bożej Rodzicielki Maryi, 31.12.2014 r.

<sup>3</sup> L. Kołakowski, *Jezus ośmieszony. Esej apokaliptyczny i sceptyczny*, tłum. D. Zańko, Kraków 2014, s. 12.

Wolność nas przeraża, bo stawia nas wobec czasu i naszej odpowiedzialności za to, by dobrze go przeżyć. Niewola tymczasem sprowadza czas do «chwili» i w ten sposób czujemy się pewniej, gdyż to pozwala nam przeżywać poszczególne chwile jako niezwiązane z naszą przeszłością i przyszłością. Innymi słowy, niewola nie pozwala nam żyć w pełni i prawdzie chwilą obecną, bo pozbawia ją przeszłości i zamyka na przyszłość, na wieczność. Niewola każe nam wierzyć, że nie możemy marzyć, wlatywać, mieć nadziei”. No tak, nie bez kozery Faust kuszony przez Mefistofelesa zwraca się do Czasu słowami: „Verweile doch! Du bist so schön!”. Często tłumaczone jest to na język polski jako „Trwaj, chwilo! Jesteś piękna!”<sup>4</sup>, ale niemiecki czasownik *verweilen* to tyle, co „przebywać, bawić, zatrzymać się”, *sich verweilen* to „zasiedzieć się”. A więc może: „Zatrzymaj się (czasie)! Taki jesteś piękny!”.

Czymże jest więc ta wolność, ku której wyswobodził nas Chrystus, rodząc się w Betlejem, by umrzeć w nieodległej Jerozolimie? „Jakże lubimy być zniewoleni przez sztuczne ognie, które wydają się bardzo piękne, ale w rzeczywistości trwają tylko kilka chwil! I to jest królestwo, to jest fascynacja chwilą!” – mówił papież. Być wolnym to nie dać się zwieść chwilowym wrażeniom, ulotnym doznaniom czy terazniejszemu szczęściu bądź raczej temu, co się nim wydaje. „Zwieść cię może ciągnący ulicami tłum, wódka w parku wypita albo zachód słońca, lecz naprawdę nie dzieje się nic i nie stanie się nic aż do końca” – przestrzegał poeta Michał Zabłocki<sup>5</sup>, przypominając o właściwej mierze rzeczy. Niewola duchowa to również niezdolność do uniezależnienia się od tego, co przynosi chwila. A myślę tutaj też o wszelkich doraźnych sporach – nie tylko rodzinnych czy politycznych, lecz także kościelnych, które zbyt rzadko – o co się upominał filozof – biorą pod uwagę eschatologiczne napięcie, ową świadomość „pełni czasu”. A ta amnezja wieczności objawia się dwojako. Jedni chcieliby, aby wszystko

<sup>4</sup> Por. J.W. Goethe, *Faust*, cz. II, akt V, ww. 29–30, tłum. E. Zegadłowicz, Warszawa 1953, t. 2, s. 338.

<sup>5</sup> Por. G. Turnau, *Naprawdę nie dzieje się nic*, Pomaton EMI, 1991; słowa piosenki: M. Zabłocki.

było tu, na ziemi, już tak, „jako w niebie” jest. Drudzy – odwrotnie, żeby w niebie było „tak [jak] i na ziemi” jest. Zapominając – w obu przypadkach – że to jednak odmienne stany rzeczywistości.

Może powinniśmy być niczym Abraham, który – jak pisał Søren Kierkegaard – milczał podczas tych trzech dni dramatycznej wędrówki na górę Moria z synem obciążonym drewnem? Filozof zauważa (relacjonując za Przybylskim), że Abraham niósł w swej duszy ciężar absurdalnej wiary w miłość Boga, który kazał mu zabić jego największą nadzieję – jedynego syna. A jakiej wiary trzeba było tej, która w milczeniu pójdzie za Synem na inną górę i zobaczy Go jako „na słońcu upieczonego Baranka Wielkanocnego”? Ale na to przyjdzie Czas. Na razie w jednym ręku tuli Dzieciątko, w drugim – jagniątko, choć wie, że ta chwila przeminie. Czy wśród darów od pasterzy widzi spętanego baranka ofiarnego? Czy widzi już Jego przyszłość? „W jasełkach leżąc, gdy płakał, już tam był wszystko oglądał”. A ona? Może lepiej wszystkiego nie widzieć i nie wiedzieć. I zdać się – nie na los, ale na miłość Boga? Czego sobie i wszystkim czytającym te słowa życzę.

2 STYCZNIA 2015

## Niebo paradoksów

Jezus, widząc tłumy, wyszedł na górę. A gdy usiadł, przystąpili do Niego Jego uczniowie. Wtedy otworzył usta i nauczał ich tymi słowami:

„Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie.

Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni.

Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadą ziemię.

Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni.

Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.

Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą.

Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi.

Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie.

Błogosławieni jesteście, gdy wam urągają i prześladowają was, i gdy z mego powodu mówią kłamliwie wszystko złe na was. Cieszcie się i radujcie, albowiem wielka jest wasza nagroda w niebie” (Mt 5,1–12a).

Bardziej niż Biblia naszą religijną świadomość kształtuje ostatnio kultura popularna. Także naszą świadomość i nasze wyobrażenie nieba i świętości. Najpopularniejsza fraza, którą dzisiaj opisujemy niebo, brzmi:

„Wszyscy święci balują w niebie” i zawdzięczamy ją Budce Suflera. Biblia opisywała niebo w kategoriach uczt, kultura współczesna idzie dalej. Niebo to bal. Jak grzyby po deszczu mnożą się więc po naszych parafiach i szkołach bale wszystkich świętych. I właściwie czemu się dziwić, skoro – jak wiemy z innej współczesnej i dobrze znanej piosenki – „każdy święty chodzi uśmiechnięty”, „tylko nawrócona jest zadowolona”.

Ta niezwykle radosna wizja nieba trochę zgrzyta mi w uszach, gdy się ją zestawi z tym, co proponują czytania z dnia Wszystkich Świętych. Tutaj pojawia się trochę inny katalog cech świętych: ubodzy, którzy się smucą, cisi, łaknący sprawiedliwości, miłosierni, czystego serca, czyniący pokój, dla sprawiedliwości. A jeśli z Apokalipsy dorzucić do tego frazę o krwi Baranka, w której trzeba wybielić szaty, to wspomnienie balu jakby znika. Zanim bal, najpierw życie, o którym Jezus mówi, że jest błogosławione wcale nie mimo ubóstwa, ale właśnie z jego powodu, że zatrzymam się tylko na pierwszym błogosławieństwie.

Muszę przyznać, że wciąż nie znajduję satysfakcjonujących komentarzy do ośmiu błogosławieństw Jezusa. Ich dosłowna interpretacja prowadzi do nikogo niepociągającego cierpiętnictwa bądź też staje się usprawiedliwieniem życiowej nieudolności. Szukanie wyjaśnień bardziej duchowych wydaje się z kolei ucieczką od Ewangelii. A może jednak trzeba czytać dosłownie? Profesor Grzegorz Kołodko w książce pt. *Wędrujący świat* porównuje życie dwóch rodzin: Barre’ów z Nigru i Lendenbaumów ze Szwajcarii. Wystarczy porównać dzienny dochód brutto: ten nigerski to 1,6 \$, ten szwajcarski – 20 tys. \$, jeden lunch szwajcarskiej rodziny to roczny dochód tej nigerskiej. Można by jeszcze mnożyć porównania, choćby takie: średnia wieku w Nigrze to 44 lata, w Szwajcarii – 81. Kołodko podsumowuje (cytowałem go już w *Czy Bóg nas kusi?*<sup>1</sup>): „Jedni – mnóstwo ich – żyją w nędzy, co nie oznacza automatycznie i zawsze w nieszczęściu. Inni opływają w obfitość – mało ich – co nie oznacza od razu, że są szczęśliwi”<sup>2</sup>.

<sup>1</sup> A. Draguła, *Czy Bóg nas kusi? 55 pytań o wiarę*, Kraków 2015.

<sup>2</sup> G. Kołodko, *Wędrujący świat*, Warszawa 2009, s. 164.



Nigerska rodzina Barre'ów jest uboga z konieczności, ale wcale nie znaczy, że jest nieszczęśliwa. A przecież są też ubodzy z wyboru, właśnie ze względu na szczęście. Szczęście, bo ono jest przecież w ośmiu błogosławieństwach synonimem świętości (greckie *makaroi* to nie tylko błogosławieni w tym nadprzyrodzonym znaczeniu, ale też po prostu szczęśliwi), jest pojęciem względnym. Polega ono na tym, by mieć odwagę być człowiekiem wolnym, tzn. takim, który nie poddaje się wzorcom tego świata, który ma odwagę w swej wolności żyć wbrew światu, nie wierzyć światu, że trzeba koniecznie być bogatym, głośnym, dominującym i silnym, aby wygrać życie. Kiedy się czyta żywoty świętych, widać, że nie zawsze było to życie Bóg wie jak heroiczne, ale zawsze było to życie ludzi wolnych, którzy mieli odwagę być sobą i nie poddawać się dyktatowi świata. Czy ks. Jerzy Popiełuszko nie mawiał, że „wolność jest w nas”? I właśnie dlatego tacy ludzie są świadkami innego świata, świata paradoksów, gdzie szaty – wbrew logice – bieli się we krwi, gdzie przegrany jest wygranym, biedny okazuje się bogatym, a cichy swym milczeniem krzyczy najgłośniej.

1 LISTOPADA 2015

## Krzyż(yk) na nienawiści

W owe dni, po tym ucisku, słońce się zaćmi i księżyc nie da swego blasku. Gwiazdy będą spadać z nieba i moce na niebie zostaną wstrząśnięte. Wówczas ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego w obłokach z wielką mocą i chwałą. Wtedy pośle On aniołów i zgromadzi swoich wybranych z czterech stron świata, od krańca ziemi po kraniec nieba.

A od figowca uczcie się przez podobieństwo. Kiedy już jego gałąź nabrzmiewa sokami i wypuszcza liście, poznajecie, że blisko jest lato. Tak i wy, gdy ujrzycie te wydarzenia, wiedźcie, że to blisko jest, u drzwi. Zaprawdę, powiadam wam: Nie przeminie to pokolenie, aż się to wszystko stanie. Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą. Lecz o dniu owym lub godzinie nikt nie wie, ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec (Mk 13,24–32).

W piątek wieczorem wydawało mi się, że już mam pomysł na niedzielną homilię. W nocy stało się to, co się stało<sup>1</sup>. Jak by powiedział Albert Camus, dobrze nam znany z lektury, dżuma znów wypuściła swe szczury zarażone bakcyłem zła na szczęśliwe miasto. Tym razem padło na Paryż. Ale rano, po na wpół nieprzespanej nocy, pomyślałem, dlaczego

<sup>1</sup> 13.11.2015 r. miała miejsce seria ataków terrorystycznych w Paryżu i Saint-Denis we Francji. W ich wyniku zginęło sto trzydzieści osób, a ponad trzysta zostało rannych.

miałbym coś zmieniać. Przecież Ewangelia jest niezmienna i nie brzmi inaczej przed zamachem, a inaczej po nim. Nie zmienia swego sensu. Wciąż jest dobrą nowiną, choć wydawać się może coraz słabsza.

Teksty dzisiejszych czytań mogą przerażać. Księga Daniela mówi o „ucisku, jakiego nie było, odkąd narody powstały” (Dn 12,1). Każde pokolenie czytało ten tekst, odnosząc go do czasów mu współczesnych. W czasie każdej wojny, zarazy, kataklizmu, nieszczęścia. „Utrapienie, ucisk czy prześladowanie, głód czy nagość, niebezpieczeństwo czy miecz” (Rz 8,35) – wszystko to było udziałem pokolenia św. Pawła i tych, które przyszły po nim. Przecież słowa „Nie przeminie to pokolenie, aż się to wszystko stanie” (Mt 24,34) dla każdego pokolenia były i pozostaną tak samo aktualne. Ten ucisk narodów nosi dzisiaj znamię terroryzmu i prześladowania. Także ślepego terroru islamistów, którzy – i niech im to Bóg litościwy wybaczy, jeśli w Niego wierzą – czynią to rzekomo w Jego Imię. Nosi także znamię prześladowania chrześcijan, które – jak mówią badacze – być może jest najokrutniejsze od czasów starożytnych. Wystąp więc, Michale, „opiekunie dzieci twojego narodu” (Dn 12,1) – mamy prawo wołać. Święty Marek mówi, że „po wielkim ucisku” zobaczymy Syna Człowieczego przychodzącego w obłokach (Mk 13,26). „Zwróć się, o Panie, dokądże jeszcze...?” (Ps 90,13). Pytanie o to, gdzie jest Bóg, w takich dniach ciśnie się na usta jeszcze bardziej.

A przecież nie dalej jak w piątek uczyłem swoich studentów, czytając z nimi papieża Benedykta XVI, „że nic nie jest owocem irracjonalnego przypadku, ale wszystko istnieje, bo tak chciał Bóg, należy do Jego planu, którego centrum stanowi zaproszenie do uczestniczenia w życiu Bożym w Chrystusie. Stworzenie rodzi się z Logosu [czyli Słowa, Jezusa Chrystusa] i nosi niezatarty ślad stwórczego Rozumu, który wprowadza ład i kieruje”<sup>2</sup>. I że papież Benedykt bardzo chętnie słowo „Logos”, odnoszące się do Chrystusa, kojarzy ze słowem logika. Bo świat stworzony przez Boga jest uporządkowany, zaplanowany

<sup>2</sup> Benedykt XVI, Adhortacja apostolska *Verbum Domini*, Rzym 2010, 8.

logiczny. I mówiłem, że z tego samego Słowa wyrasta ekonomia zbawienia, czyli – dosłownie – zarządzanie zbawieniem, plan zbawczy, który wypełni się na końcu czasów, gdy powróci ten, o którym liturgia przyszłej niedzieli powie, że jest Panem i Królem Wszechświata.

I to jest właśnie ten moment, kiedy myśląc o tym kazaniu, zawałęm się. Kiedy śledząc wiadomości w internecie, pomyślałem sobie, że od logiki stworzenia i od ekonomii zbawienia nagle o wiele silniejsze zdają się antylogika zniszczenia i antyekonomia śmiertelności zła. I uświadomiłem sobie, że to jest pokusa niewiary – szatańska zaiście pokusa uznania Szatana choćby chwilowym zwycięzcą. A z tej pokusy rodzi się następna: zastąpić Boga, skoro milczy i nie przychodzi, i samemu wystąpić przeciw złu, złem przy okazji się zarażając. „Kto bowiem mieczem wojuje, ten od miecza ginie” (por. Mt 26,52). I nie da się inaczej. Kto się chce ze złem wziąć za bary, musi się go dotknąć i pobrudzić. Więc może inaczej: „W obliczu ludzkiej przemocy prosimy o łaskę serca niezłomnego i wolnego od nienawiści. Niech umiar, powściągliwość i opanowanie, jakie wszyscy okazali do tej pory, potwierdzą się w nadchodzących tygodniach i miesiącach; nikt nie poddaje się przerażeniu lub nienawiści. Prosimy o łaskę, byśmy byli twórcami pokoju. Nigdy nie możemy zwątpić w możliwość pokoju, jeśli budujemy sprawiedliwość” – jak w reakcji na zamachy powiedział arcybiskup Paryża, kard. André Vingt-Trois.

I choć w sercu – co jest naturalnym odruchem – rodzi się gniew, to naszą odpowiedzią nie jest nienawiść, ale krzyż Chrystusa – On nie wzywał do zabijania, ale sam dał się zabić – jakkolwiek to naiwnie brzmi we współczesnym świecie, w którym liczą się tylko silni, uzbrojeni i krzykliwi. A przecież właśnie tam, na krzyżu, wbrew już wówczas krzykliwemu światu, „Słowo cichnie, staje się śmiertelną ciszą, ponieważ mówiło, aż zamilkło”<sup>3</sup>. Papież Benedykt – który przecież sam wybrał milczenie – podkreśla: „Jak pokazuje krzyż Chrystusa, Bóg przemawia również milczeniem. W tych mrocznych chwilach przemawia

<sup>3</sup> Tamże, 12.

On w misterium swego milczenia”<sup>4</sup>. Te mroczne chwile to nie tylko chwile śmierci Chrystusa, ale także mroczne chwile naszej egzystencji, kiedy doznając zła, które zdaje się coraz bardziej panoszyć, za naszym Panem chcielibyśmy powtórzyć: „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?” (Mt 27,46). I właśnie w takich chwilach nasza wiara się zaczyna, a nie kończy. Gdy wierzymy, że poza antylogiką zniszczenia jest Boża logika stworzenia, a za antyekonomią śmiercionośnego zła jest Boża ekonomia zbawienia, choć tak trudno w tym świecie jest to dostrzegalne.

Jest w języku polskim takie wyrażenie: położyć na kimś/na czymś krzyżyk. Znaczy to tyle, co zwątpić w kogoś, przekreślić go, zrezygnować, przewidzieć jego koniec. Co roku katolicka diecezja w Mont-reau przygotowuje kampanię reklamową. W tym roku był to krzyż na czarnym tle złożony z liter układających się w napis *Faisons une croix sur la haine / Let's cross out hate*, co można przetłumaczyć jako „Zróbmy krzyż(yk) na nienawiści” albo „Połóżmy krzyż(yk) na nienawiści”. Tak, właśnie tak. Z nienawiścią nie walczy się nienawiścią. Ale jedynie krzyżem. Połóżmy krzyż na nienawiści. Tylko tak zadamy jej śmiertelny cios.

15 LISTOPADA 2015

<sup>4</sup> Tamże, 21.

## Miłosierdzie, czyli spojrzenie, które ocala

W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym świecie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz. Podążali więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna. Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Powiła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie (Łk 2,1–7).

Jak sądzę, miłosierdzie nie jest terminem z dziedziny prawa. Chyba nie ma w programie studiów prawniczych traktatu o miłosierdziu. Prawo nie zajmuje się przecież miłosierdziem, ale – przynajmniej teoretycznie – wymierzaniem sprawiedliwości. Miłosierdzie jako kategoria zdaje się mu obce. Ale przecież państwo zna pewne mechanizmy, które można by nazwać właśnie aktem urzędowego miłosierdzia: amnestia, abolicja, ułaskawienie. Czy mogą one nas czegoś nauczyć?

Choć nie są tym samym, to wszystkie trzy mechanizmy mają – na ile je rozumiem – pewien wspólny sens. Bardzo dobrze określiła to

Hanna Arendt w książce pt. *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła*: „ułaskawienie znajduje zastosowanie raczej w odniesieniu do osoby niż do czynu; akt łaski nie jest przebaczeniem zbrodniarzowi, lecz darowaniem mu dlatego, że jego wartość jako osoby może przewyższać wszystko, czego się dopuścił”<sup>1</sup>. Myślę, że to bardzo dobra definicja miłosierdzia: jest ono takim spojrzeniem na człowieka, które ponad wszelkie uczynione zło wynosi jego człowieczeństwo. Mnie – jako laika w dziedzinie prawa – zaskoczyła rzecz chyba oczywista, z której jednak jakoś nie zdawałem sobie sprawy. Arendt przypomina w tym samym tekście, że „prawo łaski nie należy [...] do prerogatyw wymiaru sprawiedliwości”. To nie sądy ułaskawiają. Urzędowe miłosierdzie państwa stanowione jest bądź przez władzę wykonawczą (prezydent) bądź ustawodawczą (parlament). Potrzebna jest więc zewnętrzna ingerencja w system wymiaru sprawiedliwości, by okazać miłosierdzie. Najnowsza historia ostatnich tygodni – i nie tylko – pokazuje nam, że miłosierdzie stanowione przez państwo może stać się instrumentem doraźnej polityki<sup>2</sup>. A jak powszechnie wiadomo, łaska pańska na pstrym koniu jeździ...

Miłosierdzie Boga nie jest jak prezydenckie ułaskawienie czy parlamentarna abolicja. Nie jest reglamentacją łaski według jakichś – czasami niejasnych – wcześniej przyjętych kryteriów. Obejmuje wszystkich i każdego bez wyjątku. Podobno to Anthony de Mello SJ powiedział, że kochać kogoś to widzieć go takim, jakim jest naprawdę – choć mogło tak powiedzieć wielu. Kochać kogoś to widzieć dobro pod zwałami zła. Jan Paweł II w encyklice o miłosierdziu pisał, że miłosierdzie to „wydobywanie dobra spod wszelkich nawarstwień zła, które jest w świecie

<sup>1</sup> H. Arendt, *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła*, tłum. A. Szostkiewicz, Kraków 1998, s. 402.

<sup>2</sup> Korzystając z prerogatywy określonej w art. 139 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej postanowieniem z 16.11.2015 r. zastosował prawo łaski czterech – byłych funkcjonariuszy CBA. Prezydent dokonał tego aktu przed zapadnięciem prawomocnego wyroku w II instancji, co spotkało się z krytyką większości środowiska prawniczego.

i w człowieku”<sup>3</sup>. Do miłości w tak radykalnej formie zdolny jest tylko Bóg, ale to nie znaczy, że nie ma w nas zdolności, by widzieć w człowieku dobro mimo wrogości czy stania po przeciwnych stronach barykady. Nie dalej jak przed dwoma dniami Agora opublikowała w internecie zdjęcie listu, który otrzymała od uczestnika Krucjaty Różańcowej pikietującej przed siedzibą „Gazety Wyborczej”. List skierowany jest „do Pana, który serwował ciepłą herbatę”. Adam, uczestnik Krucjaty Różańcowej, napisał: „Chciałbym podziękować w imieniu swoim, ale myślę, że też wielu osób, za ciepłą herbatę, którą Pan przyniósł do uczestników Krucjaty Różańcowej za Ojczyznę. Pogoda była niesprzyjająca, a herbata dobrze nam zrobiła. Wszystkiego dobrego życzę Panu i Pana rodzinie”. To bardzo dobry przykład. On właśnie nam uświadamia, że miłosierdzie nie jest pobłażliwym kłamstwem o człowieku, zatarciem prawdy, ale zdolnością do dostrzeżenia w nim dobra poza i ponad tym, co różni czy dzieli, wszak – mówiąc oględnie – Agora do koalicjantów i ulubieńców Krucjaty Różańcowej nie należy. Przyszli przecież protestować przeciwko niej, nie inaczej.

Jak dobrze wiemy z Ewangelii wg św. Łukasza, Jezus rodzi się w czasie, gdy „wyszło rozporządzenie cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym świecie” (Łk 2,1). Już kiedyś mówiłem, że jeśli przyjąć, iż Maryja urodziła jeszcze w drodze, to Józef, który udał się do Betlejem po to właśnie, „aby się dać zapisać”, urzędnikom cezara Augusta zapewne podał nie tylko imię małżonki, ale także imię syna – Jezusa, syna Józefa, syna Jakuba, syna Dawida, syna Abrahama (por. Mt 1,1–16). W ten sposób sam Bóg został – że tak powiem – „policzony między ludzi”. To wpisanie się na listę ludzi ma oczywiście określone teologiczne znaczenie. W ten niejako urzędowy sposób Bóg potwierdza, że jest jednym z nas. Dzieli nasz los, abyśmy kiedyś mogli podzielić Jego los. Orygenes dodaje, że „kto to wnikliwie rozpatrzy, dostrzeże tajemnicę ukrytą w fakcie, iż tym spisaniem całej ziemi objęty został także Chrystus: skoro wszyscy zostali zapisani,

<sup>3</sup> Jan Paweł II, Encyklika *Dives in misericordia*, Rzym 1980, 6.



wszystkich mógł uświęcić, skoro cała ziemia została spisana, ziemię dopuścił do komunii z sobą, po czym wszystkich ludzi wpisał do księgi żyjących, z niej zaś ci, co w Niego uwierzyli, zostali następnie zapisani w niebie, pośród świętych Tego, któremu chwała i panowanie na wieki wieków!”<sup>4</sup>. A co z tymi, którzy w Niego nie wierzą? Nie, nie trzeba jakiegś szczególnie głębokiej wiary, a może i żadnej, by nauczyć się miłosierdzia. Bo jest ono „podstawowym prawem, które mieszka w sercu każdego człowieka, gdy patrzy on szczerymi oczami na swojego brata, którego spotyka na drodze życia” – jak mówi papież Franciszek<sup>5</sup>. Nawet jeśli ten brat stoi naprzeciw mojej barykady. Do tego nie trzeba być katolikiem, wystarczy być człowiekiem. Wiara może stać się dodatkową motywacją. Może, ale nie musi. Czasami, niestety, zdarza się, że i nienawiść jest motywowana wiarą, co – jak wiadomo – jest bluźnierstwem. Myślę, że miłosierdzie bez wiary lepsze jest od wiary bez miłosierdzia.

Wspominałem przed chwilą o Jezusie jako o Bogu „policzonym pomiędzy ludzi”. O zapowiedzianym Mesjaszu powie prorok, że „policzony został między przestępców” (Iz 53,12), co się ostatecznie dokona na Golgocie, gdzie zostanie powieszony „między dwóch łotrów” (por. Mk 15,27). I to właśnie do takiego świata, do takiej przestępczej ludzkości przychodzi Jezus. Jak pisze papież, „Jezus z Nazaretu swoimi słowami, gestami i całą swoją osobą objawia miłosierdzie Boga”<sup>6</sup>, Boga, który – owszem – przychodzi do nas z powodu naszego przestępstwa, ale może przyjść tylko dlatego, że jego spojrzenie wykracza poza i ponad wszystko, czego tylko człowiek może się dopuścić. On wie, że jako Jego stworzenia i Jego dzieci jesteśmy warci więcej niż nasz grzech. Tylko Jego miłosierdzie może skutecznie zaingerować w zamknięte koło sprawiedliwości, które domaga się przede wszystkim zasłużonej kary. Tylko On może nas ocalić.

<sup>4</sup> Orygenes, *Homilia XI in Lucam*, 6.

<sup>5</sup> Franciszek, *Bulla Misericordiae vultus*, Rzym 2015, 2.

<sup>6</sup> Tamże, 1.

Przed nami Boże Narodzenie – święto, podczas którego wspominamy Boże miłosierdzie, które objawia się w Jego przyjściu na świat, aby nas ocalić od zła. Jeśli chcielibyśmy być naśladowcami Boga, to w ten świat, w którym wciąż głośniejsze jest wołanie o sprawiedliwość niż o miłosierdzie, powinniśmy wkraczać ze spojrzeniem, które zdolne jest widzieć więcej, które nie zatrzymuje się na tym, co złe, które widzi prawdziwie i szczerze. Uczmy się takiego wzroku wobec innych: bliskich i dalekich, przyjaciół i nieprzyjaciół, swoich i obcych. Ale życzymy sobie także, żeby i na nas samych takim spojrzeniem patrzono, byśmy w życiu swoim spotykali jak najwięcej takich, którzy zobaczą nas prawdziwie i szczerze, by i na nas ktoś tak spojrzał. Niech to będzie namiastką tego, jak nas widzi Bóg. Niech to będzie takie nasze małe ocalenie.

19 GRUDNIA 2015

## Pięćdziesiątka Trzech Króli

Gdy [...] Jezus narodził się w Betlejem w Judei za panowania króla Heroda, oto mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy i pytali: „Gdzie jest nowo narodzony Król żydowski? Ujrzeliśmy bowiem Jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać Mu pokłon”. Skoro to usłyszał król Herod, przeraził się, a z nim cała Jerozolima. Zebrał więc wszystkich arcykapłanów i uczonych ludu i wypytywał ich, gdzie ma się narodzić Mesjasz. Ci mu odpowiedzieli: „W Betlejem judzkim, bo tak zostało napisane przez Proroka: A ty, Betlejem, ziemio Judy, nie jesteś zgoła najluchsze spośród głównych miast Judy, albowiem z ciebie wyjdzie władca, który będzie pasterzem ludu mego, Izraela”.

Wtedy Herod przywołał potajemnie mędrców i wywiedział się od nich dokładnie o czas ukazania się gwiazdy. A kierując ich do Betlejem, rzekł: „Udajcie się tam i wypytajcie starannie o Dziecię, a gdy je znajdziecie, donieście mi, abym i ja mógł pójść i oddać mu pokłon”. Oni zaś, wysłuchawszy króla, ruszyli w drogę. A oto gwiazda, którą widzieli na Wschodzie, postępowała przed nimi, aż przyszła i zatrzymała się nad miejscem, gdzie było Dziecię. Gdy ujrzeni gwiazdę, bardzo się uradowali. Weszli do domu i zobaczyli Dziecię z Matką Jego, Maryją; padli na twarz i oddali Mu pokłon. I otworzywszy swe skarby, ofiarowali Mu dary: złoto, kadzidło i mirrę. A otrzymawszy we śnie nakaz, żeby nie wracali do Heroda, inną drogą udali się z powrotem do swojego kraju (Mt 2,1–12).

Jak wiadomo, biblijni królowie byli raczej mędrkami niż monarchami. Choć tradycja włożyła im korony na głowy, to prawdopodobnie królami nie byli. Nade wszystko byli ludźmi wiedzy. Chętnie byśmy powiedzieli, że wiedzy prymitywnej, bo astrologicznej, ale chyba wcale tak nie było, skoro to właśnie ta wiedza doprowadziła ich do Chrystusa.

W jakim stanie ducha, z jaką nową wiedzą i mądrością wracali do swoich domów i narodów? Święty Mateusz swoją relację z ich wizyty kończy stwierdzeniem, że „inną drogą udali się z powrotem do swojego kraju” (Mt 2,12). Teologowie zwykli słowa te odnosić nie tylko do geografii, ale także do stanu ducha mędrków. Wracali „inną drogą” nie tylko z powodu krwawych zamiarów Heroda, ale także dlatego, że sami byli już inni, odmienieni po spotkaniu z Tym, w którym przez swoje skarby uznali króla, kapłana i śmiertelnego człowieka.

Święty Grzegorz z Nazjanzu mówił, że w chwili, w której trzech królowie, prowadzeni przez gwiazdę, adorowali nowego Króla Chrystusa, nastąpił koniec astrologii, gdyż od tej pory gwiazdy poruszają się po orbitach wyznaczonych przez Chrystusa. Innymi słowy – to nie gwiazdy decydują o Chrystusie, ale Chrystus decyduje o gwiazdach. Papież Benedykt XVI tak rozwija tę myśl św. Grzegorza: „To nie żywioły świata, prawa materii rządzą ostatecznie światem i człowiekiem, ale osobowy Bóg rządzi gwiazdami, czyli wszechświatem; prawa materii i ewolucji nie są ostateczną instancją, ale rozum, wola, miłość – Osoba. [...] Niebo nie jest puste. Życie nie jest zwyczajnym następstwem praw i przypadkowości materii, ale we wszystkim i równocześnie ponad wszystkim jest osobowa wola, jest Duch, który w Jezusie objawił się jako Miłość”<sup>1</sup>.

Czy z taką świadomością wracali z Betlejem królowie? Czy zamienili swą pogańską mądrość płynącą z gwiazd na mądrość jednej Gwiazdy – Jezusa Chrystusa? Tradycja mówi, że stali się wyznawcami Chrystusa, a ich domniemane relikwie znajdują się w katedrze w Kolonii. Mniejsza jednak o niepewną tradycję. Jedno jest jednak pewne: kto szczerze szuka Boga, ten Go znajduje, a kto Go znajdzie, wraca

<sup>1</sup> Benedykt XVI, Encyklika *Spe salvi*, Rzym 2007, 5.

do siebie odmieniony. W *Powrocie Trzech Króli* T.S. Eliot sformułował to może nieco ostrożej: „Wróciliśmy do siebie, do naszych starych Królestw, / Ale w tym dawnym obrządku jakoś nam już nieswojo”<sup>2</sup>.

A jakie znaczenie dla dzisiejszej homilii ma wiek celebransa i kaznodziei w jednej osobie?<sup>3</sup> Ile lat mieli wówczas królowie? – nie wiadomo. Tradycja ukazuje ich już jako mężów dojrzałych. Ci w naszej szopce w Lubsku też do najmłodszych nie należą. Trudno się dziwić, wszak mądrość kojarzona jest raczej z późnym wiekiem. Może mieli koło pięćdziesiątki? A może nawet i nie.

Oblicza się, że w starożytności średnia wieku wynosiła ledwo dwadzieścia dwa lata, w średniowieczu wzrosła do lat trzydziestu trzech, a jeszcze w połowie XIX wieku wynosiła tylko nieco ponad czterdzieści lat życia. Poślubiając Maryję, Józef miał może jakieś osiemnaście lat – taki był najlepszy wiek do ożenku, choć niektórzy dają mu trzydzieści trzy, a nawet osiemdziesiąt lat w momencie ślubu. Jezus – jak wiemy – około trzydziestu lat spędził w domu rodzinnym w Nazarecie, a wyruszył w świat już jako bardzo dojrzały mężczyzna. Trzeba było Mu aż trzydziestu lat, by wzrastał w mądrości i w łasce u Boga i u ludzi (por. Łk 2,52). „Łaskawy Bóg po to czas stworzył, by człowiek w nim dojrzewał” – przeczytałem gdzieś u Brandstaettera. Apostołowie prawdopodobnie do starców też nie należeli, ale na przykład taki Piotr był już po ożenku, skoro miał teściową. O Janie z kolei mówią niektórzy, że był jeszcze prawie dzieckiem. Tylko nieliczni dożywali biblijnej starości, o której pisał psalmista, że miarą naszych lat jest lat siedemdziesiąt, a osiemdziesiąt, gdy jesteśmy mocni (Ps 90,10). Chyba tych mocnych zbyt wielu nie było.

Każda radykalna zmiana w naszym kalendarzu życia sugeruje nam, że na coś już jest za późno, a na coś – może jeszcze za wcześnie. Ale historia królów i wszystkich innych, którzy zamieszani są w historię

<sup>2</sup> T.S. Eliot, *Powrót Trzech Króli*, tłum. A. Libera, <<http://www.antoni-libera.pl/node/130>>.

<sup>3</sup> Niniejsza homilia została wygłoszona na Mszy św. w intencji autora z okazji jego 50. urodzin.

Jezusa, mówi nam coś innego. W perspektywie wiary nie ma żadnego „za późno” i „za wcześnie”. „Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem” (Koh 3,1) – jak przypomina nam mędrzec Kohelet. Może właśnie dlatego starożytna tradycja nakazuje odczytywać kalendarz świąt ruchomych właśnie w Objawienie Pańskie, czyli Trzech Króli. Strawili oni najpewniej wiele lat studiów mądrych ksiąg i zapisów, by pokoiarzyć ruch gwiazd i zapowiedzi proroków. Nie wiadomo, jak długo szli. Być może nawet starość dopadła ich w drodze. Ich przygoda mówi nam, że dla wiary nie ma czasu złego. Nie ma czasu złego na odnalezienie Boga. Nigdy nie jest na to ani za wcześnie, ani za późno. Ani na nawrócenie. Ani na świętość. Ani na uznanie tego, że niebo nie jest puste, a nad tym wszystkim jest Miłość. Tylko niewiara jest zawsze stara. Wiara jest zawsze młoda. Ta przed pięćdziesiątką. I ta po niej.

6 STYCZNIA 2016

## Miłosierdzie, które się śpieszy

Przybliżali się do Niego wszyscy celnicy i grzesznicy, aby Go słuchać. Na to szemrali faryzeusze i uczeni w Piśmie, mówiąc: „Ten przyjmuje grzeszników i jada z nimi”. Opowiedział im wtedy następującą przypowieść: [...] „Pewien człowiek miał dwóch synów. Młodszy z nich rzekł do ojca: «Ojcze, daj mi część własności, która na mnie przypada». Po dzielił więc majątek między nich. Niedługo potem młodszy syn, zabrawszy wszystko, odjechał w dalekie strony i tam roztrwonił swoją własność, żyjąc rozrzutnie. A gdy wszystko wydał, nastał ciężki głód w owej krainie, i on sam zaczął cierpieć niedostatek. Poszedł i przysłał na służbę do jednego z obywateli owej krainy, a ten posłał go na swoje pola, żeby pasł świnię. Pragnął on napęłnić swój żołądek strąkami, którymi żywiły się świnię, lecz nikt mu ich nie dawał. Wtedy zastanowił się i rzekł: «Iluż to najemników mego ojca ma pod dostatkiem chleba, a ja tu przymieram głodem. Zabiorę się i pójdę do mego ojca, i powiem mu: Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Niebu i względem ciebie; już nie jestem godzien nazywać się twoim synem: uczyni mnie choćby jednym z twoich najemników». Zabrał się więc i poszedł do swojego ojca.

A gdy był jeszcze daleko, ujrzał go jego ojciec i wzruszył się głęboko; wybiegł naprzeciw niego, rzucił mu się na szyję i ucałował go. A syn rzekł do niego: «Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Niebu i wobec ciebie, już nie jestem godzien nazywać się twoim synem». Lecz ojciec powiedział do swoich sług:

«Przynieście szybko najlepszą szatę i ubierzcie go; dajcie mu też pierścienie na rękę i sandały na nogi! Przyprawdźcie utuczone cielę i zabijcie: będziemy ucztować i weselić się, ponieważ ten syn mój był umarły, a znów ożył; zaginął, a odnalazł się». I zaczęli się weselić.

Tymczasem starszy jego syn przebywał na polu. Gdy wracał i był blisko domu, usłyszał muzykę i tańce. Przywołał jednego ze sług i pytał go, co to ma znaczyć. Ten mu rzekł: «Twój brat powrócił, a ojciec twój kazał zabić utuczone cielę, ponieważ odzyskał go zdrowego». Rozgniewał się na to i nie chciał wejść; wtedy ojciec jego wyszedł i tłumaczył mu. Lecz on odpowiedział ojcu: «Oto tyle lat ci służę i nie przekroczyłem nigdy twojego nakazu; ale mnie nigdy nie dałeś koźlęcia, żebym się zabawiał z przyjaciółmi. Skoro jednak wrócił ten syn twój, który roztrwonil twój majątek z nierządnicami, kazałeś zabić dla niego utuczone cielę». Lecz on mu odpowiedział: «Moje dziecko, ty zawsze jesteś ze mną i wszystko, co moje, do ciebie należy. A trzeba było weselić się i cieszyć z tego, że ten brat twój był umarły, a znów ożył; zaginął, a odnalazł się» (Łk 15,1–3.11–32).

Wiele (a może nawet i większość) znanych mi malarskich wyobrażeń powrotu syna marnotrawnego ukazuje go na klęczkach przed ojcem. I wydaje się nam to logiczne, przecież syn winien najpierw się ukorzyć i upokorzyć, paść na kolana. Może nawet taki miał plan, kiedy mówił sobie, że powie ojcu, iż nie jest godzien nazywać się już synem. A przecież w Jezusowej przypowieści nic o klękaniu nie ma. Zresztą trudno byłoby się rzucać na szyję klęczącemu. A tak przecież mówi Jezus: „A gdy był jeszcze daleko, ujrzał go jego ojciec i wzruszył się głęboko; wybiegł naprzeciw niego, rzucił mu się na szyję i ucałował go” (Łk 15,20).

Syn klęczący przed ojcem pojawia się choćby na tych najbardziej znanych obrazach: u Rembrandta, Jamesa Tissota, Pompeo Battoniego, Guercina. Tak też jest w klasycznej choreografii George’a Balanchine’a do baletu Sergiusza Prokofiewa: powracający syn pada przed ojcem na kolana, następnie czołga się w jego kierunku, wspina się po jego ciele, chwytając za szyję, a ten go okrywa swoim płaszczem i przytula do siebie. Zresztą w tej choreografii ojciec czeka niewzruszony, nie wybiega,



a nawet się nie pochyla. Być może trudno już nam sobie wyobrazić syna inaczej niż klęczącego. Duża w tym zasługa Rembrandta, którego *Powrót syna marnotrawnego* z Ermitażu stał się dla tej przypowieści tak kanoniczny jak Leonardo da Vinci dla ikonografii Ostatniej Wieczery. Przed oczami mamy owe dwie ręce spoczywające na barkach klęczącego syna. Joseph Parker, XIX-wieczny kaznodzieja anglikański, tak pisał o synu marnotrawnym: „W momencie, kiedy zrzucił z siebie dumę, w momencie, gdy powiedział do siebie: «Nie mogę przed nim stanąć, ale powinienem upaść u jego stóp», został zwyciężcą!”. I dalej jeszcze: „Tak długo jak stoimy, Bóg nic z nami nie robi, ponieważ nie może”<sup>1</sup>. Trzeba najpierw paść na kolana, upokorzyć się, upaść w proch i pył. A Pan podniesie. Czy tak jest rzeczywiście? Przynajmniej w tej Jezusowej przypowieści?

Historia powrotu syna zaczyna się od momentu, kiedy „zastanowił się”, a właściwie „przyszedł do siebie” i powiedział sobie: „zabiorę się i pójdę”, a potem „zabrał się więc i poszedł” (Łk 15,17.18.20). Ale to nie jest jedynie zapowiedź powrotu do domu. Moim zdaniem to nie tylko typowy semityzm wyrażający zamiar natychmiastowego wyruszenia w drogę. Święty Łukasz użył tutaj jednego z najbardziej – jeśli można tak powiedzieć – teologicznych czasowników: *anistēmi*, to znaczy „wstawać”. W języku teologii Nowego Testamentu ta zwykła czynność wstawania nabiera szczególnego sensu. Tym samym bowiem czasownikiem określa się Zmartwychwstanie Jezusa. Pisałem o tym już w książce *Emaus. Tajemnice dnia ósmego*. Polskie „wybrali się” w odniesieniu do uczniów, którzy rozpoznali Jezusa, to dużo za mało. W tym momencie oni byli *anastantes* – „ci, którzy wstali”. I tacy właśnie powrócili do Jerozolimy – „zmartwychwstani”<sup>2</sup>. „Wstanę i pójdę” – mówi więc sobie syn marnotrawny. Albo „wstawszy, pójdę”; albo jeszcze inaczej: „gdy będę już stał, pójdę”; lub też: „gdy będę już wstany (wiem, że nie

<sup>1</sup> J. Parker, *Bread Enough And To Spare*, w: W.W. Wiersbe (red.), *Classic Sermons on The Prodigal Son*, Grand Rapids 1995, s. 122.

<sup>2</sup> A. Draguła, *Emaus. Tajemnice dnia ósmego*, Warszawa 2015, s. 159–160.

ma takiego imiesłowu, bo to czasownik nieprzechodni), pójdę”. Tak też zrobił: „wstał i poszedł”, *surgens venit* – jak mówi Wulgata. Stwierdzenie to odnosi się nie tylko do drogi, którą trzeba będzie fizycznie pokonać, ale także do duchowego itinerarium, które właśnie syn rozpoczął. Postawa stojąca jest postawą żywych, trzeba wstać, by wrócić. Jak postanowił, tak też zrobił. Podczas gdy ojciec będzie do niego biegł, on będzie tylko szedł. Być może powoli i ze spuszczoną ze wstydu głową, a może nawet pełen wątpliwości, czy ojciec go przyjmie. Tak czy inaczej, zaczyna się już jego zmartwychwstanie, co potwierdzi sam ojciec, mówiąc o nim, że „był umarły, a znów ożył” (Łk 15,32).

Według tłumacza Biblii Tysiąclecia na widok syna ojciec „wzruszył się głęboko” (Łk 15,20). Czasownik „wzruszyć się” koncentruje się na podmiocie, na jego stanie emocjonalnym i wewnętrznym poruszeniu. Wzruszyć się to – jak podpowiada słownik – „doznać uczucia tklivości, czułości, przejąć się czymś”. Ale tam było coś więcej niż wzruszenie, nawet głębokie. Czasownik *splagchnizomai* tłumaczony tutaj jako „wzruszyć się” pochodzi od rzeczownika *splangchnon*, którym zbiorczo określa się wnętrze: serce, płuca, nerki, wątrobę. Chodzi więc o wzruszenie, o poruszenie, które sięga aż do wnętrza, gdzieś do splotu słonecznego, takie, które aż boli i które nie pozwala pozostać biernym, a każe działać. Święty Hieronim w Wulgacie powie, że ojciec *miser cordia motus est*, co znaczy „poruszony został miłosierdziem”. Tego samego czasownika św. Łukasz użyje, gdy będzie relacjonował przypowieść o miłosiernym Samarytaninie (Łk 10,33), który – jak czytamy w Biblii Tysiąclecia – także „wzruszył się głęboko”. Nie o wzruszenie jako stan emocjonalny tutaj jednak chodzi, lecz o miłosierdzie, które porusza i prowokuje do działania, które nie pozwała pozostać obojętnym. Takim miłosierdziem kierował się sam Jezus, gdy św. Mateusz pisze o Nim, że „widząc tłumy, litował się nad nimi, bo byli znękani i porzuceni, jak owce nie mające pasterza” (Mt 9,36). Tym samym słowem św. Łukasz opisuje relację wdowy z Nain, na widok której „Pan zlitował się nad nią” (Łk 7,13). Nie chodzi o wzruszenie, chodzi o działanie.

To, że ojciec biegnie na spotkanie syna, nie jest wcale czymś oczywistym. W tradycyjnej mentalności ludzi Bliskiego Wschodu bieg postrzegany jest raczej jako zachowanie mało dojrzałe i niepoważne. Śpieszący się starzec jest śmieszny, a ojciec biegnący na spotkanie syna naraża się na kpiny. Tego się po prostu nie robi, nie uchodzi! Ale Jezus używa takiego właśnie obrazu, by pokazać naturę Bożego miłosierdzia, które tak bardzo różni się od ludzkich postaw, że może nawet wzbudzić śmiech i kpinę. Tak jak ojciec wybiega na spotkanie syna, tak Bóg miłosierny wybiega naprzeciw grzesznikowi. Z pośpiechem, uprzedzając go, będąc od niego szybszym. Bez względu na to, jak bardzo byśmy chcieli je unormalnić, miłosierdzie jest skandaliczne. Nie liczy się z tzw. przyzwoitością, naraża się na śmiech i kpinę, a w oczach wielu miłosierdzie zachowuje się wręcz nieprzyzwoicie. W wyrażeniu „ucałował go”, które znajdujemy w przypowieści, nie ma wszystkiego, co zawarte jest w greckim oryginale. Bo nie „ucałował go” i już. To nie cmok w policzek czy czoło. Ale raczej całował i całował bez końca, gorąco i bez opamiętania.

Richard Chenevix Trench w komentarzu do przypowieści przytacza stare wschodnie przysłowie: *Who draws near to me (God) an inch, I will draw near to him an ell; and whoso walks to meet me, I will leap to meet him*, co można by przetłumaczyć następująco: „Do tego, kto zbliża się do mnie na cal, ja zbliżam się na łokieć; a do tego, kto idzie do mnie, aby mnie spotkać, ja biegnę w podskokach”<sup>3</sup>. Z kolei św. Bazylemu Wielkiemu przypisuje się zdanie z jego kazania *O pokucie: Tantum velis et Deus prius occurret*. Można je przetłumaczyć różnie, na przykład: „O ile tylko zechcesz, Bóg przyjdzie wcześniej”. Można też inaczej: „Gdybyś tylko zechciał, a Bóg przyjdzie wcześniej”. Nie jest łatwo wyrazić zawarty w tym zdaniu paradoks, który mówi, że Bóg jest „wcześniejszy” czy też „szybszy” od naszego chcenia, a przecież równocześnie jakoś jest od niego zależny. Kiedy my do Niego – jak marnotrawny syn – idziemy, a może nawet powłóczymy nogami ze wstydu, On – niczym

<sup>3</sup> R.Ch. Trench, *Notes of the Parables of Our Lord*, London 1844, s. 389.

ojciec z przypowieści – już do nas biegnie. Trzeba tylko wyruszyć. On sam wybiegnie na spotkanie. I wyciągnie. I nie trzeba padać na kolana, by nas podniósł. Zresztą nie zdążymy. On nas bowiem obejmuje już wtedy, gdy jeszcze do Niego biegniemy.

6 MARCA 2016

## Koszta miłosierdzia

Wieczorem owego pierwszego dnia tygodnia, tam gdzie przebywali uczniowie, choć drzwi były zamknięte z obawy przed Żydami, przyszedł Jezus, stanął pośrodku i rzekł do nich: „Pokój wam!” A to powiedziawszy, pokazał im ręce i bok. Uradowali się zatem uczniowie, ujrzawszy Pana. A Jezus znowu rzekł do nich: „Pokój wam! Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam”. Po tych słowach tchnął na nich i powiedział im: „Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuścicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane”.

Ale Tomasz, jeden z Dwunastu, zwany Didymos, nie był razem z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Inni więc uczniowie mówili do niego: „Widzieliśmy Pana!” Ale on rzekł do nich: „Jeżeli na rękach Jego nie zobaczę śladu gwoździ i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, i ręki mojej nie włożę w bok Jego, nie uwierzę”. A po ośmiu dniach, kiedy uczniowie Jego byli znowu wewnątrz [domu] i Tomasz z nimi, Jezus przyszedł, choć drzwi były zamknięte, stanął pośrodku i rzekł: „Pokój wam!” Następnie rzekł do Tomasza: „Podnieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce. Podnieś rękę i włoż w mój bok, i nie bądź niedowiakiem, lecz wierzącym”. Tomasz w odpowiedzi rzekł do Niego: „Pan mój i Bóg mój!” Powiedział mu Jezus: „Uwierzyłeś dlatego, że Mnie ujrzałeś? Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”.

I wiele innych znaków, których nie zapisano w tej księdze, uczynił Jezus wobec uczniów. Te zaś zapisano, abyście wierzyli, że Jezus jest Mesjaszem, Synem Bożym, i abyście wierząc, mieli życie w imię Jego (J 20,19–31).

Przy wielkim ołtarzu Wita Stwosza w kościele Mariackim w Krakowie stoi figura Chrystusa Zmartwychwstałego. Jest nieporównywalnie większa od tych, które najczęściej stają w okresie wielkanocnym na naszych ołtarzach. Nagi Chrystus ubrany jest w szkarłatny płaszcz z błękitnym podbiciem. Profil tej figury – jak to jest właściwe dla sztuki średniowiecznej – przypomina literę S. Artysta w ten sposób ukształtował postać i udrapował szaty, że optyczne centrum stanowi czerwona rana usytuowana na prawym boku. Kiedy się przypatrywałem tej figurze, pomyślałem, że bardzo dobrze wyraża treść święta Bożego Miłosierdzia, w centrum którego stają Jezusowe rany, a zwłaszcza ta jedna, rana w boku, która prowadzi do serca, ta rana, z której „wypłynęła krew i woda” (J 19,34).

Kiedy Jezus pojawił się w dzień Zmartwychwstania w Wieczerniku, uczniom wystarczyło, że Go zobaczyli, aby uwierzyć, że to On. Przynajmniej na tę chwilę. Jeszcze na górze Wniebowstąpienia znajdują się wśród uczniów tacy, o których św. Mateusz napisze, że „niektórzy [...] wątpili” (Mt 28,17). Wieczorem w dzień Zmartwychwstania Tomasz z uczniami nie było, ale nawet gdyby był, pewno by nie uwierzył. Nie wystarczyło mu tylko zobaczyć, chciał dotknąć, włożyć palec w ranę, zanurzyć się w Jezusowe ciało.

Dzisiaj jest święto Miłosierdzia Bożego, którego treść dzięki św. Faustynie została „przetłumaczona” na obraz Jezusa z przebitym sercem, z którego wypływają promienie miłosierdzia: biało-niebieski i czerwony, symbolizujące wodę i krew. Woda oznacza obmycie i czystość, krew zaś życie, które zostało nam ofiarowane przez Śmierć i Zmartwychwstanie Chrystusa.

Ten także fizyczny i anatomiczny wręcz obraz rany w sercu jest wyrazem głębokiej teologicznej prawdy. Kiedy Benedykt XVI wyjaśnia, czym jest miłość Boga, przywołuje tekst z proroka Ozeasza, w którym

Bóg mówi o swojej reakcji na niewierność Izraela (por. Oz 11,8). Tekst Biblii Tysiąclecia brzmi: „Moje serce na to się wzdryga i rozpalają się moje wnętrzności”. Niestety, niewiele nam to mówi. Rzadko używany czasownik „wzdrygać się” znaczy „drgnąć gwałtownie wskutek doznania nie milego uczucia”. Ale to daleko za mało. Bliższa jest pierwotnemu sensowi Wulgata z wyrażeniem *conversum est in me cor meum* i polska Biblia Poznańska: „Odmieniło się we mnie serce i litość moja się poruszyła”. W książce pt. *Jezus z Nazaretu* papież mówi tak: „Bóg ma serce i serce to, można by powiedzieć, obraca się przeciwko Niemu samemu [...]. Serce Boga przemienia gniew, a karę zamienia na przebaczenie”<sup>1</sup>, a w encyklice *Deus caritas est* dopowiada: „Namiętna miłość Boga do swojego ludu – do człowieka – jest zarazem miłością, która przebacza. Jest ona tak wielka, że zwraca Boga przeciw Niemu samemu, Jego miłość przeciw Jego sprawiedliwości”<sup>2</sup>.

Bóg w swoim sercu zmaga się z sobą, wzdraga (a nie wzdryga!), czyli wzbrania się przed gniewem i z tym własnym gniewem wygrywa, bo – jak mówią znane słowa św. Augustyna – „Łatwiej jest Bogu powstrzymać gniew aniżeli miłosierdzie”<sup>3</sup>. Miłosierdzie to miłowanie, które wyrasta z wnętrzności, wypływa gdzieś z osierdzia, z serca, z najgłębszych pokładów samego Boga. Serce Boga jest przebite, bo miłosierdzie wygrywa w nim z gniewem. Zranione grzechem człowieka i własnym gniewem, wylewa na nas obficie swoje miłosierdzie.

Czyż i my nie znamy tego doświadczenia, tego stanu, gdy miłość bierze w naszych sercach górę nad słusznym – jak się wydaje – gniewem? Czy nie boli nas wówczas serce? A mimo wszystko wiemy, że to ból, który daje uzdrowienie. „W Jego ranach jest nasze uzdrowienie” (Iz 53,5). W ranach naszego serca jest zdrowie tych, którzy przeciw nam zgrzeszyli. W komentarzu do przypowieści o synu marnotrawnym

<sup>1</sup> J. Ratzinger / Benedykt XVI, *Jezus z Nazaretu*, t. I: *Od chrztu w Jordanie do Przemienienia*, tłum. W. Szymona, Kraków 2007, s. 178.

<sup>2</sup> Benedykt XVI, Encyklika *Deus caritas est*, Rzym 2005, 10.

<sup>3</sup> Św. Augustyn, *Objaśnienia psalmów*, 76,11; zob. Franciszek, Bulla *Misericordiae vultus*, Rzym 2015, 21.

Timothy Keller pisze: „Miłosierdzie i przebaczenie muszą być darmowe i bezinteresowne dla winowajcy. Jeśli winowajca ma czymś na nie zasłużyć, nie ma mowy o miłosierdziu. Przebaczenie zawsze wiąże się z kosztami po stronie tego, kto go udziela”<sup>4</sup>. Tym kosztem jest przebite serce Boga. To ono skłania nas do skruchy. Nawracamy się, ponieważ zostało nam przebaczone. Tym kosztem są także nasze przebite serca. Ci, którzy przeciw nam zgrzeszyli, przyjdą do nas tylko wtedy, gdy będą pewni naszego przebaczenia. Najpierw jest miłosierdzie, a potem skrucha. Bo miłosierdzie kosztuje bardziej tego, który przebacza, niż tego, który powraca. Zawsze. Inaczej to nie jest miłosierdzie, lecz co najwyżej wielkopańska litość niegodna Boga i tych, którzy mienią się Jego dziećmi.

3 KWIETNIA 2016

<sup>4</sup> T. Keller, *Bóg marnotrawny. Powrót do istoty wiary chrześcijańskiej*, tłum. A. Dominowska, Starogard Gdański 2013, s. 86.



## Dzieci wichru Wieczernika

Jeżeli Mnie miłujecie, będziecie zachowywać moje przykazania. Ja zaś będę prosił Ojca, a innego Parakleta da wam, aby z wami był na zawsze [...].

Jeśli Mnie kto miłuje, będzie zachowywał moją naukę, a Ojciec mój umiłuje go i przyjdziemy do niego, i mieszkanie u niego uczynimy. Kto Mnie nie miłuje, ten nie zachowuje słów moich. A nauka, którą słyszycie, nie jest moja, ale Tego, który Mnie posłał, Ojca.

To wam powiedziałem, przebywając wśród was. A Paraklet, Duch Święty, którego Ojciec pošle w moim imieniu, On was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, co Ja wam powiedziałem (J 14,15–16.23b–26).

Zamknięcie się „z obawy przed Żydami” (J 20,19) było naturalnym odruchem uczniów Chrystusa. Być może mieli w pamięci słowa Miśtrza: „podniosą na was ręce i będą was prześladować. Wydadzą was do synagog i do więzień oraz z powodu mojego imienia wlec was będą przed królów i namiestników” (Łk 21,12) oraz „Jeżeli Mnie prześladowali, to i was będą prześladować” (J 15,20). Przecież słowa te wypowiedział nie tak dawno, bo trzy dni wcześniej, w przeddzień swojej męki i śmierci. Mieli prawo się bać, że nienawiść do Jezusa zostanie skierowana także przeciwko nim – Jego uczniom, którzy wcale nie byli bezimienni. Jan był dobrze znany arcykapłanowi. Inni być może także. Nie było trudno ich odnaleźć, zidentyfikować, wydać. Mogli

być następni. Przecież na własne oczy widzieli nienawiść tych, którzy wydali na śmierć Jezusa. Zamknęli się, a może nawet zabarykowali, oczekując niechybnego ataku. Lęk jest naturalnym odruchem człowieka, którego poczucie bezpieczeństwa wydaje się zagrożone. Trudno się im dziwić.

Pięćdziesiąt dni później znów są w Wieczerniku, „wszyscy razem na tym samym miejscu” (Dz 2,1). Czy znów drzwi były zamknięte „z obawy przed Żydami”? Nie wiadomo. Na pewno razem czuli się bezpieczniej niż w rozproszczeniu. I wtedy staje się to, co w dniu Zmartwychwstania zapowiedział Jezus. Wówczas tchnął na nich i powiedział: „Weźmijcie Ducha Świętego!” (J 20,22). Teraz Go im zsyła, napęłniając „cały dom, w którym przebywali” (Dz 2,2), szumem gwałtownego wiatru i ogniem, który rozdzielił się nad ich głowami. Wiatr i ogień – żywioły, które wydają się niszczycielskie, ale – być może – były konieczne, by przewiać i wypalić lęk, a dać tchnienie i zapal odwagi. Już nie ma Żydów, których jeszcze niedawno tak bardzo się obawiali, że trzeba było barykadować przed nimi drzwi. Teraz pojawiają się u tych samych drzwi „pobożni Żydzi ze wszystkich narodów pod słońcem” (Dz 2,5). Przybiegli, bo „każdy słyszał, jak [tamci] przemawiali w jego własnym języku” (Dz 2,6). Świat okazuje się o wiele bardziej przyjazny, gdy – będąc wzmocnionym Duchem – przemówi się do niego w jego własnym języku. Ale o wiele ważniejsza niż znajomość świata jest „znajomość” z Duchem Świętym, który jest – jak zapowiada dzisiaj sam Jezus – pamięcią Kościoła. To On uczy Ewangelii i ją przypomina. Tylko pod takim warunkiem można do świata skutecznie przemawiać.

Duch Święty, który zstępuje na uczniów zgromadzonych w Wieczerniku, jest przede wszystkim duchem odwagi i wolności. To dzięki temu powiewowi i żarowi uczniowie wyruszyli z Wieczernika Zesłania w stronę nieznanych środowisk i obcych lądów. Pragnienie i poczucie wolności było w nich większe niż potrzeba bezpieczeństwa. Jak pisał ks. abp Józef Życiński, „gdyby wystraszeni Apostołowie zrobili sobie w Wieczerniku wnikliwe podsumowanie zagrożeń czekających na nich w Koryncie czy w Rzymie, prawdopodobnie nie opuściliby swej

ziemi rodzinnej”<sup>1</sup>, a przecież poszli „aż po krańce świata” (por. Dz 1,8), ówczesnego świata.

Pod wieloma względami nasza sytuacja podobna jest do tej z Wieczernika z dnia Zmartwychwstania. Jest w nas pokusa, by się zamknąć „z obawy”. Świata, w którym przyszło nam żyć, doświadczamy ostatnio coraz bardziej jako źródła zagrożeń. Tak nam się jawi Europa, tak nam się jawi Kościół, tak nam się także w dużej mierze jawi Polska. Wielu z nas ma wrażenie, że czyhają na nas – jak wówczas na uczniów Chrystusa – różne niebezpieczeństwa. Stąd potrzeba zabarykadowania drzwi, zamknięcia granic, dokładnego wyliczenia tego, kto jest, i tego, kto nie jest w Kościele. Jeszcze raz zacytuję ks. abp. Życińskiego: „Lęk może stanowić zagrożenie dla nas wszystkich, którzy doświadczamy bezradności, spotykając zagrożenia nieznane wcześniejszym generacjom. Łatwo wtedy straszyć i widzieć same negatywy w pejzażu, który mógł być objawieniem Bożej bliskości”<sup>2</sup>. W dniu Zmartwychwstania świat poza Wieczernikiem wydawał się uczniom jedynie źródłem zagrożenia, w dzień Zesłania Ducha Świętego – okazał się miejscem działania Boga.

Święty Łukasz zanotował w *Dziejach Apostolskich*, że przedstawiciele wielu ludów ówczesnego świata: „Partowie i Medowie, i Elamici, i mieszkańcy Mezopotamii, Judei oraz Kapadocji, Pontu i Azji, Frygii oraz Pamfilii, Egiptu i tych części Libii, które leżą blisko Cyreny, i przybysze z Rzymu, Żydzi oraz prozelici, Kreteńczycy i Arabowie” (Dz 2,9–11) – wszyscy oni, „pełni zdumienia i podziwu” (Dz 2,7), słyszeli Apostołów głoszących w językach tych ludów „wielkie dzieła Boże” (Dz 2,11). To ważne. Natchnieni Duchem Świętym uczniowie Chrystusa nie wypowiadali słów potępień, deklaracji wykluczeń, anatem, oskarżeń o herezję ani – tym bardziej – życzeń śmierci komukolwiek. Głosili „wielkie dzieła Boże”. Tylko bowiem w ten sposób – głosząc dzieła Boże – można przewyciężyć wieżę Babel, a na jej miejscu budować

<sup>1</sup> J. Życiński, *Ziarno samotności*, Kraków 1997, s. 21.

<sup>2</sup> Tamże.

Wieczernik z drzwiami, które – owszem – są potrzebne, ale nie po to, by je zamykać czy ryglować, ale po to, by przez te drzwi z niego wyjść do świata. „Dzieci wichru Wieczernika” – raz jeszcze abp Życiński – nie są „towarzystwem adoracyjnym ze szczelnie zamkniętych kapliczek”<sup>3</sup>, ponad nie przedkładają szerokie horyzonty, ponieważ wolność cenią bardziej niż – złudne w gruncie rzeczy – poczucie bezpieczeństwa.

I jeszcze jedno. Chrześcijanie wychodzą z Wieczernika w określonej kondycji – wychodzą uradowani, wszak ujrzeli Zmartwychwstałego Pana.

15 MAJA 2016

<sup>3</sup> Tamże, s. 22.

## Dać się Bogu zobaczyć

Mówił im o królestwie Bożym, a tych, którzy leczenia potrzebowali, uzdrawiał. Dzień począł się chylić ku wieczorowi. Wtedy przystąpiło do Niego Dwunastu, mówiąc: „Odpraw tłum; niech idą do okolicznych wsi i zagród, gdzie mogliby się zatrzymać i znaleźć żywność, bo jesteśmy tu na pustkowiu”. Lecz On rzekł do nich: „Wy dajcie im jeść!” Oni zaś powiedzieli: „Mamy tylko pięć chlebów i dwie ryby; chyba że pójdziemy i zakupimy żywności dla wszystkich tych ludzi”. Było bowiem mężczyzn około pięciu tysięcy. Wtedy rzekł do swych uczniów: „Każcie im rozsiąść się gromadami, mniej więcej po pięćdziesięciu”. Uczynili tak i porozsadzali wszystkich. A On wziął te pięć chlebów i dwie ryby, spojrzał w niebo i odmówiwszy nad nimi błogosławieństwo, połamał i dawał uczniom, by podawali tłumowi. Jedli i nasycili się wszyscy, a zebrano jeszcze z tego, co im zostało, dwanaście koszów ułamków (Łk 9,11b–17).

Genezy uroczystości Bożego Ciała próżno szukać na kartach Ewangelii. Ustanawiając Eucharystię, Jezus nic nie mówił o oglądaniu, o patrzeniu, o adoracji, o wynoszeniu Go w procesji. „Bierzcie i jedzcie” – mówił; „Bierzcie i pijcie” (por. Mt 26,26–27). I nic o oglądaniu. Pragnieniem Pana było, by stał się naszym pokarmem. Pragnieniem Pana było, abyśmy się Nim karmili. I tak było aż do XIII wieku, do roku 1261, gdy papież Urban IV ustanowił uroczystość Bożego Ciała. Przyczyn było

wiele. Nie czas i miejsce, by je szczegółowo wyliczać. Dość powiedzieć, że coraz powszechniejszym pragnieniem wiernych było oglądanie przenajświętszej Hostii. Kapłani przedłużali podniesienie, by wierni mogli się napatrzeć, by mogli nakarmić swój wzrok, czasami – niestety – zamiast karmić Bogiem swoje usta. Można by powiedzieć, że górę wzięła nasza zachodnioeuropejska natura. W końcu my też jesteśmy potomkami owych Greków, którzy przyszedli do Filipa z prośbą: „Chcemy ujrzeć Jezusa” (J 12,21). Żydzi wierzyli, że Bóg mówi, ale nie daje się zobaczyć. Gdy Bóg stał się człowiekiem, gdy się wcielił w Jezusa Chrystusa, siłą rzeczy wystawił się na spojrzenie, dał się zobaczyć, stał się spektaklem: Kimś, kogo można zobaczyć; Kimś do oglądania. Eucharystia jest konsekwencją Wcielenia: gdyby Bóg nie przyjął ludzkiego ciała, nie zostawiłby nam też swego Ciała pod postacią materii, już nie ludzkiej, ale przecież ziemskiej – chleba i wina, które kryją Jego Ciało i Krew.

Cóż nam jednak daje samo widzenie Boga? Nic. Gdy Bóg wisiał na krzyżu – wówczas także ukryty w ludzkim ciele – „lud [...] stał i patrzył” (Łk 23,35). Patrzył, ale nie widział. Można patrzeć i nie widzieć. Patrzeć i nie zobaczyć. Pozostać ślepym. Bo prawdziwa adoracja wcale nie polega na widzeniu i oglądaniu. W konstytucjach siostr cysterek z francuskiego klasztoru Port Royal, których duchowym centrum życia miała być właśnie adoracja eucharystyczna, można przeczytać, że sposobem realizacji tego celu wcale nie będzie jak najczęstsze wystawianie Najświętszego Sakramentu. I gdy w XVII wieku upowszechniał się zwyczaj adoracji czwartkowych, mniszki go nie przyjęły, gdyż – jak czytamy w rzeczonych konstytucjach – prawdziwy kult to wewnętrzna więź duchowa. A wielki teolog i kaznodzieja tamtego czasu Jacques-Bénigne Bossuet pisał, że prawdziwa adoracja dokonuje się wtedy, gdy z wiarą przyjmuje się słowo Boże i Ciało Boga, pokładając w nich swoją miłość i nadzieję. I gdy – dodajmy – z tej wiary i miłości wypływa życie, wszak – jak pisał św. Ireneusz – „Chwałą Boga [jest] żyjący człowiek” (*Gloria Dei vivens homo*). A w kontekście naszego święta można powiedzieć, że to człowiek jest/powinien być najpiękniejszą monstrancją.

Więc po co to święto, jeśli nie po to, by oglądać Boga? Teologowie prawosławni podkreślają, że w ich wschodniej tradycji nie ma adoracji Najświętszego Sakramentu, a w konsekwencji też uroczystości Bożego Ciała. Stało się tak, gdyż – jak to komentował kard. Ratzinger – „grecka tęsknota za oglądaniem wiecznego”<sup>1</sup> spełnia się w ikonie. Nam, sceptycznym ludziom Zachodu, być może trudno w to uwierzyć, ale to właśnie ikona z jej teologią obecności tego, kogo przedstawia, jest dla człowieka chrześcijańskiego Wschodu wystarczającym narzędziem do widzenia i doświadczenia obecności Boga. Jest jednak między adoracją Najświętszego Sakramentu a wschodnią czcią dla ikony istotna różnica. Przed ikoną nie klękamy, a wyłącznie oddajemy jej pokłon, gdyż to dzięki niej Bóg jest obecny, ale ikona nie jest Bogiem. Przed Najświętszym Sakramentem padamy na kolana w akcie adoracji, bo przed naszymi oczami już nie jest obraz, ale ciało Boga. W kulcie ikony jest jeszcze jeden paradoks. Tak naprawdę ikona nie jest wcale po to, aby widzieć Boga. Święty Jan Chryzostom pisał, że modlitwa przed ikoną powinna się dokonywać z zamkniętymi oczami, bo to ikona patrzy na nas, a nie my na ikonę. To sam Bóg patrzy oczami ikony. Jak pisał Leonid Uspienski, wierni składają pokłon przed Świętym Obliczem Zbawiciela, „które rzuca promienie jaśniejsze od słonecznych”<sup>2</sup>. Właśnie dlatego w cerkwi jest tak wiele ikon i tak wiele boskich oczu, które na nas z nich spoglądają.

My nie mamy ikony. My mamy wystawione w Najświętszym Sakramencie Ciało samego Pana. I nie po to, aby na nie patrzeć, ale żeby On patrzył na nas. „Zagrody nasze widzieć przychodzi...”. I nas samych. Jak pisze jeden z teologów, Heinrich Pfeiffer, „tylko w spojrzeniu na konsekrowaną Hostię wierzący na Zachodzie spotykał się z jasnością, która oczyszcza i przygotowuje jego oczy na to oglądanie Boga, którego spodziewa się on dla siebie w Raju”<sup>3</sup>. I właśnie dlatego

<sup>1</sup> J. Ratzinger, *Duch liturgii*, tłum. E. Pieciul, Poznań 2002, s. 109.

<sup>2</sup> L. Uspienski, *Teologia ikony*, tłum. M. Żurowska, Poznań 1993, s. 141.

<sup>3</sup> H. Pfeiffer, *Pedagogiczny charakter chrześcijańskiej architektury*, „Communio” 1990, nr 2, s. 99.

nie możemy zrezygnować z adoracji Ciała Pańskiego, w przeciwnym razie stracilibyśmy jedyną możliwość wpatrywania się w Boże wejście. Przymknijmy więc dziś nasze oczy. Pozwólmy Panu patrzeć na nas. Bo oto nie tylko – jak mówił psalmista – „Pan patrzy z nieba, widzi wszystkich synów ludzkich. Spogląda z miejsca, gdzie przebywa, na wszystkich mieszkańców ziemi” (Ps 33,13–14). Dzisiaj stało się coś więcej. Oto „Pan zstąpił z nieba pod postacią chleba”, by na nas popatrzeć. Zróbmy Mu miejsce.

26 MAJA 2016



## Bezdomność duszy

Gdy Jezus dokończył wszystkich tych mów do słuchającego [Go] ludu, wszedł do Kafarnaum. Sługa pewnego setnika, szczególnie przez niego ceniony, chorował i bliski był śmierci. Skoro setnik posłyszał o Jezusie, wysłał do Niego starszyznę żydowską z prośbą, żeby przyszedł i uzdrowił mu sługę. Ci zjawili się u Jezusa i prosili Go usilnie: „Godzien jest, żebyś mu to wyświadczył – mówili – miłuje bowiem nasz naród i sam zbudował nam synagogę”. Jezus przeto zdążył z nimi. A gdy był już niedaleko domu, setnik wysłał do Niego przyjaciół ze słowami: „Panie, nie trudź się, bo nie jestem godzien, abys wszedł pod dach mój. I dlatego ja sam nie uważałem się za godnego przyjść do Ciebie. Lecz powiedz słowo, a mój sługa odzyska zdrowie. Bo i ja, choć podlegam władzy, mam pod sobą żołnierzy. Mówię temu: «Idź!» – a idzie; drugiemu: «Przyjdź!» – a przychodzi; a mojemu słudze: «Zrób to!» – a robi”. Gdy Jezus to usłyszał, zadziwił się nad nim, i zwróciwszy się do tłumu, który szedł za Nim, rzekł: „Powiadam wam: Tak wielkiej wiary nie znalazłem nawet w Izraelu”. A gdy wysłańcy wrócili do domu, zastali sługę zdrowego (Łk 7,1–10).

Znajomy kaznodzieja ze Słowacji, prof. Anton Fabian, ma zwyczaj zaczynać kazanie od mniej lub bardziej śmiesznego dowcipu. Na przykład od takiego. Pewien bezdomny obchodził dookoła piękny kabriolet z opuszczonym dachem. Poklepał właściciela po ramieniu i mówi: „Widzę, że też

jesteś bez dachu nad głową”. Kiedy znalazłem tę anegdotkę w kazaniach, które mi przysłał, pomyślałem, że to dobry punkt wyjścia do homilii na dzisiejszą Ewangelię, w której też jest przecież o dachu – o dachu, pod który setnik nie miał śmiałości zaprosić Jezusa, bo nie czuł się tego godzien.

Słowa setnika – mówiąc w dzisiejszych kategoriach – zrobiły zawrotną karierę. W końcu – choć w polskiej wersji są nieco zmienione – powtarzamy je w każdej Mszy św.: „Panie, nie jestem godzien, abyś przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja”. Polskie „przyszedł do mnie” nie oddaje chyba jednak tego, co powinny wyrażać słowa, które wypowiadamy, gdy kapłan ukazuje nam Ciało Pańskie i zaprasza do Jego przyjęcia w Komunii. Ciekawe, że wiele języków w liturgii Mszy św. zostawiło jednak słowo „dach” i wyrażenie „wejść pod dach”. Tak jest na przykład w Mszy łacińskiej, w tekście niemieckim czy angielskim. Wierni modlący się w tych językach wciąż mówią do Chrystusa, że nie są godni, by wszedł pod ich dach. Słowo „dach” pojawia się w języku polskim w różnych związkach: „mieć dach nad głową”, „nie mieć dachu nad głową”, „zostać pozbawionym dachu nad głową”, czyli „być bezdomnym”. Ciekawe, że w języku niemieckim bezdomny to właśnie *Obdachlose*, czyli ktoś, kto pozbawiony jest dachu. Ale jest też w polszczyźnie wyrażenie „przyjąć kogoś pod dach”, czyli przenocować. Dach to dom.

Setnik wiedział, że jego dom nie jest godzien, by przyjmować Jezusa z Nazaretu. Był przecież poganinem, dla Żyda kimś niewierzącym. Łukasz zapisał, że setnik „posłyszał o Jezusie” (Łk 7,3). Wiedział, że ten Jezus z Nazaretu jest wielkim prorokiem potężnym w słowie i w czynach. Dlatego też nie poszedł do Jezusa sam, do czego się zresztą przyznaje, ale wysłał do Niego starszą żydowską. Miał świadomość przepaści, jaka jest między nim a Jezusem. Kiedy dowiedział się, że Jezus jest już blisko, uświadomił sobie swoją kompletną niegodność i dlatego wysłał przyjaciół, by Jezusa zatrzymać w drodze. Nie bardzo sobie wyobrażał, by sam Jezus mógł wejść pod dach jego domu, pod jego dach. Można by powiedzieć: spanikował. „Lecz powiedz słowo, a mój sługa odzyska zdrowie” (Łk 7,7) – mówi więc do Jezusa. Wystarczy Boże słowo. Święty Augustyn

tak interpretuje to wydarzenie: „Uważając siebie za niegodnego tego, aby Chrystus wszedł pod jego dach, czuł się godny, aby Jezus wszedł do jego serca”. Tak też się dzieje. Jezus przenika jego wnętrze. „Tak wielkiej wiary nie znalazłem nawet w Izraelu” (Łk 7,9) – mówi o nim do tłumu, który za Nim szedł. Przecież nie chodzi o dom, o ściany, o jakiegokolwiek warunki materialne, ale o serce, o duszę – jak to wyrażamy w modlitwie przed Komunią: „powiedz słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja”. Ostatecznie nie liczy się to, kim się jest, jaki się ma stan materialny, ani nawet skąd się pochodzi. Ostatecznie liczy się wiara. Można się czuć niegodnym – jak setnik, można być poganinem – jak setnik. Ważne, by w sercu uwierzyć w moc Jezusa i Jego słowa. I można mieć wiarę większą niż cały Izrael.

Wspomniany na początku prof. Anton Fabian swoją anegdotę o bezdomnym i o właścicielu kabrioletu tak komentuje: „Jest różnica między byciem bezdomnym bez dachu nad głową a byciem milionerem bez dachu w kabrioecie. Ciało właściciela tego samochodu wozi się w pięknym samochodzie. Ale na pierwszy rzut oka nie widać, czy jego dusza wozi się w luksusie. Czy jest szczęśliwy czy smutny, spokojny czy zmartwiony, zmęczony czy rozczarowany? Może się okazać, że ciałem jest milionerem, ale duszą jest bezdomny. Czym dach na domu jest dla ciała, tym Bóg dla duszy człowieka”. W swojej pysze temu właścicielowi kabrioletu może się nawet wydawać, że jego samochód byłby godzien samego Jezusa. Choć – jak wiemy – fałszywe jest to myślenie. A ten bezdomny nie ma nawet dachu, pod który ewentualnie mógłby zaprosić Jezusa. I choć bezdomność ciała jest okrutna – i trzeba zrobić wszystko, by jej zapobiec – bezdomność duszy jest od niej okrutniejsza. Domem duszy jest bowiem wiara. A tę może mieć nawet setnik okupacyjnego wojska, poganin i tzw. niewierzący. Nigdy nie wiadomo – a na pewno na pierwszy rzut oka nie widać – czym i w jakim luksusie wozi się czyjaś dusza. Czym się wozi ciało, widać od razu. Ale to za mało.

29 MAJA 2016

## Bezdomność Jezusa (i nasza)

Gdy dopełniały się dni Jego wzięcia [z tego świata], postanowił udać się do Jeruzalem i wysłał przed sobą posłańców. Ci wybrali się w drogę i weszli do pewnego miasteczka samarytańskiego, by przygotować Mu pokój. Nie przyjęto Go jednak, ponieważ zmierzał do Jeruzalem. Widząc to, uczniowie Jakub i Jan rzekli: „Panie, czy chcesz, byśmy powiedzieli: Niech ogień spadnie z nieba i pochłonie ich?” Lecz On, odwróciwszy się, zgromił ich. I udali się do innego miasteczka.

A gdy szli drogą, ktoś powiedział do Niego: „Pójdę za Tobą, dokądkolwiek się udasz”. Jezus mu odpowiedział: „Lisy mają nory i ptaki podniebne – gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł położyć”.

Do innego rzekł: „Pójdź za Mną”. Ten zaś odpowiedział: „Panie, pozwól mi najpierw pójść pogrzebać mojego ojca”. Odparł mu: „Zostaw umarłym grzebanie ich umarłych, a ty idź i głos królestwo Boże”.

Jeszcze inny rzekł: „Panie, chcę pójść za Tobą, ale pozwól mi najpierw pożegnać się z moimi w domu”. Jezus mu odpowiedział: „Ktokolwiek przykładą rękę do pługa, a wstecz się ogląda, nie nadaje się do królestwa Bożego” (Łk 9,51–62).

Jezus spotyka dzisiaj trzech mężczyzn. Dwóch podeszło do Niego z własnej woli, jednego On sam – jeśli tak można powiedzieć – zaczepił. Dwóch – pierwszy i trzeci – zadeklarowało z własnej inicjatywy,

że za Nim pójdą. Jednego On sam powołał. Ci dwaj oznajmili: „Pójdę za Tobą, dokądkolwiek się udasz” (Łk 9,57) albo „Chcę pójść za Tobą” (Łk 9,61), a jednemu On sam powiedział: „Pójdź za Mną” (Łk 9,59). Jednak żaden z nich za Jezusem nie poszedł, jak możemy wnioskować z kontekstu. Dlaczego tak się stało?

Gdyby czytać dokładnie tekst grecki, który wyszedł spod pióra św. Łukasza, to uświadomilibyśmy sobie, że Jezusowi chodzi o coś więcej niż o to, by za Nim iść. Grecki czasownik, który się tam pojawia (*akolouthéō*), tłumaczony bywa jako „towarzyszyć komuś”. A więc dwóch ze spotkanych zapewnia Jezusa: „Będę Ci towarzyszył”, a jednego zaprasza sam Jezus: „Towarzysz mi”. Towarzyszyć komuś to być z kimś na dobre i na złe, dzielić jego los, zaryzykować z kimś wspólną przyszłość. Żaden tego nie robi. Dlaczego?

Jeden chciał pójść pogrzebać zmarłego ojca, drugi chciał pójść pożegnać się ze swoimi w domu. Jeden i drugi chcieli – choć na chwilę – wrócić do domu. A co proponuje Jezus zamiast domu? „Lisy mają nory i ptaki podniebne – gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł położyć” (Łk 9,58). Oto sedno dzisiejszej propozycji. Jezus zaprasza i wymaga, by towarzyszyć Mu w Jego bezdomności. Pójść za Nim to pójść to ryzyko.

By jednak zrozumieć bezdomność Jezusa, trzeba znów sięgnąć do greki. Tłumaczenie Biblii Tysiąclecia mówi, że Jezus nie ma miejsca, gdzie by głowę mógł „położyć”. Ale dosłownie jest inaczej. Święty Łukasz używa tutaj tego samego czasownika (*klinō*), którego św. Jan użyje, gdy będzie opisywał śmierć Jezusa: Jezus „skłoniwszy głowę, oddał ducha” (J 19,30). Tak właśnie. Nie miał gdzie głowy skłonić – aż do krzyża. Jak już kiedyś pisałem: „Tak, w końcu Jezus znajdzie miejsce, gdzie będzie mógł skłonić głowę, gdzie skończy się Jego bezdomność. Znajdzie dom. Tym miejscem będzie krzyż”. To jest właśnie ryzyko towarzyszenia Jezusowi w Jego bezdomności, „dokądkolwiek się uda”. Ta droga prowadzi na krzyż.

Amos Oz, współczesny żydowski pisarz, w powieści *Judasz* kreśli alternatywną historię Judasza. Judasz nie jest w niej zdrajcą. To jedyny

uczeń, który bez zastrzeżeń uwierzył w boskość Jezusa; uczeń, który wierzył, że potęga Jezusa objawi się na krzyżu. To on namawia Jezusa, by zmierzał do Jerozolimy. To on przekonuje arcykapłanów i Rzymian, by skazać Jezusa na ukrzyżowanie, choć oni sami nie widzą takiej potrzeby. Wcale nie zdradza Go dla pieniędzy, gdyż jest bogaty, a trzydzieści srebrników to dla niego nędzna suma. Wierzy, że Jezus musi iść na krzyż, ale nie po to, by umrzeć, lecz żeby z niego triumfalnie zejść i ogłosić nadejście królestwa Bożego.

W wersji Amosa Oza to Judasz jest „autorem, impresariem, reżyserem i producentem widowiska ukrzyżowania”. „Kiedy jednak – pisze izraelski pisarz – Jezus konał w okropnych męczarniach na krzyżu godzinę po godzinie w palącym słońcu, krew płynęła mu ze wszystkich ran, do których ciągnęły muchy, nawet gdy pojono go octem, wiara ani na chwilę nie opuszczała Judasza: oto już! Oto nadchodzi! Oto powstanie ukrzyżowany Bóg, strząśnie z siebie gwoździe, zejdzie z krzyża i powie do całego ludu padającego przed nim na twarz w osłupieniu: «Miłujcie się nawzajem!»”<sup>1</sup>. Jezus jednak z krzyża nie schodzi, a Judasz wiesza się z rozpacz, gdyż zaprowadził na śmierć – jak sądził – niewinnego człowieka, który nie był jednak Bogiem. Niczego z Jezusowej boskości nie rozumiał.

Niestety, nie o takim zwycięstwie myślał Jezus, nie o takim triumfie, nie o takim krzyżu, z którego zejdzie boską mocą, wrywając gwoździe i zrzucając koronę cierniową. Jego triumf jest w uniżeniu, zwycięstwo – w śmierci, miłość – w cierpieniu. A nie za takim Jezusem szedł Judasz: szedł za zwycięskim, nie za przegranym.

Jeśli więc iść za Nim, jeśli Mu towarzyszyć – to nie ze świadomością Judasza z powieści Oza, z fałszywą wizją Jezusa, który triumfalnie schodzi z krzyża, lecz jedynie z wizją Zbawiciela, który na tym krzyżu umiera, który tam właśnie skłania głowę, bo tam znajduje dom. Jeśli więc iść za Nim, jeśli deklarować: „Pójdę za Tobą”, jeśli na Jego: „Pójdź za Mną” odpowiedzieć – to tylko ze świadomością, dokąd ta

<sup>1</sup> A. Oz, *Judasza*, tłum. L. Kwiatkowski, Poznań 2014, s. 183.

droga zaprowadzi. I mieć odwagę, by się z Nim na tym Jego krzyżu choć trochę zadomowić, skłonić tam także swoją głowę. Jeśli nie – to lepiej zostać w domu. I pochopnie nie deklarować: „dokądkolwiek pójdziesz” (por. Łk 9,57).

26 CZERWCA 2016

## (Nie)godni pokoju

Wyzaczył Pan jeszcze innych siedemdziesięciu dwu uczniów i wysłał ich po dwóch przed sobą do każdego miasta i miejscowości, dokąd sam przyjsć zamierzał.

Powiedział też do nich: „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało; proście więc Pana żniwa, żeby wyprawił robotników na swoje żniwo. Idźcie! Oto posyłam was jak owce między wilki. Nie noście z sobą trzosa ani torby, ani sandałów; i nikogo w drodze nie pozdrawiajcie. Gdy wejdziecie do jakiegoś domu, najpierw mówcie: Pokój temu domowi. Jeśli tam mieszka człowiek godny pokoju, wasz pokój spocznie na nim; jeśli nie, powróci do was. W tym samym domu zostańcie, jedząc i pijąc, co będą mieli: bo zasługuje robotnik na swoją zapłatę. Nie przechodźcie z domu do domu. Jeśli do jakiegoś miasta wejdziecie i przyjmą was, jedzcie, co wam podadzą; uzdrawiajcie chorych, którzy tam są, i mówcie im: Przybliżyło się do was królestwo Boże. Lecz jeśli do jakiegoś miasta wejdziecie, a nie przyjmą was, wyjdźcie na jego ulice i powiedzcie: Nawet proch, który z waszego miasta przyłgnał nam do nóg, strząsamy wam. Wszakże to wiecie, że bliskie jest królestwo Boże. Powiadam wam: Sodomie lżej będzie w ów dzień niż temu miastu [...]” (Łk 10,1-12).

Kiedy przed kilkoma dniami zająłem do dzisiejszej Ewangelii, zacząłem akurat czytać *Sońkę* Ignacego Karpowicza. Powieść zaczyna



się od nieoczekiwanego spotkania Igora, warszawiaka, któremu popsuł się mercedes na białostockich drogach, z Sońką, starą, miejscową kobietą, akurat prowadzącą krowę. Sonia zaprasza go do domu. Proponuje kubek mleka, smażone rano mączne placki, czekoladki z bombonierki, którą kupiła przed laty i dotychczas jeszcze nie otwarła, czekając z nią na lepszych gości. „Igor [...] przed progiem zdjął zamszowe sandały – tak bardzo nie na miejscu, takie miękkie z ceną wyższą niż roczna renta. Zdał sobie sprawę, że od wielu już lat nie posiada znajomych, których odwiedza się boso; za dużo zarabiają. Gołą stopą wkroczył do ciemnej, chłodnej sieni, pachnącej sfermentowanym mlekiem, słoniną i cebulą, sianem, kiszoną kapustą i dymem, potem mydlinami i zbożem” – pisze Karpowicz<sup>1</sup>.

W naturalny sposób ta powieściowa scena skojarzyła mi się z dzisiejszą Ewangelią. „Gdy wejdziecie do jakiegoś domu, najpierw mówcie: Pokój temu domowi. Jeśli tam mieszka człowiek godny pokoju, wasz pokój spocznie na nim; jeśli nie, powróci do was. W tym samym domu zostańcie, jedząc i pijąc, co będą mieli: bo zasługuje robotnik na swoją zapłatę. Nie przechodźcie z domu do domu. Jeśli do jakiego miasta wejdziecie i przyjmą was, jedzcie, co wam podadzą; uzdrawiajcie chorych, którzy tam są, i mówcie im: Przybliżyło się do was królestwo Boże” (Łk 10,5–9). Oczywiście Igor to nie apostoł posłany przez Chrystusa ani też współczesny misjonarz czy ewangelizator, choć w przekonaniu Sońki, bohaterki książki, to anioł. Ale przecież dzisiejsza Ewangelia nie musi być odczytywana – jak to zazwyczaj bywa – wyłącznie jako tekst o powołaniu, o kondycji Chrystusowego ucznia, o metodach ewangelizacji. Dzisiejsza Ewangelia jest przede wszystkim o spotkaniu. O tym, co może się wydarzyć między dwójgiem nieznanych sobie i obcych ludzi.

Kiedy myślimy o spotkaniu z nieznajomym, obcym czy innym – a trudno tutaj nie myśleć także o uchodźcach, którzy przecież kiedyś mogą pojawić się także u bram naszego miasta – najczęściej to jego

<sup>1</sup> I. Karpowicz, *Sońka*, Kraków 2014, s. 21.

poddajemy ocenie, nie siebie. Od tego, jaki on jest, a właściwie od tego, jakie mamy o nim wyobrażenie, uzależniamy to, jak będzie wyglądało nasze z nim spotkanie. I jest w tym dużo racji. To bardzo ważne, czy ten, który przychodzi do nas, mówi: „Pokój temu domowi” (Łk 10,5), bez względu na to, czy mówi to dosłownie, czy też nie. Czy przychodzi z misją pokojową, czy jest budowniczym zgody, czy jest do nas przyjaźnie nastawiony. Ale Jezus przypomina, że ten oczekiwany pokój nie zależy tylko od tego, kto przychodzi do naszego domu, ale także od tego, kto jest tego domu gospodarzem. „Jeśli tam mieszka człowiek godny pokoju, wasz pokój spocznie na nim; jeśli nie, powróci do was” (Łk 10,6). I dopiero tutaj jest cała prawda o spotkaniu ludzi ze sobą. To może wcale nie on: przychodzić, nieznajomy i obcy nie jest godzien pokoju, ale ja? To może nie w nim, ale we mnie jest zarzewie wrogości? Pokój jest zawsze sprawą dwojga. Zdejmując swoje zamszowe sandały, powieściowy Igor okazał szacunek dla ubóstwa kobiety, a ta w swym ubóstwie ugościła go tym, co miała. A przecież mogło być inaczej: jedno mogło wzgardzić drugim, uznać za kogoś niegodnego pokoju. Mogła go wziąć za intruza, a zobaczyła w nim anioła.

Media donoszą, że po referendum w Wielkiej Brytanii, w którym jej mieszkańcy opowiedzieli się za opuszczeniem Unii Europejskiej, nasiliły się różnorakie akty niechęci wobec Polaków. A przecież trudno naszych rodaków uznać za większych niż w innych nacjach potencjalnych terrorystów, gwałcicieli czy morderców. To nie są „islamiści terroryści”. To ludzie jak wszyscy, Europejczycy. W spojrzeniu na kwestię uchodźców grzeszymy często nazbyt uproszczonym myśleniem, w którym złych uciekinierów z Bliskiego Wschodu przeciwstawia się dobrym Europejczykom. Okazuje się jednak, że nie trzeba być muzułmaninem, Arabem, Syryjczykiem czy Irakijczykiem, by stać się przedmiotem nienawiści, a przynajmniej niechęci. Okazuje się, że czasami wystarczy być Polakiem, by nie być kochanym. Nienawiść nie ma bowiem narodowości, wyznania, przynależności rasowej czy określonego koloru skóry. Polak też może stać się przedmiotem nienawiści. Polak też potrafi nienawidzić. Niestety. Serce, które nie jest godne pokoju,

może się zrodzić w każdym narodzie. Ale i w każdym narodzie może się zrodzić ten, który przyjdzie i powie: „Pokój temu domowi” (Łk 10,5).

Ewangelia wciąż się dzieje. Jezus wciąż wysyła „jeszcze innych siedemdziesięciu dwu [...] przed sobą do każdego miasta i miejscowości, dokąd sam przyjąć zamierzał” (Łk 10,1). I dzisiaj nigdzie sam nie idzie. Wysyła awangardę, forpocztę, zwiadowców. Czasami „po dwóch” (Łk 10,1) – tak jak kiedyś. Czasami po kilku. Czasami w pojedynkę. Każdy człowiek może być przecież ambasadorem Boga. Trzeba się dobrze wsłuchiwać w to, co ludzie mówią. Może – wbrew naszym wyobrażeniom i stereotypom – życzą nam pokoju. Jezus dobrze znał naturę ludzką i przewidywał, że nie wszyscy przyjmą Jego wysłańców. Dlatego powiedział: „Lecz jeśli do jakiego miasta wejdziecie, a nie przyjmą was, wyjdźcie na jego ulice i powiedzcie: Nawet proch, który z waszego miasta przylgnął nam do nóg, strząsamy wam (...)»” (Łk 10,10–11). Obyśmy się okazali ludźmi godnymi pokoju. Bo jeśli nie, te słowa mogą być także o naszym mieście. A wtedy Sodomie lżej będzie w dzień sądu niż nam (por. Łk 10,12).

## Ścisk w dołku

A oto powstał jakiś uczony w Prawie i wystawiając Go na próbę, zapytał: „Nauczycielu, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?” Jezus mu odpowiedział: „Co jest napisane w Prawie? Jak czytasz?” On rzekł: „Będziesz miłował Pana, Boga swego, całym swoim sercem, całą swoją duszą, całą swoją mocą i całym swoim umysłem; a swego bliźniego jak siebie samego”. Jezus rzekł do niego: „Dobrze odpowiedziałeś. To czyn, a będziesz żył”. Lecz on, chcąc się usprawiedliwić, zapytał Jezusa: „A kto jest moim bliźnim?”

Jezus, nawiązując do tego, rzekł: „Pewien człowiek schodził z Jeryzalem do Jerycha i wpadł w ręce zbójców. Ci nie tylko go obdarli, lecz jeszcze rany mu zadali i zostawiwszy na pół umarłego, odeszli. Przypadkiem przechodził tą drogą pewien kapłan; zobaczył go i minął. Tak samo lewita, gdy przyszedł na to miejsce i zobaczył go, minął. Pewien zaś Samarytanin, wędrując, przyszedł również na to miejsce. Gdy go zobaczył, wzruszył się głęboko: podszedł do niego i opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem; potem wsadził go na swoje bydlę, zawiózł do gospody i pielegnował go. Następnego zaś dnia wyjął dwa denary, dał gospodarzowi i rzekł: „Miej o nim staranie, a jeśli co więcej wydasz, ja oddam tobie, gdy będę wracał”. Kto z tych trzech okazał się według ciebie bliźnim tego, który wpadł w ręce zbójców?” On odpowiedział: „Ten, który mu okazał miłosierdzie”. Jezus mu rzekł: „Idź, i ty czyn podobnie!” (Łk 10,25–37).

Przypowieść o miłosiernym Samarytaninie jest ostatnio bardzo popularna. Dla wielu staje się modelem pomagania uchodźcom, kryterium opracowywanych strategii. Wyprowadzane są z niej konkretne wskazówki i sposoby pomocy.

Ten leżący na poboczu i na wpół umarły to oczywiście wojenny uchodźca, który wcześniej wpadł w ręce zbójców, czytaj: stał się ofiarą wojny. Miłosierny Samarytanin to ten, kto śpieszy mu z pomocą. W popularnej ostatnio interpretacji podkreśla się, że Samarytanin nie zabrał poszkodowanego do siebie do domu – z czego wyprowadza się postulat, by uchodźców nie wpuszczać do Europy, lecz pomagać im na miejscu, bo i Samarytanin potrzebującego pomocy do swego domu nie wziął. Teza jest co najmniej dyskusyjna.

Z przypowieści wiemy na pewno, że tam, gdzie Samarytanin znalazł poszkodowanego, udzielił mu takiej pomocy, jakiej tylko mógł udzielić na miejscu – jak to się mówi w języku policji – zdarzenia: „opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem” (Łk 10,34). Zrobił, co mógł i na co pozwalało mu to, co ze sobą miał. Potem „wsadził go na swoje bydlę, zawiózł do gospody i pielęgnował go” (Łk 10,34), co znaczy przede wszystkim, że wziął go ze sobą do miejsca, gdzie ta pomoc mogła być bardziej skuteczna, a może i fachowa. Ale i tam nie oddał go od razu pod opiekę właściciela gospody, lecz – jak czytamy w przypowieści – „pielęgnował go” (Łk 10,34), co wskazuje na dość osobiste zaangażowanie w opiekę. Trzeba pamiętać, że był w podróży, której widocznie nie mógł przerwać na dłużej, dlatego prosi gospodarza o dalszą opiekę, z góry mu za nią płacąc. Przecież zabieranie rannego w podróż byłoby zupełnie bezcelowe i nierozsądne. Jeśli można zgadywać, to Samarytanin – idąc z Jerycha do Jerozolimy – raczej był w drodze z domu, a nie do domu, skoro zapowiedział właścicielowi oberży, że jeśli trzeba będzie, dopłaci, „gdy będzie wracał” (Łk 10,35).

Co się stało dalej – nie wiemy. I nie ma sensu spekulować, czy ów poszkodowany na tyle wydobrzył, by mógł pójść swoją drogą, czy Samarytanin zabrał go ze sobą, by dalej go pielęgnować, czy też może

ranny został jeszcze kilka dni pod opieką gospodarza. Jeśli szukać w tej przypowieści modelu pomocy, to jest on prosty: pierwsza pomoc – natychmiast i na miejscu; dalsza – w miejscu bezpiecznym, gdzie można udzielić pomocy bardziej fachowej i skutecznej. Jedno jest pewne: potrzeba zaangażowania swojego czasu, pieniędzy, środków materialnych (owo bydło) oraz – co najważniejsze – ludzkiego współczucia. Szczegółowe rozwiązania to już rzecz drugorzędna.

Kluczem do zrozumienia postępowania Samarytanina jest ten moment, gdy – jak czytamy – „wzruszył się głęboko” (Łk 10,33). Już wcześniej wspominałem, że tego samego czasownika św. Łukasz użyje, gdy będzie relacjonował przypowieść o synu marnotrawnym. Jak czytamy w V wydaniu Biblii Tysiąclecia, ojciec na widok powracającego syna także „wzruszył się głęboko” (Łk 15,20). Nie o wzruszenie jednak chodzi, które bywa czasami tanie i szybko można się z niego otrząsnąć, lecz o miłosierdzie, które porusza i prowokuje do działania.

Chyba wszyscy wiemy, że polskie słowo „miłosierdzie” wzięło się od „serca”, podobnie jak „rozsierdzić się”, czyli rozgniewać, i „osierdzie”. Pierwotnie mówiło się o kimś, że jest „miłosierdny”, tzn. miłujący sercem (dawniej: srdce). Prawdziwe miłosierdzie sięga wnętrzości, porusza serce, sprawia, że czujemy ten tak dobrze znany „ścisk w dołku”, który sytuuje się między żebrami, gdzieś zaraz pod sercem. Ten ból w dołku bywa fizyczny i zwiastuje choroby serca. Ale bywa, że powoduje go także miłość. Kto kochał, ten wie. Zna ten ścisk w dołku, który sprawia, że na czyjś widok tracimy oddech.

To właśnie musiało się zdarzyć Samarytaninowi na widok człowieka leżącego na poboczu i ojcu na widok powracającego syna. To, co zobaczyli, poruszyło ich aż do wnętrzości. Ścisnęło ich w dołku. Odebrało dech. I nie pozwoliło nieruchomo pozostać na miejscu. Samarytaninowi kazało pochylić się nad leżącym i go podnieść. Ojcu kazało – wbrew przyzwoitości, wszak biegnący starzec naraża się tylko na śmieszność – wybiec naprzeciw powracającego syna. Bo nędza – materialna czy duchowa – u tego, kto ma serce, wywołuje

najpierw ścisk w dołku, a potem poruszenie, i to nie tylko serca, ale przede wszystkim rąk i nóg. Dopiero potem wymyśla się strategię pomocy. Bez „ścisku w dołku” nie zobaczy się bliźniego w nikim, nie tylko w uchodźcach.

10 LIPCA 2016

## Jedno, czego trzeba

W dalszej ich drodze zaszedł do jednej wsi. Tam pewna niewiasta, imieniem Marta, przyjęła Go w swoim domu. Miała ona siostrę, imieniem Maria, która usiadłszy u nóg Pana, słuchała Jego słowa. Marta zaś uwijała się około rozmaitych posług. A stanąwszy przy Nim, rzekła: „Panie, czy Ci to obojętne, że moja siostra zostawiła mnie samą przy usługiwaniu? Powiedz jej, żeby mi pomogła”. A Pan jej odpowiedział: „Marto, Marto, martwisz się i niepokoisz o wiele, a potrzeba mało albo tylko jednego. Maria obrała najlepszą część, której nie będzie pozbawiona” (Łk 10,38–42).

Jezus nawiedza dom przyjaciół, gdzie mieszkają Maria, Marta i Łazarz – dzisiaj nieobecny. Jak pisze św. Łukasz, „Marta uwijała się koło rozmaitych posług” (Łk 10,40). To zachowanie Marty jest bardzo naturalne. Wyrasta z ludzkiego odruchu, z człowieczeństwa. Jezus był zdziwiony, zmęczony, głodny. Trzeba było – jak nakazuje gościnność – obmyć Mu nogi, dać Mu jeść, pozwolić odpocząć. Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego. Nie trzeba być człowiekiem wierzącym, by być gościnnym. Natomiast Maria „usiadłszy u nóg Pana, słuchała Jego słowa” (Łk 10,39). Trochę się to siostrze nie spodobało, dlatego prosi Jezusa o reprimendę dla Marii. Jezus jednak – zapewne ku jej zdziwieniu – owszem, bardzo łagodnie, ale jednak gani ją samą: „Marto, Marto, martwisz się i niepokoisz o wiele” (Łk 10,41). Owo „wiele” to



oczywiście wszystko to, co Marta chciała zrobić dla Jezusa. Ale na co Jezus czeka? Na wiele? Nie. „Potrzeba [...] tylko jednego. Maria obrała najlepszą część, której nie będzie pozbawiona” (Łk 10,42). Wcale nie czeka, by Mu usługiwano, ale aby Go słuchano.

W teologii istnieje rozróżnienie na religię i wiarę. Oba te słowa charakteryzują naszą relację do Boga. Religia to – w dużym skrócie – wszystko to, co robimy dla Boga. Wiara zaś – to, co od Boga otrzymujemy. Religią jest to, co w naszej relacji do Boga ludzkie, naturalne. Wiarą – co nadprzyrodzone. Im człowiek bardziej religijny, tym bardziej jest przekonany, że dla Boga wciąż trzeba coś robić, coś Mu dawać, ofiarowywać – jak Marta, która uwija się koło rozmaitych posług. Natomiast im człowiek bardziej wierzący, tym bardziej przekonany, że nic Bogu dać nie może, a wszystko może od Niego otrzymać – jak Maria, która po prostu siada i słucha, nie chcąc uronić ani słowa, stracić nawet chwili. Trochę tak jak w tej piosence religijnej: „Nie mam nic, co bym mógł Tobie dać, / Nie mam sił, by przed Tobą, Panie, stać. / Puste ręce przynoszę przed Twój w niebie tron. / Manną z nieba nakarm duszę mą”.

Małgorzata Wałęjko pisała na łamach „Więzi”: „To zmiana akcentu w pracy nad sobą: z dbania o przyzwoitość – swoją i innych – na szukanie okazji, by poznać Jezusa, być z Nim, przyjmować Jego dary, które ciągle płyną. A zatem zmienić kierunek: przestać próbować Bogu coś dawać z siebie [...]. Przetawić myślenie, by to od Niego przyjmować wszystko – także cud mojej przemiany w tej czy innej słabości, to już Jego troska, nie moja. Maria z Betanii siedziała przy Jezusie i chłonęła Go. Nic nie robiła, nie uwijała się jak Marta, patrzyła i przyjmowała Jego obecność. [...] i to jest dokładnie to «jedno» [...]: być z Bogiem w intymnym kontakcie, słuchać, przyjmować. Cieszyć się sobą nawzajem, a nie myśleć o tym, czego jeszcze nie zrobiłem, a należało”<sup>1</sup>. A jak to zrobić w konkrety? Na przykład zacząć inaczej myśleć o Mszy św. Nie jak o czymś, co trzeba Bogu dać, nie jak o realizacji uciążliwego

<sup>1</sup> M. Wałęjko, *Nie-Dobra Nowina. Bóg polskich kazań*, „Więź” 2015, nr 1, s. 137.

obowiązku, przykazania, z którego ksiądz przepyta w konfesjonale, ale jak o czasie, gdy wszystko się otrzymuje: Jego słowo, Jego ciało, Jego samego. A gdy się Mszę opuści, to spowiadać się ze straconej okazji, a nie z zaniedbanego obowiązku. Ten, kto kocha, spotyka się, bo chce, a nie dlatego, że musi. Jeśli z musu, to znaczy, że nie z miłości.

Na „Rekolekcjach Filmowych” w ramach Zielonogórskiego Festiwalu Filmu i Teatru pokazywałem film pt. *Hadewijch* o młodej dziewczynie, bardzo religijnej Francuzce, która wstępuje do klasztoru. Narzuca sobie ostre posty, głoduje, umartwia się, wystaje w deszczu, by zmoknąć i zmarznąć. Mądra przełożona nakazuje jej wrócić do świata, bo – jak mówi – w postępowaniu postulanki nie ma Boga, a jedynie szukanie siebie, własna pycha. „Jesteś karykaturą zakonniczy” – mówi jej przełożona. Więcej: jest karykaturą chrześcijaństwa. Ta dziewczyna wciąż chce Jezusowi coś dać, udowodnić, ofiarować. Jest religijna, to pewne, ale czy rzeczywiście otwarta na Boga? W Paryżu nawiązuje znajomość z gorliwymi muzułmanami z przedmieścia. Zachwycą ją ich religijność. Angażuje się coraz bardziej. Chce złożyć Bogu ofiarę, bierze udział w zamachu terrorystycznym. To nie jest tylko fabuła filmu. W Europie wielu młodych ludzi przechodzi na islam, szukając tam religijnego radykalizmu i stając się potencjalnymi bojownikami tzw. Państwa Islamskiego. Czy terrorysta z Nicei był islamistą? Nie wiem, pochodził z Tunezji, miał arabskie pochodzenie, pewnie wyznawał islam<sup>2</sup>. Nie trzeba jednak być skrajnym wyznawcą islamu, by chcieć Bogu ofiarować cudze życie. Wiemy aż za dobrze z historii, że i chrześcijanie niejedną wojnę toczyli, powołując się – niestety – na Boga. Niektórym jednak wciąż to się marzy. Na polskich ulicach pojawiły się ostatnio wlepki z napisem: „Zabicie wroga ojczyzny to nie grzech. To droga do nieba”. Wymyślili to zapewne ludzie bardzo religijni, ale szczerze wątpię, czy rzeczywiście wierzący w Boga.

<sup>2</sup> 14.07.2016 r. w Nicei miał miejsce atak terrorystyczny. Zamachowiec ciężarówką potracił osoby spacerujące po Promenadzie Anglików (Promenade des Anglais). W wyniku zamachu zginęło osiemdziesiąt siedem osób, w tym zamachowiec, a ponad dwieście osób zostało rannych.

Bohaterka filmu, o którym przed chwilą mówiłem, przyjęła zakon – imię Hadewijch, po naszymu – Jadwiga. Tak miała na imię żyjąca w XIII wieku holenderska mistyczka, znana jako Hadewijch z Antwerpii. Jedną z kluczowych kategorii dla mistyków jest ekstaza. Dla Hadewijch ekstaza nie wiąże się jednak ani z bólem, ani z cierpieniem, ani też z gwałtownym zawieszeniem (jak u św. Teresy z Ávili), ale – jak pisze znawca jej duchowości – panuje w niej nastrój wszystko obejmującego skupienia i lekkości. Autor książki o kobietach mistyczkach zauważa, że nie ma „ani śladu hysterii u Hadewijch. Żadnych jęków. Tylko «wewnętrzny spokój»”<sup>3</sup>. Myślę, że taki spokój, takie właśnie uniesienie musiała przeżywać Maria z Betanii, siedząc u stóp Pana i słuchając Jego słów. Taka ekstaza dostępna jest nam wszystkim. Wystarczy usiąść i wsłuchać się w Jezusowe słowa. Innych uniesień nie trzeba.

Chrześcijaństwo jest i religią, i wiarą. W naszej relacji do Boga jesteśmy i Martą, i Marią. Przecież Jezus nie powiedział Marcie, że źle robi. I zapewne jej gościnę przyjął. Nogi obmył, obiad zjadł, odpoczął. Trzeba jednego i drugiego: czynu i kontemplacji, miłości bliźniego i ekstazy. Byleby w równowadze. Ale pokusa, by być Martą, jest chyba większa. Wciąż budzi się w nas bowiem przekonanie, że trzeba się uwijać wokół Boga jak „wokół rozmaitych posług”. Czasami – niestety – w imię tych posług niektórzy uciekają się aż do zbrodni. A przecież – napomina nas Jezus – trzeba tylko jednego. Potrzeba miłości. To jest owa „częstka”, której nie będziemy pozbawieni. „Pozdrawiam tego, którego kocham krwią mego serca” – pisała mistyczka Hadewijch<sup>4</sup>. I żadnej innej krwi nie trzeba.

17 LIPCA 2016

<sup>3</sup> J.-N. Vuarnet, *Ekstazy kobiece*, tłum. K. Matuszewski, Gdańsk 2003, s. 46.

<sup>4</sup> Cyt. za: tamże.

## Zamknięte drzwi i otwarte okna

Jezus, przebywając w jakimś miejscu, modlił się, a kiedy skończył, rzekł jeden z uczniów do Niego: „Panie, naucz nas modlić się, tak jak i Jan nauczył swoich uczniów”. A On rzekł do nich: „Kiedy będziecie się modlić, mówcie: Ojcze, niech się święci Twoje imię; niech przyjdzie Twoje królestwo! Naszego chleba powszedniego dawaj nam na każdy dzień i przebac nam nasze grzechy, bo i my przebaczymy każdemu, kto przeciw nam zawini; i nie dopuść, byśmy ulegli pokusie”.

Dalej mówił do nich: „Ktoś z was, mając przyjaciela, pójdzie do niego o północy i powie mu: «Przyjacielu, pożycz mi trzy chleby, bo mój przyjaciel przybył do mnie z drogi, a nie mam co mu podać». Lecz tamten odpowie z wewnątrz: «Nie naprzykrzaj mi się! Drzwi są już zamknięte i moje dzieci są ze mną w łóżku. Nie mogę wstać i dać tobie». Powiadam wam: Chociażby nie wstał i nie dał z tego powodu, że jest jego przyjacielem, to z powodu jego natręctwa wstanie i da mu, ile potrzebuje.

I Ja wam powiadam: Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a zostanie wam otworzone. Każdy bowiem, kto prosi, otrzymuje; kto szuka, znajduje; a kołającemu zostanie otworzone. Jeżeli któregoś z was, ojców, syn poprosi o chleb, czy poda mu kamień? Albo o rybę, czy zamiast ryby poda mu węża? Lub też gdy prosi o jajko, czy poda mu skorpiona? Jeśli więc wy, choć zli jesteście, umiecie dawać dobre dary swoim dzieciom, to o ileż bardziej Ojciec z nieba udzieli Ducha Świętego tym, którzy Go proszą” (Łk 11,1-13).

A myśmy prosili i nie otrzymaliśmy. Szukaliśmy, a nie znaleźliśmy. Pukaliśmy, a nie otworzono nam. Przynajmniej tak nam się wydaje. Takie mamy przekonanie. Wbrew temu, co zapowiada Jezus.

Każdy z nas mógłby przedstawić krótszą lub dłuższą listę modlitw niewysłuchanych, zgub nieodnalezionych, drzwi nieotwartych. A przecież Jezus mówi, że „każdy [...], kto prosi, otrzymuje; kto szuka, znajduje; a kołaczącemu otworzą” (Łk 11,10). A jeśli „każdy” to znaczy bez żadnych wyjątków potwierdzających regułę. I to „każdy” brzmi jak zobowiązanie ze strony Jezusa, jak przyrzeczenie, jak obietnica. Czyżby pozostała niespełniona?

Żeby wyjaśnić naturę Bożego obdarowania, Jezus porównuje dzisiaj dobroć Boga do dobroci człowieka, dobroć „Ojca z nieba” do dobroci ojców ziemskich, którzy umieją „dawać dobre dary swoim dzieciom”: chleb bądź jajko (Łk 11,13), a w wersji św. Mateusza rybę (por. Mt 7,10). Ta ziemiska dobroć nie pozwala, by na prośbę dziecka o chleb, jajko czy rybę odpowiadać kamieniem, skorpionem bądź wężem – jak to jest u Mateusza (por. Mt 7,10). Dziecko prosi o pokarm, który pozwoli mu żyć, a kamień, skorpion czy wąż to przecież byłyby dary śmiertelne. Ojciec nie dałby tego swemu dziecku nawet wtedy, gdyby o któryś z tych śmiertelnych darów poprosiło. Nie potrafi skrzywdzić ten, kto prawdziwie kocha. Ale tutaj pojawia się to niepokojące wyrażenie, którym Jezus zwraca się do swoich słuchaczy, a pośrednio i do nas: „choć źli jesteście” (Łk 11,13).

Co to znaczy, że jesteście źli? Wydaje mi się, że wytłumaczenie znajduje się we wcześniejszym fragmencie dzisiejszej Ewangelii. Jezus opowiada krótką historię o człowieku, do którego w nocy przychodzi jego przyjaciel. Niestety, nie ma go czym ugościć. Idzie więc do innego przyjaciela i prosi go o wsparcie, a konkretnie o trzy chleby. Jest już północ. Sąsiad śpi i jego dzieci wraz z nim. Mimo późnej pory jednak wstaje i daje mu to, o co tamten prosi. Czy daje mu z przyjacielskiej dobroci? Nie. Daje mu tylko dlatego, by się tamten więcej nie naprzykrzał, o on – żeby miał spokój. A więc nie z miłości, a z egoizmu. Takie dobro na odczepnego. By pozbyć się natręta.

Tak, umiemy dawać dobre dary, choć źli jesteśmy. Nie tak jednak daje Bóg. Nie z naszego natręctwa, ale z Jego dobroci. Bo jest zawsze gotów, by dawać tym, którzy Go proszą. Jest chętny do rozdawania. I daje zawsze więcej. Ale czy zawsze to, o co prosimy?

Bohaterką kanadyjskiego filmu *Nowenna* jest Jeanne, lekarka z Montrealu, która przeżywa depresję. Niedawno pochowała syna, a poza tym czuje się winna śmierci swojej pacjentki, katowanej od dawna przez męża. Postanawia skończyć ze swoim życiem. Wyjeżdża poza miasto, siada nad Rzeką Świętego Wawrzyńca, chce się utopić. Gdy siedzi nad brzegiem, dosiada się do niej młody chłopak o imieniu François i zaczyna z nią rozmowę. Opowiada, że właśnie przyjechał do sanktuarium św. Anny, by tam odprawić nowennę o zdrowie dla babci. Losy bohaterów się ze sobą dziwnie łączą. François zaczyna się opiekować lekarką, a ta z kolei przyjeżdża do jego domu, by zaopiekować się jego babcią. Dziewiątego dnia nowenny babcia umiera, a Jeanne wraca do Montrealu.

Czy nowenna tego chłopaka naprawdę nie została wysłuchana? Czy rzeczywiście była bezcelowa? Przecież życie zostało ocalone. To prawda, że inne niż to, o które się modlił. Nie wiemy, czy bardziej potrzebne – bo kto miałby decydować o potrzebnosci czyjegoś życia? Jak się wydaje, drzwi, do których pukał François, pozostały zamknięte, ale jak słusznie zauważył ks. Jan Twardowski, „kiedy Bóg drzwi zamyka – to otwiera okno”<sup>1</sup>. Może to był właśnie ten moment, by przez otwarte okno, dzięki modlitwie chłopaka, wylać na kogoś Ducha Świętego Pocieszyciela?

Anna Kamieńska pisała w *Notatniku*: „Otrzymujemy zawsze więcej, niż żądamy. Otrzymujemy to, o co prosimy, ale czasem w innej walucie, która okazuje się mocniejszą walutą”<sup>2</sup>. I jeszcze: „Bóg nie jest wrótką, która spełnia dobre i złe życzenia. Modląc się o coś, możemy być

<sup>1</sup> J. Twardowski, *Kiedy mówisz, w: tegoż, Wiersze o nadziei, miłości i wierze*, Białystok 2000, s. 564.

<sup>2</sup> A. Kamieńska, *Notatnik 1965–1972*, Poznań 1982, s. 126.

pewni, że nasze pragnienia zostaną oczyszczone i zawsze otrzymamy coś lepszego i większego, w innym wymiarze. Tylko nasza słabość i głupota sprawiły, że nie modliliśmy się właśnie o te rzeczy lepsze i większe”<sup>3</sup>.

To prawda. Niejednokrotnie winniśmy Bogu dziękować za to, że któreś z naszych modlitw nie wysłuchał. To prawda, że niektóre nasze prośby były małe, banalne, a może nawet – jak się potem okazywało – złe. A nie modlimy się o rzeczy większe i lepsze, bo tak do końca to nawet nie wiemy, czego nam naprawdę potrzeba. To prawda. Bóg widzi lepiej, więcej i z innej perspektywy, z drugiego brzegu. Stamtąd nasze życie widzi się inaczej.

Ale zdawałoby się, że są jakieś modlitwy obiektywnie dobre. Jak choćby prośba o pokój na świecie. Modlić się o pokój to ani błahe, ani małe, ani złe. A media donoszą nam o zamachach już nie co rok czy nawet miesiąc, ale bez mała co tydzień. „[...] o ileż bardziej Ojciec z nieba udzieli Ducha Świętego tym, którzy Go proszą” (Łk 11) – zapewnia nas dzisiaj Jezus. Czy pokój nie jest darem Ducha Świętego?

Przed kilkoma dniami byłem w Warszawie. Na Krakowskim Przedmieściu ustawiono pawilon przygotowany przez Centrum Myśli Jana Pawła II. Poszczególne wydarzenia z historii Polski opisywane były cytataми ze św. Jana Pawła II. Czytała je młodzież z całego świata. Znalazłem tam także ten dotyczący zła. Papież przyznaje, że po wojnie myślał sobie tak: „Pan Bóg dał hitleryzmowi dwanaście lat egzystencji i po dwunastu latach system ten się zawalił. Widocznie taka była miara, jaką Opatrzność Boża wyznaczyła temu szaleństwu. [...] Jeżeli komunizm przeżył dłużej – myślałem – i jeśli ma przed sobą jakąś perspektywę dalszego rozwoju, to musi być w tym jakiś sens”<sup>4</sup>.

Miara wyznaczona złu. Jaka jest miara wyznaczona temu nowemu złu, jakim jest terroryzm? I jaki może być w tym sens? Co Ty tam widzisz, Boże, z drugiego brzegu, czego my nie potrafimy dostrzec?

<sup>3</sup> Tamże, s. 104.

<sup>4</sup> Jan Paweł II, *Pamięć i tożsamość. Rozmowy na przełomie tysiącleci*, Kraków 2005, s. 23.

Nie wiem. I właśnie dlatego, że nie wiemy, będziemy się o pokój wciąż modlić. I może nas kiedyś wysłuchasz.

A może to wszystko jest o wiele prostsze? Może zawsze wśród nas, ludzi, byli i wciąż są tacy ojcowie, co mają w ręku nie tylko chleb, jajko czy rybę, ale także tacy, co mają kamień, skorpiona, węża, a dzisiaj jeszcze – karabin, wszak „źli jesteśmy”? I może już dawno na te nasze modlitwy odpowiedziałś, „złó przygwoździwszy do krzyża”?

24 LIPCA 2016



## Wtedy dzieje się niebo

Niech będą przepasane biodra wasze i zapalone pochodnie. A wy [bądźcie] podobni do ludzi oczekujących swego pana, kiedy z uczty weselnej powróci, aby mu zaraz otworzyć, gdy nadejdzie i zakołacze. Szczęśliwi owi słudzy, których pan zastanie czuwających, gdy nadejdzie. Zaprawdę, powiadam wam: Przepasze się i każe im zasiąść do stołu, a obchodząc, będzie im usługiwał. Czy o drugiej, czy o trzeciej straży przyjdzie, szczęśliwi oni, gdy ich tak zastanie. A to rozumiecie, że gdyby gospodarz wiedział, o której godzinie przyjść ma złodziej, nie pozwoliliby włamać się do swego domu. Wy też bądźcie gotowi, gdyż o godzinie, której się nie domyślacie, Syn Człowieczy przyjdzie (Łk 12,35–40).

Dzisiejsza przypowieść o czuwających sługach i ich panu należy do tych historii opowiedzianych przez Jezusa, które wydają mi się bardzo mało prawdopodobne. Pan, który przychodzi w nocy, zamienia się rolami ze swoimi służącymi, wkłada na siebie ich strój, a następnie im służy, wydaje mi się trudny do wyobrażenia. Chyba jednak nikt tak nie robi. Przynajmniej ja sobie tego nie wyobrażam.

Tak czy inaczej: to nie jest typowe czy zwyczajne zachowanie. To, co robi pan wobec swoich służących, na pewno ani nie należy do jego obowiązków, ani też nie wynika z jakiejś przypisanej mu powinności. Pan zazwyczaj nie obsługuje służących. To oni obsługują jego. Za to

zresztą im płaci. Gospodarz z przypowieści czyni dobro, którego czynić nie musi. I właśnie dlatego powiedzielibyśmy, że to dobro nadzwyczajne, wyjątkowe, dobro wykraczające ponad normę.

Każdy z nas intuicyjnie wyczuwa, co to jest dobro. Teologia moralna mówi, że dobro to działanie zgodne z obiektywną normą moralności. O dobrym człowieku powiemy po prostu, że postępuje tak jak należy, tak jak wymaga tego jego wiek, stanowisko, pozycja, rola społeczna, miejsce w rodzinie, religia, którą wyznaje, a jeśli jest chrześcijaninem, możemy dodać, że wypełnia przykazania. Wiemy, jak zachowuje się dobre dziecko, dobry ojciec, dobry mąż i dobra żona, dobry przełożony, dobry pracownik, dobry ksiądz, nauczyciel, prezydent, polityk czy rzemieślnik. Każdy z nas ma bowiem jakieś wyobrażenie zobowiązań wynikających ze stanu, zawodu, pozycji. Stąd już niedaleko do stwierdzenia, że dobro jest niczym innym jak wypełnianiem obowiązków powierzonych człowiekowi.

Czy jednak rzeczywiście wystarczy tylko wypełnić dobrze swoje obowiązki, aby być dobrym? A co z działaniami, które wykraczają poza obowiązek? Co z gospodarzem, który służy swoim sługom? Jak nazwać takie dobro?

Myślę, że są dwa rodzaje dobra. Najpierw to, które dzisiaj ukazuje nam gospodarz wobec swoich sług. To dobro nie wynika z obowiązku czy z przymusu, ale z chęci, z nieskrępowanej woli, z czystego pragnienia, by dobro stało się czymś udziałem. Chyba można powiedzieć, że to jest dobro z miłosierdzia. Ono jest wtedy, gdy czynię dobro, którego nie muszę, do którego nie jestem zobowiązany, którego nie nakazuje mi przykazanie. To jest dobro, które wyrasta ponad obowiązek. Dobro miłosierne. Chciałoby się powiedzieć: prawdziwe dobro.

Ale jest jeszcze to dobro, do którego jesteśmy zobowiązani, dobro ze sprawiedliwości. Ono jest w pewnym sensie oczywiste i wynika z naszych naturalnych zobowiązań. Ojciec, który jest dobry dla dziecka, nie robi żadnej łaski. Ani syn czy córka, którzy opiekują się rodzicami. Oni też nie robią żadnej łaski, nic w tym nadzwyczajnego. Podobnie jak robotnik, który dobrze pracuje. I pracodawca, który dobrze płaci. To jest tylko i wyłącznie ludzka sprawiedliwość.

W jednej ze swoich konferencji bp Grzegorz Ryś mówił: „Nie nazywajcie miłosierdziem tego, co jest wyłącznie sprawiedliwością”<sup>1</sup>. No właśnie. Prawdziwe dobro zaczyna się tam, gdzie kończy się sprawiedliwość, a zaczyna miłosierdzie – owo dobro bez przymusu.

Najpopularniejsze pokuty zadawane w konfesjonale to pokuty modlitewne: litanie, koronki, różaniec, lektura Biblii czy Msza św. „za karę”. Ale zdarza się, że kapłan jako pokutę zadaje zrobienie dobrego uczynku wobec kogoś z najbliższych. Sam tak robię. Niejeden raz słyszałem jednak prośbę o zamianę na różaniec, litanie, jakąś modlitwę. Pamiętam takiego penitenta, który się skarżył, że mu żaden dobry uczynek nie wychodził. Cokolwiek by sobie bowiem wymyślił, dochodził do wniosku, że to, co zrobił, to żadne nadzwyczajne dobro, a zwykła przyzwoitość. Takie dobro ze sprawiedliwości. Żaden „dobry uczynek” nie wydawał mu się wystarczająco „dobry”.

W Ewangelii jest jeszcze jedna scena, gdy pan przystępuje do obsługiwania tych, którzy – w jakimś sensie – byli jego sługami. To scena obmywania nóg w Wieczerniku. Jezus – jak zanotował św. Jan – „wstał od wieczerzy i złożył szaty. A wzięwszy prześcieradło, nim się przepasał. Potem nalał wody do misy. I zaczął obmywać uczniom nogi i ocierać prześcieradłem, którym był przepasany” (J 13,4–5). Można by powiedzieć, że scena zapowiedziana przez Jezusa w przypowieści właśnie się dzieje. Jezus realizuje to, co zapowiadał. Jest jak ów pan, który wraca z uczyty weselnej. Nawet okoliczności są podobne. „A była noc” (J 13,30) – jak zauważył św. Jan. Uczniowie niewiele rozumieli z tego, co się wydarzyło. Święty Piotr nie chciał Mu dać swoich nóg do umycia. Ale to tę właśnie scenę Jezus zostawia uczniom jako swój testament: „Jeżeli więc Ja, Pan i Nauczyciel, umyłem wam nogi, to i wy powinniście sobie nawzajem umywać nogi” (J 13,14).

Miłosierdzie – czyli dobro, które wyrasta ponad sprawiedliwość – jest przykazaniem Pana. Ale nie tylko przykazaniem. Miłosierdzie – chyba można tak powiedzieć – jest przysmakiem nieba.

<sup>1</sup> G. Ryś, *Rekolekcje. Modlitwa, post, jałmużna*, Kraków 2013, s. 195.

Jezus opowiada dzisiejszą przypowieść o gospodarzu i sługach w kontekście eschatologicznym. Mówi o gotowości na przyjście Pana. Uczta, przy której Pan będzie posługiwał, jest już ucztą niebiańską. Czy może być bardziej radykalny obraz nieba niż wizja Boga, który usługuje swoim dzieciom; Pana, który chodzi koło swoich sług, Stwórcy, który służy swojemu stworzeniu?

Niebo to będzie coś więcej niż dobro, na które zasłużyliśmy dobrym życiem. To byłaby tylko sprawiedliwość mierzona ludzką, ziemską miarą. Niebo będzie aktem miłosierdzia. Realizacją niczym nieskrępowanego pragnienia Boga, by dzielić się z człowiekiem samym sobą. Czy odczuwali to już uczniowie w Wieczerniku, gdy Pan im nogi umywał? Czy wiedzieli, że tak właśnie będzie smakowało niebo? Nie wiem. Wiem tylko, że sami możemy innym takiego właśnie nieba przychylić.

Nie trzeba wiele. Tak się przecież dzieje zawsze wtedy, gdy porzucamy rolę pana, a wcielamy się w rolę sługi. Gdy przestajemy oczekiwać, że ktoś nas będzie obsługiwał, a sami przepasujemy się szatą służącego. Wtedy dzieje się miłosierdzie. Wtedy dzieje się niebo.

7 SIERPNIA 2016

## Dżihad uczniów Chrystusa

Przyszedłem ogień rzucić na ziemię i jakże pragnę, ażeby już zapłonął. Chrzt mam przyjąć, i jakiej doznaję udręki, aż się to stanie. Czy myślicie, że przyszedłem dać ziemi pokój? Nie, powiadam wam, lecz rozłam. Odtąd bowiem pięcioro będzie podzielonych w jednym domu: troje stanie przeciw dwójgu, a dwójce przeciw trojgu; ojciec przeciw synowi, a syn przeciw ojcu; matka przeciw córce, a córka przeciw matce; teściowa przeciw synowej, a synowa przeciw teściowej (Łk 12,49–53).

Dzisiejsza Ewangelia nosi w sobie niebezpieczny potencjał. Pokusa, by ją odczytać jako wezwanie do wojny w imię Jezusa, jest silna. I znam takich, którzy chętnie by tak zrobili.

„Przyszedłem ogień rzucić na ziemię i jakże pragnę, ażeby już zapłonął. [...] Czy myślicie, że przyszedłem dać ziemi pokój? Nie, powiadam wam, lecz rozłam” (Łk 12,49.51). Dla niektórych to wezwanie jest więcej niż oczywiste. Podpalić świat! Pozwolić, by ogień wypalił to, co złe i grzeszne. Wzbudzić wojnę, bo przecież pokój jest dla mięczaków. A ludzie wcale nie muszą być braćmi. Przeciwnie – niech staną naprzeciwko siebie. Wystarczy dodać jeszcze kilka sloganów o Kościele wojującym i mamy program dla chrześcijaństwa „niepokornego”, niezłomnego i takiego, co się kulom nie kłania. W dobie wojen terrorystycznych jak znalazł. Tylko krok dzieli nas od katolickiego dżihadu.

Ogień. Jedno jest pewne – Jezus nie mówi o ogniu materialnym, ale ucieka się do metafory. Na pytanie, co ukrywa się pod symbolem ognia, nie jest jednak łatwo odpowiedzieć. Wystarczy zrobić przegląd komentarzy egzegetów i teologów. Ogień to według nich: Sąd Ostateczny, duchowy płomień, Duch Święty, miłość Chrystusowa, słowo Boże. To tylko niektóre z możliwych interpretacji.

W Starym Testamencie sam Bóg się nim posługuje, by się objawić. Pod postacią ognia Bóg przeszedł między połowami zwierząt ofiarowanych przez Abrahama. Mojżeszowi ukazuje się w krzaku gorejącym, w płomieniu ognia, który się nie spala. Przed Izraelem uchodzącym z Egiptu Bóg idzie nocą jako słup ognia. Na górze Synaj spośród ognia Pan mówił z Izraelitami twarzą w twarz. A i sam Duch Święty ukaże się w Dniu Pięćdziesiątnicy pod postacią ognistych płomieni. Ta symbolika jest znana i oczywista. Bóg jest jak ogień – żywioł nieopanowany. „Ogień, co nie mówi «Dość!»” – jak czytamy w Księdze Przysłów (Prz 30,16). I „choć dzieli się on, udzielając światła, nie doznaje jednak uszczerbku” – jak śpiewany w wielkanocnym *Exsultecie*. Taki jest też Bóg: nieustannie dzieli się sobą i nie ma tego dość. Ale jak to wszystko się ma do Jezusowej zapowiedzi? Czym jest ten ogień, który On sam chce rzucić, ogień Chrystusowy?

Shukając odpowiedzi na to pytanie, znalazłem interpretację, której nie znałem. Jak wszyscy pamiętamy, w Wielką Sobotę święci się ogień. Że paschał symbolizuje Jezusa Zmartwychwstałego, to wszyscy wiemy. Ale dlaczego? Współcześnie odmawiana modlitwa przy poświęceniu ognia nie daje na to odpowiedzi. Bardzo szybko bowiem przechodzi się od symboliki ognia do symboliki światła. Kapłan mówi: „Ty przez swojego Syna udzieliłeś wiernym światła swojej chwały”. Ale przecież nie o światło tu chodzi, lecz o ogień. Poszukałem starej wersji tej modlitwy, „sprzed reformy”. A brzmiała ona tak: „Boże, Ty przez swojego Syna, który jest prawdziwym kamieniem węgielnym, udzieliłeś wiernym ognia Twojej światłości; poświęć ten nowy ogień wykrzesany z kamienia dla naszego użytku”. A w innej wersji nawet „wykrzesany z krzemienia”.

Dorothea Forstner OSB w książce *Świat symboliki chrześcijańskiej* pisze: „Ogień jest tu symbolem Chrystusa, który jak iskra wskrzeszana z kamienia powstaje z zamkniętego grobu wykutego w skale do nowego przemienionego życia. [...] We wczesnym średniowieczu panował zwyczaj gaszenia przedtem ognia w paleniskach i wszystkich światel, aby wraz z wykrzesanym z kamienia ogniem wielkanocnym rozpocząć niejako nowe życie”<sup>1</sup>. Niestety, współczesna liturgia zagaubiła tę niezwykle piękną symbolikę. Kapłan już nie błogosławi ognia „wykrzesanego z kamienia”, ale po prostu ogień, który bierze się nie wiadomo skąd, a i samego ognia nikt już pod kościołem nie krzesze, lecz do jego rozpalenia używa banalnych zapalek, zapalniczek, a może nawet – o zgrozo! – podpałki do grilla.

Ta starożytna modlitwa liturgiczna pozwala nam dzisiaj interpretować Jezusowe pragnienie rozpalenia ognia w perspektywie Jego zmartwychwstania. Powstanie z grobu będzie iskrą, która rozpali świat ogniem zbawienia. W tym kontekście Jego słowa o chrzcie, który ma przyjąć, i że doznaje udręki, aż się to stanie, nabierają także głębokiego znaczenia. O jakim chrzcie Jezus mówi? Jest już przecież po chrzcie Janowym. Jak wiadomo, greckie słowo *baptizo*, które tłumaczymy jako „chrzczyć”, dosłownie znaczy „zanurzyć”. Jezusa czeka drugie zanurzenie, już nie w wodzie, ale w kamiennym grobie, w czeluści ziemi. Jezus na trzy dni „zanurzy się” w grobie i zstąpi do piekieł, aby zwycięsko wyjść, wyprowadzając z otchłani pierwszego człowieka – Adama, a z nim całą ludzkość, nas wszystkich. Wszyscy, którzy przez chrzest zanurzyliśmy się w śmierć Chrystusa, nosimy w sobie iskrę Jego zmartwychwstania i – w Roku Miłosierdzia nie można inaczej powiedzieć – iskrę Jego miłosierdzia.

Nie przez przypadek święto Miłosierdzia Bożego obchodzimy w II Niedzielę Wielkanocną, gdy kończy się oktawa świąt Zmartwychwstania Pańskiego. W centrum tajemnicy miłosierdzia jest przecież

<sup>1</sup> D. Forstner, *Świat symboliki chrześcijańskiej*, tłum. i oprac. W. Zakrzewska, P. Pachciarek, R. Turzyński, Warszawa 1990, s. 75.

Zmartwychwstały. Nie przez przypadek też Jezus mówił św. Faustynie o „iskrze miłosierdzia”, która przygotowuje świat na ostateczne Jego przyjście. Tę iskrę sam Bóg wykrzesał z kamieni grobowych Jezusa. „Trzeba tę iskrę Bożej łaski rozniecać. Trzeba przekazywać światu ogień miłosierdzia. W miłosierdziu Boga świat znajdzie pokój, a człowiek szczęście!” – wzywał św. Jan Paweł II podczas konsekracji sanktuarium w Krakowie-Łagiewnikach<sup>2</sup>. A św. Faustyna pisała w *Dzienniczku*: „Pod tymi promieniami rozgrzeje się każde serce, chociażby było zimne jak bryła lodu, chociażby było twarde jak skała, skruszy się na proch”<sup>3</sup>.

My, uczniowie Chrystusa, też mamy swój „dżihad”, swoje – tłumacząc dosłownie – „zmaganie, walkę”. To nie jest zmaganie się ani walka zbrojna za pomocą ognia, do czego wzywają wojskowe komendy. My mamy własny „ogień rzucony na ziemię”. I to samo pragnienie co Jezus: „żeby on już zapłonął”. Tym ogniem jest Boże Miłosierdzie. W tej kwestii nie mamy cierpliwości. I nie mamy dość. Przeciwnie – podobnie jak On – doznajemy udręki, aż się to stanie. Pewnego dnia miłosierdziem podpalimy świat.

14 SIERPNIA 2016

<sup>2</sup> Jan Paweł II, Homilia podczas Mszy św. z okazji konsekracji świątyni Bożego Miłosierdzia, Kraków-Łagiewniki, 17.08.2002 r.

<sup>3</sup> F. Kowalska, *Dzienniczek. Miłosierdzie Boże w duszy mojej*, Warszawa 1993, 370.



## Cisza Wniebowzięcia

W tym czasie Maryja wybrała się i poszła z pośpiechem w góry do pewnego miasta w [ziemi] Judy. Weszła do domu Zachariasza i pozdrowiła Elżbietę. Gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, poruszyło się dzieciątko w jej łonie, a Duch Święty napełnił Elżbietę. Wydała ona głośny okrzyk i powiedziała: „Błogosławionas Ty między niewiastami i błogosławiony jest owoc Twojego łona. A skądże mi to, że Matka mojego Pana przychodzi do mnie? Oto bowiem, skoro głos Twego pozdrowienia zabrzmiał w moich uszach, poruszyło się z radości dzieciątko w moim łonie. Błogosławiona [jest], któraś uwierzyła, że spełnią się słowa powiedziane Jej od Pana”.

Wtedy Maryja rzekła:

„Wielbi dusza moja Pana,

i raduje się duch mój w Bogu, moim Zbawcy.

Bo wejrzał na uniżenie Służebnicy swojej.

Oto bowiem błogosławić mnie będą odtąd wszystkie pokolenia,

gdyż wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny;

a święte jest Jego imię –

i miłosierdzie Jego z pokoleń na pokolenia dla tych, co się Go boją.

On przejawia moc ramienia swego,

rozprasza pyszniących się zamysłami serc swoich.

Strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych.  
 Głodnych syci dobrami, a bogaczy odprawia z niczym.  
 Ujął się za swoim sługą, Izraelem,  
 pomny na miłosierdzie swoje,  
 jak przyobiegał naszym ojcom –  
 Abrahamowi i jego potomstwu na wieki” (Łk 1,39–56).

Właściwie to kazanie na dzisiejszą uroczystość wygłosił już przed kilkunastoma dniami papież Franciszek na Jasnej Górze. Tak mówił wówczas o narodzeniu Jezusa z Maryi: „Nie ma mowy o wejściu triumfalnym, jakiegokolwiek imponującej manifestacji Wszechmogącego: nie ukazuje się jako oślepiające słońce, ale przychodzi na świat w sposób najprostszy – jako dziecko zrodzone przez matkę”. Takie wkroczenie Jezusa w świat mogło być możliwe tylko dzięki Maryi: „W życiu Maryi podziwiamy tę małość umiłowaną przez Boga, który «wejrzał na uniżenie Służebnicy swojej» i «wywyższył pokornych» (Łk 1,48.52). Tak bardzo sobie w Niej upodobał, że z Niej zechciał utworzyć swoje ciało” – mówił papież<sup>1</sup>.

Ta małość Maryi objawiła się nie tylko wtedy, gdy wkraczała na ziemską scenę historii zbawienia, a więc w momencie zwiastowania w Nazarecie i narodzenia Jezusa w Betlejem, ale także wtedy, gdy z tej sceny schodziła. Dogmat o Wniebowzięciu Najświętszej Maryi Panny mówi, że została wzięta z ciałem i duszą do nieba, ale nie precyzuje, czy dokonało się to już po śmierci czy jeszcze za życia Maryi. „Nie chciałeś bowiem, aby skażenia w grobie doznała Dziewica, która wydała na świat Twojego Syna, dawcę wszelkiego życia” – śpiewamy dzisiaj w prefacji, ale to nie znaczy, że Maryja nie umarła. W wielu kalwariach odprawia się przecież nie tylko dróżki wniebowzięcia, ale także pogrzebu Maryi.

Tradycja wschodnia woli mówić o Zaśnięciu Najświętszej Maryi Panny. I jest w tym chyba jakaś słuszna intuicja. Zaśnięcie bardzo dobrze oddaje ową cichość i małość Maryi. Zasypia się przecież w ciszy,

<sup>1</sup> Franciszek, Homilia wygłoszona podczas Mszy św. z okazji 1050. rocznicy chrztu Polski, Częstochowa – Jasna Góra, 28.07.2016 r.

nie robiąc przy tym rozgłosu. Być może ktoś to porównanie uzna za nie-takt, ale przypominają mi się słowa Ireny Kwiatkowskiej, która tak mówiła o śmierci: „Chciałoby się spokojnie odejść. Ludzie kiedyś mniej bali się śmierci, zwyczajnie o niej rozmawiali. Oto jest śmierć szczęśliwa – mówili – pomodliła się, odwróciła do ściany i umarła jakby we śnie”<sup>2</sup>. Może tak właśnie było z Maryją.

Na wielkim obrazie Petera Paula Rubensa *Niewiasta obleczona w słońce*, który można oglądać w Starej Pinakotece w Monachium, jest znamieny detal. W prawym dolnym rogu tego wizerunku Wniebowziętej Rubens namalował nietoperza polującego na pszczołę. W kontekście tematyki obrazu symbolika tej sceny wydaje się oczywista: to zło czyhające na dobro. Nietoperz, będąc zwiastunem nocy i ciemności, jest naturalnym symbolem zła. Szatana wyobrażano sobie często właśnie z błoniastymi skrzydłami nietoperzy. Naprzeciwko nietoperza – pszczoła, która wydaje się bezbronna.

W homilii wygłoszonej w ostatnią niedzielę<sup>3</sup> mówiłem o ogniu jako symbolu Chrystusa, zwłaszcza o tym ogniu, który poświęca się w Wigilię Paschalną i od którego odpala się paschał, „owoc pracy pszczelego roju”. Mówiłem o tym płomieniu, który „choć dzieli się [...], użyczając światła, nie doznaje jednak uszczerbku, żywi się bowiem strugami wosku, który dla utworzenia tej cennej pochodni wydała pracowita pszczoła”. Ale pszczoła – tak mi się przynajmniej wydaje – nie jest tutaj przywołana jedynie z naturalnego porządku rzeczy. W ikonografii chrześcijańskiej pszczoła od dawna symbolizowała Maryję. Wystarczy zajrzeć do pism św. Antoniego z Padwy, który Maryję przyrównuje właśnie do pszczoły.

W kazaniu na święto ofiarowania Jezusa w świątyni nazywał Maryję „naszą Pszczolą małą, czyli pokorną”, która „dzisiaj w świątyni ofiarowała Bogu Ojcu plaster miodu, to znaczy Słowo Wcielone, czyli Boga i człowieka. W plastrze – miód i воск, w dziecięciu Jezus – Bóstwo i człowieczeństwo”. Święty Antoni idzie dalej w swych alegoriach,

<sup>2</sup> I. Kwiatkowska, [wywiad:] *Wybieram się na Księżyc*, „Gazeta Wyborcza” („Duży Format”), 18.03.2009 r.

<sup>3</sup> Zob. homilia z 14.08.2016 r.

szczegółowo opisując także symbolikę świecy przynoszonej do kościoła: „Zauważ, że w świecy są trzy rzeczy, mianowicie воск, knot i płomień. Woskiem Ciało Chrystusa, knotem Jego męka, płomieniem ognia potęga Boskości”. Ten, kto chce wziąć do ręki świecę symbolizującą Chrystusa, bierze na siebie zobowiązania: „Wosk oznacza czystość ducha, knot udręki ciała, płomień żar miłości. Kto tak niesie, dobrze wyobraża”<sup>4</sup>.

W jasnogórskim kazaniu papież Franciszek mówił: „Jeżeli istnieje jakakolwiek ludzka chwała, jakaś nasza zasługa w pełni czasu, to jest nią Ona: to Ona jest ową przestrzenią zachowaną w wolności od zła, w której Bóg się odzwierciedlił; to Ona jest schodami, które przemierzył Bóg, aby zejść do nas i stać się bliskim i konkretnym: to Ona jest najjaśniejszym znakiem pełni czasu”. By nam to opowiedzieć, malarze i kaznodzieje uciekali się do symboliki: nietoperz – oznacza szatana, pszczoła – Maryję, воск – ziemskie ciało Chrystusa, miód – Jego boskość, ogień – Jego miłość. Bez Maryi nie byłoby Jezusa, tak jak wosku, miodu i świecy bez owej „pracowitej pszczoły” (na marginesie trzeba jednak zauważyć, że ta cała symbolika przemawia pod warunkiem wszakże, że w naszych kościołach nie będzie się święcić świec z parafiny czy stearyny bądź też tekturowej tuby na wkłady olejowe). Jezus musiał przejść przez Jej ciało. Innej drogi nie ma.

Wniebowzięcie jest świętem Maryi – świętem kobiety, która dała Bogu ciało; świętem człowieka – który podzielił się z Bogiem ludzką naturą, świętem małej, cichej, konkretnej, pracowitej – by nie powiedzieć: pszczelej – codzienności, w której dokonują się rzeczy wielkie. W niej cicho rodzi się Bóg, w niej cicho zasypia Maryja. Bo – jak nam przypomniał papież w Częstochowie – taki jest „Boży styl ucieleśniony przez Maryję”: „działać w małości i w bliskości towarzyszyć, z prostym i otwartym sercem”. Ten styl dostępny jest nam wszystkim. Ten styl prowadzi do wniebowzięcia.

15 SIERPNIA 2016

<sup>4</sup> Św. Antoni z Padwy, Kazanie na uroczystość Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny, w: K. Panuś, *Wielcy mówcy Kościoła*, Kraków 2004, s. 81–82.

## Bóg, który się nie upomina

Gdy Jezus przyszedł do domu pewnego przywódcy faryzeuszów, aby w szabat spożyć posiłek, oni Go śledzili. [...] Potem opowiedział zaproszonym przypowieść, gdy zauważył, jak sobie pierwsze miejsca wybierali. Tak mówił do nich: „Jeśli cię ktoś zaprosi na ucztę, nie zajmuj pierwszego miejsca, by przypadkiem ktoś znamienitszy od ciebie nie był zaproszony przez niego. Wówczas przyjdzie ten, kto was obu zaprosił, i powie ci: «Ustąp temu miejsca», a wtedy musiałbyś ze wstydem zająć ostatnie miejsce. Lecz gdy będziesz zaproszony, idź i usiądź na ostatnim miejscu. A gdy przyjdzie ten, który cię zaprosił, powie ci: «Przyjacielu, przesiądź się wyżej». I spotka cię zaszczyt wobec wszystkich współbiesiadników. Każdy bowiem, kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się uniża, będzie wywyższony».

Do tego zaś, który Go zaprosił, mówił także: „Gdy wydajesz obiad albo wieczerzę, nie zapraszaj swoich przyjaciół ani braci, ani krewnych, ani zamożnych sąsiadów, aby cię i oni nawzajem nie zaprosili, i miałbyś odpłatę. Lecz kiedy urządzasz przyjęcie, zaproś ubogich, ułomnych, chromych i niewidomych. A będziesz szczęśliwy, ponieważ nie mają czym tobie się odwdziżyć; odpłatę bowiem otrzymasz przy zmartwychwstaniu sprawiedliwych” (Łk 14,1.7–14).

W prawie rzymskim istniała tzw. zasada wzajemności, która wyrażała się słowami: *Do, ut des*, to znaczy „Daję, abyś dawał”, w domyśle: „abyś

dawał mi”. Współcześnie istnieje też w polskim prawie cywilnym. Istotą tej instytucji prawnej jest równość wzajemnych zobowiązań. Ta zasada funkcjonuje jednak także w codziennym życiu i w zwykłych relacjach z ludźmi. Nosi w sobie jednak niebezpieczeństwo. Przekształca relacje osobowe w handlowe. Bo – według tej zasady – jeśli coś ci daję, to znaczy, że jednocześnie oczekuję od ciebie tego samego, niekoniecznie tej samej rzeczy, przysługi czy czynności, ale czegoś o takiej samej albo podobnej wartości. Daję, abys ty mi też dał. Daję, abys mi to w pewnym sensie zwrócił. Daję, ale liczę na wdzięczność, na dar od ciebie. Jeśli nie dzisiaj, to kiedyś, gdy przyjdzie na to czas. Wtedy się upomnę.

Niejednokrotnie sami byliśmy beneficjentami czyjejś dobroci, coś otrzymaliśmy, oddano nam przysługę, ktoś nam coś załatwił. Niby bezinteresownie, z życzliwości. Okazuje się jednak często, że ta rzekoma bezinteresowność jest do czasu. Przychodzi chwila, kiedy nagle słyszymy: a pamiętasz, jak ci dałem, załatwiłem, pomogłem, pożyczyłem? W tych słowach kryje się oczekiwanie na rewanż, na wdzięczność. Zasada wzajemności tworzy silne więzy między osobą obdarowującą a obdarowanym, czasami są to więzy dożgonne. Tworzy swoistą zależność łańcuchową, sprzężenie zwrotne, albowiem każdy kolejny dar jest pretekstem do następnego. I tak wiążemy się ze sobą: nie przyjaźnią jednak, a patologiczną pseudowdzięcznością. Podobno przyjaciele to osoby, które zawdzięczają sobie nawzajem tak wiele, że zapominają, ile są sobie winne. Wraz z wypominaniem, ile ktoś komuś dał, zrobił, zawdzięcza, kończy się miłość, przyjaźń, koleżeństwo. Może dlatego niektórzy sądzą, że przyjaciele nie powinni być partnerami w biznesie. Relacje przyjaźni mieszają się z ekonomią. Wszak „mówiły jaskółki, że niedobre są spółki”, zwłaszcza gdy to spółka koleżeńska.

Czy Jezus znał tę rzymską zasadę, nie wiem. Chyba nie musiał. Interesowność leży w ludzkiej naturze. To takie naturalne: dać komuś coś i czekać na wdzięczność. Ale w ten sposób dar przestaje być bezinteresownym darem, a staje się handlem wymiennym, interesem, biznesem, w którym można przewidywać zyski. Dlatego Jezus przestrzega: „nie zapraszaj swoich przyjaciół ani braci, ani krewnych, ani

zamożnych sąsiadów, aby cię i oni nawzajem nie zaprosili, i miałbyś odpłatę” (Łk 14,12). Nie zapraszaj po to, by cię zaproszono. Nie dawaj z nadzieją, że coś dostaniesz w zamian. Nie czynь dobra po to, by ci ktoś podziękował. Nie bądź życzliwy tylko po to, by zyskać cudzą życzliwość. Nie ofiaruj nikomu niczego, by kupić go prezentem. Dawaj i nie czekaj, by dostać coś w zamian.

Czym jest więc dar i jak go dawać? Jak pisze czeski ekonomista Tomáš Sedláček w *Ekonomii dobra i zła*: „Najważniejszym wyróżnikiem daru jest brak jego ceny. Ma oczywiście wartość, ale nie cenę”. Właśnie dlatego prawdziwy dar uniemożliwia handel wymienny. Wartość daru jest zawsze „nieprecyzyjna, niejasna, niewyraźna”. Może dlatego tak często usuwamy ceny z prezentów. Zyskałyby wówczas handlową cenę, ale straciłyby wartość daru. W przypadku daru nie wiemy, ile należałoby za niego zapłacić. Ciągłe nam się wydaje, że za mało. Może dlatego tak często słyszymy, że czegoś nie da się kupić. Żadna cena nie wydaje się nam wystarczająca. Bo dar jest zawsze bezcenny. Gdyby miał nie tylko wartość, ale i cenę, można by go kupić, a potem sprzedać. Darów się nie sprzedaje, najwyżej przekazuje się je dalej. Nie można przecież sprzedać czegoś, co nie ma ceny. Nie czytałem *Władcy pierścieni* ani nie oglądałem filmu, ale Sedláček pisze, że „w całej trylogii *Władca pierścieni* ani razu nie ma mowy o kupowaniu ani sprzedawaniu. Wszystko, czego Drużyna potrzebuje na podróż, dostaje w formie daru. [...] Ważne rzeczy są darowane, znajdowane lub kradzione [...]”. Może właśnie dlatego Jezus mówił, że królestwo Boże zdobywają ludzie gwałtowni, tacy, co nie ustępują w szukaniu, a jak trzeba, to są gotowi nawet wykraść królestwo Boże.

Jak pisze Sedláček: „W ekonomicznych teoriach dar uchodzi za anomalię, którą trudno wytłumaczyć za pomocą istniejących modeli”. Dar bezinteresowny jest wyłomem w naznaczonych interesownością relacjach międzyludzkich. Jest anomalią, czymś – chciałoby się powiedzieć – nienormalnym. Przerywa łańcuch ekonomicznych zależności i chorobliwej konieczności odwzajemniania się. Prawdziwy dar wyzwala. Wyzwala darującego z oczekiwania na wdzięczność. I wyzwala

obdarowanego od konieczności wdzięczności. Bo prawdziwy dar nie uzależnia, nie poniża, nie przywiązuje.

Jezusowa przypowieść o uczcie nie jest tylko o relacjach międzyludzkich i tzw. miłości bliźniego. To przypowieść o królestwie Bożym, gdzie – jak mówi autor Listu do Hebrajczyków – Bóg zaprasza nas „na uroczyste zebranie” (por. Hbr 12,22), na ucztę mesjańską, królewski posiłek. To przypowieść o zbawieniu. Bóg jest jak ów gospodarz, który wydaje obiad albo wieczerzę, a gdy urządza przyjęcie, zaprasza ubogich, ułomnych, chromych i niewidomych, a więc tych, co nic nie mają i niczego nie mogą Mu ofiarować w zamian. I jest szczęśliwy, ponieważ nie mamy się Mu czym odwdziżyć. Raz jeszcze Sedláček: „[...] koncepcja daru (za który nie trzeba płacić) stanowi podstawową zasadę chrześcijańskiego zbawienia. [...] Odkupienie Boże jest darmowe. Nie można za nie zapłacić ani czynami, ani czymś wartościowym, ani «dobrym postępowaniem». To nie żadna wymiana, tylko dar”<sup>1</sup>. W starożytnym Rzymie zasada *Do, ut des* dotyczyła pierwotnie ofiar składanych bożkom. Dar złożony bóstwu miał skutkować jakimś dobrem w zamian. W Ewangelii jest zupełnie inaczej. To nie my ofiarujemy, ale Bóg. I nie w zamian za coś, ale za darmo.

Mam wrażenie, że jest to jedna z najtrudniejszych do zaakceptowania prawd Ewangelii. Że Bóg nas zbawia za darmo i tak naprawdę niczego nie oczekuje od nas w zamian. Nie mówi: *Do, ut des*, „Daję, byś [Mi] dawał”. Mówi: „Daję, bo chcę”. Bóg się nie upomina o swoje. Jego dobroć nie jest interesowna. I nie jest skierowana na wdzięczność. To jest dar, który nie uzależnia, ale czyni nas wolnymi. I w tej wolności czynimy dobro, bo za dar można się naprawdę odwdziżyć tylko darem, ale nie oddanym, a przekazanym dalej.

„Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga: nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił” – jak pisze św. Paweł (Ef 2,8–9). Nie, nie chlubimy się dobrem przed

<sup>1</sup> T. Sedláček, *Ekonomia dobra i zła. W poszukiwaniu istoty ekonomii od Gilgamesza do Wall Street*, tłum. D. Bakalarz, Warszawa 2012, s. 150–152.



Panem, ale dzielimy je z innymi obdarowanymi. Bo czy jest cena, którą można by wymierzyć Boży dar zbawienia? „Zostaliście wykupieni nie czymś przemijającym, srebrem lub złotem, ale drogocenną Krwią Chrystusa” – mówi św. Piotr (1 P 1,18–19). Czy ktoś wie, jak wysoka jest ta cena, by ją móc zapłacić? Myślę, że jej nie ma. Bez względu na to, ile byśmy zapłacili, będzie mało. Bo dary mają wartość, ale nie mają ceny. Tym bardziej dar Krwi Chrystusowej.

28 SIERPNIA 2016

## Nosiciele krzyża

A szły z Nim wielkie tłumy. On odwrócił się i rzekł do nich: „Jeśli ktoś prychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i sióstr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem. Kto nie dźwiga swego krzyża, a idzie za Mną, ten nie może być moim uczniem.

Bo któż z was, chcąc zbudować wieżę, nie usiądzie wpierw i nie oblicza wydatków, czy ma na wykończenie? Inaczej, gdyby położył fundament, a nie zdołałby wykończyć, wszyscy, patrząc na to, zaczęliby drwić z niego: «Ten człowiek zaczął budować, a nie zdołał wykończyć».

Albo jaki król, mając wyruszyć, aby stoczyć bitwę z drugim królem, nie usiądzie wpierw i nie rozważy, czy w dziesięć tysięcy ludzi może stać czoło temu, który z dwudziestu tysiącami nadciąga przeciw niemu? Jeśli nie, wyprawia poselstwo, gdy tamten jest jeszcze daleko, i prosi o warunki pokoju.

Tak więc nikt z was, jeśli nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem [...]” (Łk 14,25–33).

Pierwszy raz Jezus mówił o krzyżu, jeszcze zanim wyruszył do Jerozolimy. Wtedy – jak pisze św. Łukasz – „mówił do wszystkich: «Jeśli ktoś chce iść za Mną, [...] niech co dnia bierze krzyż swój i niech Mnie naśladować»” (Łk 9,23). Teraz, już w drodze do Jerozolimy, gdy zbliża się Jego śmierć na krzyżu, przypomina raz jeszcze: „Kto nie dźwiga swego krzyża, a idzie

za Mną, ten nie może być moim uczniem” (Łk 14,27). Jak zauważył św. Łukasz, „szły z Nim wielkie tłumy” (Łk 14,25). To do nich odwrócił się Jezus i wypowiedział słowa o krzyżu, nie tylko do najbliższych uczniów. Podobnie było poprzednim razem, wtedy też mówił „do wszystkich”.

Kiedy Jezus zobaczył, że ten ciągnący za Nim lud Go szukał, powiedział: „Szukacie Mnie nie dlatego, że widzieliście znaki, ale dlatego, że jedliście chleb do syta” (J 6,26). Tak, Jezus znajduje się u szczytu sławy. Wieść o Nim zatacza coraz szersze kręgi. Ludzie słyszeli o uzdrowieniach, wskrzeszeniach, cudach, idą za Nim z ciekawości. Taki, co rozmnaża chleb i przemienia wodę w wino w hurtowych ilościach, nie pojawia się zbyt często. To do nich Jezus mówi o krzyżu. I te słowa musiały w ich uszach brzmieć szokująco. Przyzwyczailiśmy się do widoku krzyża. Tak bardzo się usakralizował i nabrał znaczeń symbolicznych, że zapominamy, iż ukazuje on narzędzie haniebnego zbrodni i postać zmarłego człowieka. Czasami jest tak piękny, że w niczym nie przypomina już narzędzia tortur. A oni tak właśnie o krzyżu myśleli. Jak my dzisiaj o szubienicy.

Mariusz Szczygieł w książce *Zrób sobie raj*, w której opisuje współczesną religijność Czechów, przytacza taką oto scenę:

„Tramwaj jechał wzdłuż Wełtawy, a blondynce na głębokim dekolcie podskakiwał duży krzyż. Na przystanku wsiadła brunetka z sześcioma kolczykami w nosie, cmoknęły się w policzek, wsiadająca przyjrzała się biżuterii koleżanki i wypaliła:

- Co to jest?
- Jezus na krzyżu. Srebrny! Babcia mi dała.
- I ty zamierzasz tego trupa nosić?!
- Ale on jest ładny!
- Tylko że nieżywy. Babcia nie mogła ci dać Buddy? Przynajmniej jest weselszy. No jak można nosić nieboszczyka?! Aż mi ciarki przechodzą po plecach.
- Ale on mi pasuje do bluzki<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> M. Szczygieł, *Zrób sobie raj*, Wołowiec 2010, s. 205.

Trup. Martwy człowiek zawieszony na krzyżu. Zgorszenie i głupstwo. Tym jest krzyż dla człowieka niewierzącego. *Stultitia crucis* – „szaleństwo krzyża” – jak mówi liturgia w kolekcie na wspomnienie św. Justyna Męczennika. I właściwie dlaczego miałby być czymś innym? A jeśli piękno, to tylko estetyczne, takie pasujące do bluzki. Nic więcej. Myślę, że ta współczesna scena może nas przybliżyć do zrozumienia kontekstu Jezusowej wypowiedzi sprzed dwóch tysięcy lat. Co mogli sobie myśleć słuchacze Jezusa, gdy mówił im o krzyżu? Byli trochę jak ta czeska nastolatka. Nie wiedzieli o krzyżu tego, co my. Nie znali Jezusa ukrzyżowanego. Krzyż dla nich nie był znakiem żadnego zwycięstwa, ale hańby. Mieli świadomość, że ukrzyżowanie to kara stosowana przez Rzymian wobec niewolników, buntowników i innych, którzy nie mieli pełnych praw obywatelskich. Tak bardzo kojarzono tę karę z niewolnikami, że nazywano ich nawet „nosicielami krzyża”. Do czego więc Jezus zapraszał swoich słuchaczy? Do niewolnictwa?

„Jeśli kto chce iść za Mną, [...] niech co dnia bierze krzyż”. Zнали ten widok. Wbrew utrwalonemu na obrazach wizerunkowi na miejsce ukrzyżowania skazaniec zazwyczaj nie niósł całego krzyża, ale tylko poprzeczną belkę. Czasami była swobodnie zarzucana na ramię skazańca, czasami przywiązano ją mocnymi powrozami do rozciągniętych ramion, aby uniemożliwić ewentualną ucieczkę. Artemidor, starożytny filozof, pisał w *Senniku*: „Jeśli ktoś ma być przybity do krzyża, najpierw musi go sam zanieść”. Na miejscu kaźni wciągano skazańca wraz z belką na pionowy słup, który był wielokrotnie wykorzystywany. Rzymianie byli praktyczni. Jak wszyscy kaci. Żydzi zapewne niejednokrotnie byli świadkami ukrzyżowań. I pewno widzieli wielu skazańców niosących swoje krzyże, także swoich pobratymców. W samej Judei ukrzyżowanie było karą powszechnie stosowaną od 4 roku przed narodzinami Chrystusa. Wówczas to Warus, rzymski zarządca Syrii, po stłumieniu powstania, które wybuchło po śmierci Heroda I Wielkiego, za jednym razem ukrzyżował w rejonie Jerozolimy około dwóch tysięcy żydowskich buntowników. Być może niektórzy ze słuchaczy Jezusa widzieli to nawet na własne oczy, inni zapewne musieli o tym

słyszeć. Kara śmierci przez ukrzyżowanie wzbudzała wyjątkowy lęk i odrazę. Pobożni Żydzi pamiętali o słowach Księgi Powtórzonego Prawa, która mówi, że przeklęty jest ten, kto wisi na drzewie (Pwt 21,23; por. Ga 3,13). To wszystko mieli w swoich głowach słuchacze Jezusa, gdy wypowiadał te szokujące słowa o krzyżu, słowa, które mogły wówczas tylko odstraszyć, na pewno nie pociągać.

Krzyż, który Jezus każe wziąć, jest znakiem niewoli. Nie inaczej. „Nieszczęsny ja człowiek! Któż mnie wyzwoli od ciała?” – pytał św. Paweł (por. Rz 7,24). Od ciała to znaczy od grzechu, od siebie, od tego wszystkiego, czym jest człowieczeństwo ze swoją skażoną naturą. Kto mnie z tego wyzwoli? Jezus mówi: Idź za Mną. Idź za Mną ze swoją niewolą. Nie próbuj wyzwalać się sam. Nie próbuj sam zrzucać jarzma, które niesiesz. Ja cię wyzwolę.

Nie da się iść za Jezusem bez własnego krzyża, a więc bez siebie, bez własnych win i zniewolenia. Ten, kto chciałby iść bez krzyża, nie może być Jezusowym uczniem. Ale z drugiej strony Jezus mówi także: Nie próbuj iść ze swoją niewolą za kimś innym, kto ci obiecuje wyzwolenie.

Wędrówka z krzyżem niewoli ma sens tylko wtedy, gdy się idzie za Jezusem i za nikim innym. Historia człowieka to także historia fałszywych mesjaszów. Jedni zapraszali, by iść za nimi bez krzyża. Wmawiali człowiekowi, że sam jest wystarczająco silny i nie potrzebuje Boga. Ale czy człowiek może sam wyzwolić się od siebie? Drudzy obiecali, że to oni nas od krzyża wyzwolą. Ale czy jeden człowiek może wyzwolić drugiego człowieka? Święty Paweł w Liście do Filipian pisze o Jezusie, że „ogolił samego siebie, przyjąwszy postać sługi, stając się podobnym do ludzi” (Flp 2,7). Ale słowo *dulos*, które tłumaczymy jako sługa, oznacza najpierw niewolnika. Jezus przyjmuje postać niewolnika, a przez to staje się podobnym do ludzi. Wszyscy bowiem jesteśmy niewolnikami grzechu. A on stał się niewolnikiem dla nas. Czyż nie nazywano niewolników „nosicielami krzyża”? Człowieka może wyzwolić jedynie Bóg, który sam stał się niewolnikiem, a krzyż był tego widocznym znakiem.

Czy ci, którzy szli za Jezusem, mogli o tym wiedzieć? Nie, jeszcze nie. Przecież nie znali Jezusa ukrzyżowanego. Nie wiedzieli o wyzwoleniecej

mocy Jego krzyża. Znali tylko krzyże swojej niewoli. Ale my wiemy o krzyżu dużo więcej. I inaczej brzmią nam w uszach Jezusowe słowa. Widok skazańca niosącego belkę nas już nie przeraża. A na krzyżu nie widzimy trupa, lecz chwalebne ciało Zbawiciela. Właśnie dlatego gotowi jesteśmy pójść za Nim z własnym krzyżem. Raz jeszcze przypomnijmy słowa starożytnego filozofa: „Jeśli ktoś ma być przybity do krzyża, najpierw musi go sam zanieść”. Nikt za nas tego nie robi. I trzeba iść tam, dokąd On sam pójdzie: aż na Golgotę, na Kalwarię. Za nikim innym z krzyżem nie pójdziemy. I nie pójdziemy za Jezusem bez krzyża. Bo w jednym i w drugim przypadku to nie ma sensu. Więc tylko z krzyżem i tylko za Nim. Na uroczystość Przemienienia Pańskiego na Świętą Górę Grabarkę prawosławni pielgrzymi niosą ze sobą krzyże. I tam je zostawiają. Jakby na Golgocie. To piękny znak. Że tam, na Kalwarii, sam Pan nas z krzyży zdejmuje. Sam Pan nas z nich wyzwala.

4 WRZEŚNIA 2016

## Czas wołania kamieni?

Przybliżali się do Niego wszyscy celnicy i grzesznicy, aby Go słuchać. Na to szemrali faryzeusze i uczeni w Piśmie, mówiąc: „Ten przyjmuje grzeszników i jada z nimi”. Opowiedział im wtedy następującą przypowieść: „Któż z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną z nich, nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na pustyni i nie idzie za zgubioną, aż ją znajdzie? A gdy ją znajdzie, bierze z radością na ramiona i wraca do domu; sprasza przyjaciół i sąsiadów i mówi im: «Cieszcie się ze mną, bo znalazłem owcę, która mi zginęła». Powiadam wam: Tak samo w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia.

Albo jeśli jakaś kobieta, mając dziesięć drachm, zgubi jedną drachmę, czyż nie zapala światła, nie wymiata domu i nie szuka starannie, aż ją znajdzie? A znalazłszy ją, sprasza przyjaciółki i sąsiadki i mówi: «Cieszcie się ze mną, bo znalazłam drachmę, którą zgubiłam». Tak samo, powiadam wam, radość nastaje wśród aniołów Bożych z powodu jednego grzesznika, który się nawraca” (Łk 15,1–10).

Żeby dobrze zrozumieć Jezusowe przypowieści o zagubionej owcy i zgubionej drachmie (por. Łk 15,1–10), trzeba dobrze wczytać się w kontekst wydarzenia. Jezus opowiada te dwie przypowieści (oraz trzecią, którą nazywamy przypowieścią o synu marnotrawnym; por. Łk 15,11–32) jako

reakcję na zarzuty, jakie pojawiają się ze strony faryzeuszów i uczonych w Piśmie. Jezus zapewne usłyszał komentarze, które wygłaszali na Jego temat: „Ten przyjmuje grzeszników i jada z nimi” (Łk 15,2). Nie był to zarzut bezpodstawny. Tak rzeczywiście było. Przyjął na przykład zaproszenie od Lewiego, którego powołał, a w jego domu była spora liczba celników. To nie mogło się podobać. „Dlaczego jecie i pijecie z celnikami i grzesznikami?” (Łk 5,30) – mówili Mu faryzeusze i uczeni w Piśmie, gdy biesiadował z Lewim i jego kolegami. A zasiąść z kimś do stołu i ucztować razem to o wiele więcej, niż podać rękę.

Ksiądz Franciszek Mackiewicz w komentarzu do Ewangelii wg św. Łukasza pisze: „Wspólnota stołu jest okazją do bardzo bliskiego spotkania z drugim człowiekiem, jest też najlepszym wyrazem życzliwości wobec niego. Z tej przyczyny w oczach duchowych przywódców narodu Jezus uchodzi za wywrotowca, za nauczyciela, który nie tylko lekceważy dobre obyczaje, ale też burzy porządek społeczny”<sup>1</sup>. To się nie mogło podobać. Dla faryzeuszów było przecież czymś nie do pomyślenia, by wspólnie z celnikiem zasiąść do stołu. Swoimi przypowieściami Jezus wyjaśnia im, dlaczego tak robi. I to do nich kieruje swoje słowa.

Obie przypowieści mają to samo przesłanie: Bóg jest jak pasterz, który wyrusza na poszukiwanie zagubionej owcy, i jak kobieta, która robi wszystko, by odnaleźć zgubioną drachmę. Owca sama nie powróci, drachma się sama nie znajdzie. I w jednym, i w drugim przypadku trzeba podjąć wiele działań. Pasterz zostawia resztę stada i wyrusza na poszukiwanie tej jednej owcy, którą na pewno nie jest łatwo odnaleźć w palestyńskim półpustynnym i górzystym krajobrazie. Kobieta otwiera drzwi, by wpadło do mieszkania trochę światła, a potem wymiata całą izbę, by znaleźć drachmę, równoważność zapłaty za dniówkę.

Obie przypowieści kończą się tak samo: pasterz i kobieta wyprawiają ucztę radości, której nie chcą zatrzymać dla siebie, ale dzielą ją z sąsiadami i przyjaciółmi. Bóg nie może nie cieszyć się z odnalezienia

<sup>1</sup> F. Mackiewicz, *Nowy komentarz biblijny. Ewangelia wg św. Łukasza*, cz. II: Rozdziały 12–24, Częstochowa 2012, s. 151.



grzesznika i zaprasza nas do dzielenia się Jego radością. Ale jest w tych historiach – tak by się przynajmniej zdawało – pewien paradoks. Z jednej strony to Bóg wychodzi, by szukać. Z drugiej jednak – Jezus mówi o nawróceniu grzesznika. To jednak tylko pozorny paradoks. Nie ma nawrócenia grzesznika bez uprzedniego poszukiwania ze strony Boga. Nikt nie może nawrócić się sam z siebie, z własnej woli, z własnego wyłączonego działania. To Bóg inicjuje nasze nawrócenie.

Miał rację autor Księgi Lamentacji, który pisał w imieniu ludu: „Nawróć nas, Panie, do Ciebie wrócimy” (Lm 5,21). To właśnie się działo, gdy przychodzili do Jezusa grzesznicy i celnicy. Szli, bo byli przez Niego pociągnięci. Raz jeszcze cytuję komentarza: „Łukasz w wielu miejscach Ewangelii pisze, że Jezus okazywał sympatię dla celników i grzeszników [...]. Takie Jego nastawienie sprawiało, że owi ludzie, spychani przez innych na margines społeczny, nabywali odwagi w obliczu Jezusa i chętnie przebywali w Jego towarzystwie. Łukasz podkreśla [...], że oni przychodzili do Jezusa, aby Go słuchać. Przyjazny stosunek Nauczyciela do nich sprawia, że również oni otwierają swe serce na słowo Boże”<sup>2</sup>.

To, co ich do Niego przyciąga, to Jego przyjazne nastawienie, chciałoby się powiedzieć – bezwarunkowa miłość, którą im okazuje. Musiał być dla nich atrakcyjny, co dosłownie znaczy – pociągający. Przychodzą Go słuchać, bo Mu ufają. Tę prawdę Jezus zilustruje w swojej trzeciej przypowieści o miłosierdziu, w historii o synu marnotrawnym. Bóg jest jak ojciec, który wybiega naprzeciwko powracającego syna, a syn powraca, ponieważ pewność ojcowskiej miłości – chce się do niego zwrócić słowem „ojcze” – jest większa niż lęk z powodu ewentualnej kary.

Kiedy przygotowywałem się do dzisiejszego kazania, zjrzałem do starego tłumaczenia ks. Jakuba Wujka. Tam jest trochę inna wersja niż ta, do której się już przyzwyczailiśmy. Tam Jezus nie mówi o radości z nawracającego się grzesznika, ale o radości z grzesznika pokutującego. Ksiądz Wujek poszedł zapewne za intuicją św. Hieronima, który

<sup>2</sup> Tamże, s. 155.

w swoim łacińskim tłumaczeniu Nowego Testamentu grecki czasownik *metanoete* konsekwentnie tłumaczył jako *poeniteri*, czyli pokutować.

U ks. Wujka Jezus nie mówi: „Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię”, lecz: „Pokutujcie i wierzcie w Ewangelię”. Ale pokuta i nawrócenie to nie to samo. Z czego Bóg się cieszy? Z pokuty czy z nawrócenia? Nawrócenie jest powrotem do Boga, który sam wychodzi naprzeciw. Pokuta jest zgoła czymś innym. Jest czynem, za pomocą którego człowiek chce „wykupić” swój grzech. We wspomnianym komentarzu przeczytałem, że w nauczaniu żydowskich rabinów „Bóg czekał na grzesznika, aż ten postem i wieloma uczynkami pokutnymi zmaże swój występki”<sup>3</sup>. Czy głosili tak tylko rabini? Czy wielu z nas, kaznodziejów, wciąż tak nie naucza? Że Bóg odwróci się do nas dopiero wtedy, gdy zapłacimy za swój grzech pokutą? To nie my stawiamy pierwszy krok w stronę Boga, ale to On stawia pierwszy krok w kierunku człowieka i na różne sposoby usiłuje sprowadzić go na drogę powrotną. I – jak podkreśla papież Franciszek – „Jego nigdy nie męczy przebaczenie”<sup>4</sup>.

Wierzę w Boga atrakcyjnego. Tym, co mnie do Niego przyciąga, jest Jego miłosierdzie, które nie pozwala Mu beczynn timer na mnie czekać. I niczym celnicy przychodzę, aby Go słuchać. Może niektórzy na to nawet szemrają. I powtarzam za św. Pawłem: „Chrystus Jezus przyszedł na świat zbawić grzeszników, spośród których ja jestem pierwszy” (1 Tm 1,15).

I wierzę w Kościół atrakcyjny. W Kościół przyciągający do siebie miłosierdziem, które nie pozwala mu beczynn timer czekać na grzesznika, ale każe mu po niego wychodzić, a przecież wszyscy jesteśmy grzesznikami: wierzący i niewierzący (nawet jeśli oni tak o sobie nie mówią). André Comte-Sponville w *Duchowości ateistycznej* pisał, że woli swoją niewiarę z czekającą go po śmierci nicością niż wiarę z ryzykiem wiecznego piekła. Piekło to nie jest pociągająca wizja. I choć należy

<sup>3</sup> Tamże, s. 158.

<sup>4</sup> Franciszek, *Orędziem Jezusa jest miłosierdzie*, 17.03.2013, Msza św. w kościele pw. św. Anny w Watykanie, „L'Osservatore Romano” 2013, n. 5.

do chrześcijańskiego *credo*, nie od niego zaczyna się głoszenie Ewangelii. Nie dlatego „przybliżali się do Niego wszyscy celnicy i grzesznicy, aby Go słuchać” (Łk 15,1), ale zapewne dlatego, że miał zwyczaj spoglądać na ludzi „z miłością”, a Jego spojrzenie sięgało poza grzech, który sprawia, że zasługujemy na piekło.

Wczoraj byłem w Lwówku Śląskim. Nad jednym z okien ratusza zobaczyłem wykuty w kamieniu napis: *Misericordia domini plena est terra*. To cytat z Psalmu 33: „Pełna jest ziemia miłosierdzia Pańskiego” (por. Ps 33,5). I przypomniałem sobie słowa Naszego Pana: „Powiadam wam: Jeśli ci umilkną, kamienie wołać będą” (Łk 19,40). Czyżby już nadszedł czas wołania kamieni? Te słowa mogą być także o nas. O naszym milczeniu. Niestety.

11 WRZEŚNIA 2016

## Spojrzenie w górę

I nikt nie wstąpił do nieba, oprócz Tego, który z nieba zstąpił – Syna Człowieczego.

A jak Mojżesz wywyższył węża na pustyni, tak potrzeba, by wywyższono Syna Człowieczego, aby każdy, kto w Niego wierzy, miał życie wieczne. Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne. Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony (J 3,13–17).

Przed kilkoma dniami mówiłem, że wierzę w Boga atrakcyjnego i w atrakcyjny Kościół<sup>1</sup>. W Boga, który przyciąga do siebie gotowością wyjścia na poszukiwanie grzesznika. Dzisiaj święto Podwyższenia Krzyża Świętego. To właśnie tam, na krzyżu, najpełniej objawia się atrakcyjność Boga.

Kościół dzisiaj nie czyta Ewangelii o ukrzyżowaniu, ale Jezusową zapowiedź o Jego wywyższeniu, które będzie konieczne, „aby każdy, kto w Niego wierzy, miał życie wieczne” (J 3,15). W tej rozmowie z Nikodemem jeszcze nic nie ma o krzyżu. Zapowiedź krzyża jest ukryta w aluzji do wywyższenia węża na pustyni przez Mojżesza. Zgodnie

<sup>1</sup> Zobacz homilia z 11.09.2016.

z poleceniem Boga Mojżesz sporządził węża miedzianego i umieścił go na wysokim palu, a „jeśli kogoś wąż ukąsił, a ukąszony spojrzał na węża miedzianego, zostawał przy życiu” (Lb 21,9). To było życiodajne, ocalające spojrzenie. O potrzebie wywyższenia Jezus wspomni raz jeszcze. Już po wjeździe do Jerozolimy, przemawiając do tłumu, powie: „A Ja, gdy zostanę nad ziemię wywyższony, przyciągnę wszystkich do siebie” (J 12,32).

Święty Hieronim w Wulgacie frazę tę przetłumaczył następująco: *Et ego si exaltus fuero a terra omnia traham ad me ipsum*. Jak wiadomo, łacińskie *traho*, -ere, *traxi*, *tractum* to polskie „ciągnę”, stąd takie słowa jak „trakt”, „traktor” i – właśnie! – „atrakcyjność”, czyli „pociąganie”. Polski wyraz „atrakcyjny” (podobnie zresztą jak angielski *attractive*) pochodzi z łacińskiego *attractio*, a ten z kolei od czasownika *adtrahere*, czyli „pociągać, skłaniać, przekonywać do czegoś, spowodować coś”. W języku polskim słowo „pociągający” nabrało znaczenia przymiotnikowego i rozumiane jest najczęściej jako „powabny, miły, przyjemny, zniewalający”. Pierwotnie jednak to imiesłów przymiotnikowy czynny od czasownika „pociągać”. Pociągający to ten, który pociąga, ale czy to koniecznie ten, kto jest pociągający, ponieważ się podoba? Czy można pociągać, nie będąc jednocześnie – w sensie estetycznym – pociągającym?

Powiedzmy sobie szczerze, umarłe, zniszczone, skatowane ciało Ukrzyżowanego pociągające nie jest, zwłaszcza gdy na jakimś wizerunku jest wyobrażone bardzo naturalistycznie: krew, rany, brud. Na pytanie o atrakcyjność Jezusa na krzyżu odpowiem – idąc śladem ks. Jerzego Szymika – słowami proroka Izajasza, które przecież w Wielki Piątek odnosimy do Jezusa: „Nie miał On wdzięku ani też blasku, aby [chciało] na Niego popatrzeć, ani wyglądu, by się nam podobał” (Iz 53,2). Ale jednocześnie – przypomina Szymik – do Jezusa odnosimy też inną frazę: „Najpiękniejszy jesteś spośród synów ludzkich, wdzięk się rozlał na twoich wargach” (por. Ps 45,3). „Jezus jest więc najpiękniejszy i zarazem bez blasku. Jednocześnie. Jak to rozumieć? Skąd ta sprzeczność? Najpiękniejszy z ludzi staje się odpychający, «nieestetyczny»? Chrystus

ma wdzięk czy nie ma wdzięk? Jest w Nim piękno czy szpetota? I czy one mogą w kimś mieszkać razem???” – pyta śląski teolog<sup>2</sup>.

Nie, nie podobał się, a jednak pociągał. „Po Chrystusie» na nowo trzeba zapytać, czym jest piękno, trzeba go doświadczyć w nowy sposób – znacznie głębszy” – postuluje Szymik. Teologicznie rozumiane „pociąganie” wcale nie jest tym samym co estetyczne „podobanie się”. Atrakcyjność Jezusa jest natury teologicznej, a nie estetycznej, jest atrakcyjnością wewnętrzną, a nie zewnętrzną, ponieważ akurat tutaj to, co wizualne, bardziej odpycha, niż przyciąga. Szymik dopowiada: „dopiero Jego męka i śmierć dotykają jądra tej kwestii: chodzi w niej o miłość, która jest istotą nowej, chrześcijańskiej estetyki i kluczem do jej zrozumienia. Bo miłość jest wolna od siebie i narcyzmu: godzi się na oszpeccenie, na utratę piękna i właśnie to jest w niej najpiękniejsze”. Bo miłość pociąga, choć w danym momencie wygląda tak bardzo niepociągająco.

Malarskie wizje ukrzyżowania ukazują najczęściej Jezusa z głową przechyloną w stronę Jego lewego ramienia. Ale są też takie, gdzie Jezus ma głowę wzniesioną do góry, jak na obrazie *Chrystus ukrzyżowany* Rubensa. Będąc ostatnio w Lwówku Śląskim w kościele pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, natrafiłem na podobny krzyż. Jezus ma głowę wzniesioną ku górze, ku Ojcu. Być może to ten moment, gdy Jezus woła „Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mego” (Łk 23,46). Ale mnie to wyobrażenie skojarzyło się ze słowami papieża Franciszka, który (podobnie jak bp Grzegorz Ryś) mówił o wzroku Jezusa w kierunku grzeszników. Tłum patrzył na Zacheusza „z góry”, Jezus „spojrzał w górę na niego”. „Spojrzenie Jezusa wykracza poza wady i widzi osobę – mówił Franciszek. – Nie zatrzymuje się na złu z przeszłości, ale przewiduje dobro w przyszłości. Nie godzi się na zamknięcia, ale poszukuje drogi jedności i komunii. Pośród wszystkich nie zatrzymuje się na pozorach, ale patrzy w serce”<sup>3</sup>.

<sup>2</sup> J. Szymik, *Cantare amantis est. Piękno, miłość, muzyka*, Wykład inauguracyjny wygłoszony na Akademii Muzycznej w Katowicach, Katowice, 14.10.2014 r.

<sup>3</sup> Franciszek, Homilia wygłoszona podczas Mszy św. posłania, Kraków, 31.07.2016 r.

I tak sobie myślę, że może w tym momencie, gdy sam był „wywyższony ponad ziemię” (co ginie w polskim przekładzie), Jezus zdolny jest jeszcze – jak nikt inny – popatrzeć na nas „w górę”, a nie „z góry”. I może to jest właśnie ów szczyt miłości, ów najbardziej atrakcyjny moment Boga? Ukąszonym Mojżesz kazał spoglądać na węża, by móc zostać ocalonym. My mamy coś więcej niż miedzianego węża na pustyni. Spoglądamy na wywyższonego na krzyżu Jezusa. I tak bardzo chciałbym dzisiaj się nauczyć nie zatrzymywać na Nim swojego wzroku, nie dać się ani sparaliżować fizycznej brzydocie ukrzyżowanego Ciała, ani uwieść pozornemu pięknu naszych tego Ciała wyobrażeń, lecz złączyć moje spojrzenie z Jego. I razem z Nim spojrzeć „w górę” na wszystkich tak, jak On patrzy na nas. Przecież wszystkich pociągnie do siebie. Bez wyjątku.

14 WRZEŚNIA 2016

## Dobre rzeczy na małej przestrzeni

Powiedział też do uczniów: „Pewien bogaty człowiek miał rządcę, którego oskarżono przed nim, że trwoni jego majątek. Przywołał więc go do siebie i rzekł mu: «Cóż to słyszę o tobie? Zdad sprawę z twego zarządzania, bo już nie będziesz mógł zarządzać». Na to rządcza rzekł sam do siebie: «Co ja pocznę, skoro mój pan odbiera mi zarządzanie? Kopać nie mogę, żebrać się wstydzę. Wiem już, co uczynię, żeby mnie ludzie przyjęli do swoich domów, gdy będę odsunięty od zarządzania». Przywołał więc do siebie każdego z dłużników swego pana i zapytał pierwszego: «Ile jesteś winien mojemu panu?» Ten odpowiedział: «Sto beczek oliwy». On mu rzekł: «Weź swoje zobowiązanie, siadaj prędko i napisz: pięćdziesiąt». Następnie pytał drugiego: «A ty ile jesteś winien?» Ten odrzekł: «Sto korców pszenicy». Mówi mu: «Weź swoje zobowiązanie i napisz: osiemdziesiąt». Pan pochwalił nieuczciwego rządcę, że roztropnie postąpił. Bo synowie tego świata roztropniejsi są w stosunkach z podobnymi sobie ludźmi niż synowie światłości.

Ja też wam powiadam: Pozyskujcie sobie przyjaciół niegodziwą mamoną, aby gdy [wszystko] się skończy, przyjęto was do wiecznych przybytków.

Kto w bardzo małej sprawie jest wierny, ten i w wielkiej będzie wierny; a kto w bardzo małej sprawie jest nieuczciwy, ten i w wielkiej nieuczciwy będzie. Jeśli więc w zarządzaniu niegodziwą mamoną nie okazaliście się wierni, to kto wam prawdziwe dobro powierzy? Jeśli w zarządzaniu cudzym dobrem nie okazaliście się wierni, to któż wam da wasze?



Żaden sługa nie może dwom panom służyć. Gdyż albo jednego będzie nienawidził, a drugiego miłował; albo z tamtym będzie trzymał, a tym wzgardzi. Nie możecie służyć Bogu i Mamonie!” (Łk 16,1–13).

O stopniu trudności w interpretacji przypowieści z dzisiejszej Ewangelii może świadczyć fakt, że tytułowana jest ona bardzo różnie. Biblia Tysiąclecia nazywa ją przypowieścią „o nieuczciwym rządcy”. Ksiądz Edward Szymanek w wykładzie Nowego Testamentu pisze „o roztroptym rządcy”, francuska Biblia Jerozolimska nazywa ją przypowieścią „o niewiernym rządcy”. W jednym z tłumaczeń włoskich znalazłem, że ten rządcą był *astuto*, to znaczy „chytry, sprytny, przebiegły, cwany, podstępny”. Jak widać, ten sam czyn jest bardzo różnie oceniany: od negatywnej nieuczciwości przez ambiwalentną sprytność po pozytywną roztropność. Więc jak? Dobrze zrobił czy źle? W końcu pochwalił go jego pan. Na pewno rządcą był – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – obrotny.

Kiedy czytałem tę przypowieść, przypomniałem sobie stary felieton z „Rzeczpospolitej”, który wciąż trzymam w teczce z wycinkami. Otóż Michał Radgowski zastanawiał się, jak funkcjonuje dzisiaj w polszczyźnie przymiotnik „dobry”: „Najogólniej można powiedzieć, że traci on swe znaczenie etyczne, a poszerza sens sprawnościowy. Bardzo trudno powiedzieć, kiedy się to stało, ale chyba w naszym stuleciu nastawionym bardziej na perfekcję techniczną niż na doskonalenie moralne”. A więc „dobry” to już nie tyle uczciwy, przyjazny, łagodny, przyjacielski, serdeczny, prawy, miłosierny czy kochający, ale po prostu sprawny. Felietonista „Rzeczpospolitej” pisze dalej tak: „Określenia takie jak «dobry» hydraulik, elektryk, zegarmistrz, kierowca mówią nam o czysto zawodowych cechach tych ludzi, o tym, że są oni należycie wyuczeni i wykwalifikowani: jest rzeczą drugorzędną, czy wzruszają się naszymi perypetiami z centralnym ogrzewaniem i ciekącymi kranami. Gdybyśmy mieli do wyboru usługi kierowcy «o czułym sercu», ale o bardzo ograniczonych umiejętnościach i innego, moralnego potwora znęcającego się w domu nad żoną i dziećmi

(lecz biegłego w sztuce prowadzenia auta), najpewniej skorzystalibyśmy z tego drugiego”<sup>1</sup>.

To prawda. Kierowcy taksówki nikt nie pyta o świadectwo moralności. Hydraulika, elektryka, sprzedawcy czy nawet urzędnika – też nie. Nie dociekamy, czy jest dobry, to znaczy, czy dobrze się prowadzi. Podobnie było w dzisiejszej przypowieści. Pan pochwalił nieuczciwego rządcę nie dlatego, że był nieuczciwy, ale dlatego, że był sprawny, dobry w tym, co robił. Wyszedł z opresji, w której się znalazł, choć niewiele to miało wspólnego z moralnością. Na oszustwie zbudował na nowo swoją pozycję. Ale właśnie tacy są „synowie tego świata [...] w stosunkach z podobnymi sobie ludźmi” (Łk 16,8) – jak zauważył sam Jezus.

„Pewne rozbieżności – pisze dalej Radgowski – mogą się pojawić przy rozważaniu określenia «dobry polityk»; ma ono czy też nie jakiś odcień etyczny? Moim zdaniem – nie; dobry polityk to taki, który realizuje założone cele, utrzymuje się przy władzy, potrafi skupić wokół siebie elektorat itd.; marzenia o tym, że ma być pocziwy, przyciskać nas do serca i otaczać opieką, są wygórowane i przesadne”.

I tu się zaczyna problem. Trudno mi się zgodzić z felietonistą. Czy rzeczywiście dobry polityk to to samo co sprawny polityk? Czy od polityka nie oczekujemy jednak, by był nie tylko sprawny i skuteczny, ale także dobry, to znaczy szlachetny, uczciwy, prawy? Czy nie mamy prawa żądać, by był wierny zarówno w rzeczy drobnej, jak i w wielkiej? Nie tylko wtedy, gdy chodzi o jakąś pospolitą rzecz, ale także wtedy, gdy chodzi o Rzeczpospolitą?

Wróćmy jednak do przypowieści. Jezus oczywiście nie pochwała postępowania bohatera swego opowiadania. Zwolniony z pracy rządcą, który boi się bezrobocia, gdyż „kopać nie może, a żebrać się wstydzi” (por. Łk 16,3), dopuszcza się oszustwa, umarza zaległe długi swego pana, by zyskać nowych przyjaciół. Co ciekawe, gospodarz go za to nie gani, ale chwali go za takie postępowanie, tak jakby chciał mu powiedzieć:

<sup>1</sup> M. Radgowski, *Przysypianie*, „Rzeczpospolita”, 6.01.1996 r.

„Widzę, że sprytny jesteś, dałeś sobie radę, wybrnąłeś z opresji”. Jezus przytacza ten przykład, by pokazać, jak bardzo „synowie tego świata” potrafią być przebiegli i skuteczni w osiągnięciu celów czy w zdobywaniu przyjaciół, nawet za cenę oszustwa.

Pytanie, które nam Jezus pozostawia, to pytanie o sprawność „synów światła” w zdobywaniu królestwa niebieskiego. I nie chodzi tutaj, abyśmy się wzorowali na tych metodach „synów tego świata”, które bywają sprytne i skuteczne, ale jednocześnie moralnie wątpliwe. Chodzi o to, abyśmy się wzorowali na ich determinacji, pragnieniu, chęci. Na przykład na tych czterech sportowcach z paraolimpiady, którzy w tym roku na 1500 metrów pobiegli szybciej niż złoty medalista z tzw. normalnej olimpiady. A wszyscy czterej to niewidomi i niedowidzący. Kto zna osoby niewidome i niedowidzące, wie dobrze, jak trudno bywa postawić mały krok, a coś dopiero biec przed siebie.

Katarzyna Nosowska z zespołu Hey w wywiadzie z okazji swego 40-lecia mówiła: „Jestem idealistką. Pod tym względem w podejściu do życia jestem dzieckiem. Uważam, że zamiast zajmować się zmienianiem świata, powinniśmy robić zupełnie inne rzeczy. Świata w swoim ogromie nie da się zmienić. Jedyne, co możemy zrobić, to pracować nad naszą codziennością. Mogę wychować syna tak, żeby nie był potworem emocjonalnym. Żeby szanował kobiety. Żeby był dobrym człowiekiem. Mogę starać się, żeby mój partner nie był rozczarowany związkiem. Robić dobre rzeczy na naszej małej przestrzeni. Gdyby to było zwielokrotnione, świat byłby zupełnie inny. Uważam, że to ma sens”<sup>2</sup>.

Tak, mierzyć trzeba wysoko, ale to właśnie od małego kroku wszystko się zaczyna. Jezus mówi dzisiaj: „Kto w bardzo małej sprawie jest wierny, ten i w wielkiej będzie wierny” (Łk 16,10). Trzeba zacząć od rzeczy małych, „dawać siebie innym, eliminując dystanse, pozostając

<sup>2</sup> K. Nosowska, [wywiad:] *Świat według Nosowskiej. Dla siebie śpiewać nie umiem*, „Gazeta Wyborcza”, 30.09.2011 r.

w małości i konkretnie wypełniając codzienność – [bo] to subtelnie Boskie” – jak wzywał Franciszek z wałów jasnogórskich. „Robić dobre rzeczy na małej przestrzeni”. To prosty program. I dostępny dla wszystkich: hydraulików i polityków. Dla wszystkich bez różnicy.

18 WRZEŚNIA 2016

## Słudzy i służący

Apostołowie prosili Pana: „Dodaj nam wiary”. Pan rzekł: „Gdybyście mieli wiarę jak ziarnko gorczycy, powiedzielibyście tej morwie: «Wyrwij się z korzeniem i przesadź się w morze», a byłaby wam posłuszna.

Kto z was, mając sługę, który orze lub pasie, powie mu, gdy on wróci z pola: «Pójdź zaraz i siądź do stołu»? Czy nie powie mu raczej: «Przygotuj mi wieczerzę, przepasz się i usługuj mi, aż zjem i napiję się, a potem ty będziesz jadł i pił»? Czy okazuje wdzięczność słudze za to, że wykonał to, co mu polecono? Tak i wy, gdy uczynicie wszystko, co wam polecono, mówcie: «Słudzy nieużyteczni jesteśmy; wykonaliśmy to, co powinniśmy wykonać» (Łk 17,5–10).

Przed kilkoma tygodniami czytaliśmy inną przypowieść o gospodarzu i o sługach (por. Łk 12,35–40). Bohater tamtej przypowieści – wbrew uznanym zasadom – w środku nocy, po powrocie do domu przepasywał się, to znaczy przebierał się w strój służącego, i sam obsługiwał swoje sługi. Bohater dzisiejszej przypowieści postępuje już dużo bardziej logicznie i zgodnie z regułami.

Kiedy gospodarz zmęczony wraca z pola do domu, oczekuje, że jego sługa się nim zajmie, że będzie mu usługiwać. Gospodarz powie: „Przygotuj mi wieczerzę, przepasz się i usługuj mi, aż zjem i napiję się”. I nic w tym przecież dziwnego. Żydzi nie mieli wprawdzie niewolników

w takim znaczeniu, jak to było u Rzymian, ale słudzy należeli do gospodarza, mieszkali w jego domu i pozostawiali nieustannie do jego dyspozycji. Jak zauważa ks. Franciszek Gryglewicz, *dulos* – bo takie greckie słowo pojawia się właśnie w tej przypowieści na określenie sługi – był tym niewolnikiem, który nic nie posiadał, a jego egzystencja zależała od jego pana. Stąd to retoryczne pytanie w przypowieści Jezusa: „Czy [pan] okazuje wdzięczność słudze za to, że wykonał to, co mu polecono?” (Łk 17,9). Nie, nie dziękuje. Nie znaczy to, że pan był obojętny na los swoich sług. Utrzymywał ich, karmił, przyjmował pod wspólny dach. Tak jest i w dzisiejszej przypowieści: gdy gospodarz skończy wieszczę, przyjdzie kolej na sługę.

Czytając tę przypowieść, przypomniałem sobie o starszym bracie z przypowieści o synu marnotrawnym (por. Łk 15,11–32). Kiedy młodszy syn powraca do domu, a ojciec wyprawia mu ucztę, starszy nie kryje swego rozgoryczenia. Wypomina ojcu, że jemu – mimo wierności, wszak nigdy nie przekroczył ojcowskiego przykazania – nigdy nie dał koźlęcia, aby się zabawił z przyjaciółmi. „Nie może mu się mieścić w głowie – komentuje Benedykt XVI – że temu utracjuszowi [...] teraz bez okresu próby i pokuty od razu urządza się wspaniałe święto. Sprzeciwia się to jego poczuciu sprawiedliwości. Jego wypełnione pracą życie wydaje się bez znaczenia w zestawieniu z brudną przeszłością drugiego”<sup>1</sup>. Starszy brat szybko dokonuje porównania między swoją postawą a postawą młodszego brata oraz między nagrodą, jaką jeden i drugi otrzymał: z jednej strony posłuszeństwo, a jednocześnie nigdy żadnego koźlęcia, by się zabawić z przyjaciółmi; z drugiej zaś strony – roztrwoniony majątek i utuczone cięło niejako „w nagrodę”.

„Tyle lat ci służę” – mówi więc do ojca z wyrzutem. Używając czasownika *douleuō*, mówi o sobie: „służę jak niewolnik”. Wypowiadając te słowa, starszy brat definiuje swoją postawę wobec ojca. Jego relacja do ojca, do którego nigdy nie zwraca się słowem „ojcze” (młodszy aż

<sup>1</sup> J. Ratzinger / Benedykt XVI, *Jezus z Nazaretu*, cz. 1: *Od chrztu w Jordanie do Przemienienia*, tłum. W. Szymona, Kraków 2007, s. 179.

pięć razy powie „ojcze”), jest relacją, jaką wobec pana ma sługa czy niewolnik, a nie relacją, jaką syn winien mieć wobec ojca. Czym innym jest być niewolnikiem, a czym innym synem. Starszy brat czuł się kimś, kto służy. Nie czuł się synem, lecz niewolnikiem. Tak jakby nigdy nie miał przekonania, że jako syn ma udział w dobrach ojca, lecz czekał, aż mu ojciec zapłaci koźlęciem za służbę.

Czasami mówimy o kimś, że ma mentalność niewolniczą. Jak pisze Jacek Salij OP, mentalność niewolnicza to „odmowa bycia wolnym”: „Nieraz przybiera ona postać odrzucenia samej nawet tęsknoty za wolnością. W warunkach niewoli mentalność niewolnicza jest sposobem przystosowania się do stanu poniżenia, a zarazem wyrazem utraty nadziei na uzyskanie należnych człowiekowi warunków życia”<sup>2</sup>. Czy starszy syn miał mentalność niewolniczą? Myślę, że trochę tak. Bał się wolności, której z kolei młodszy brat pozwolił się zupełnie pochłonąć. Ale na pewno starszy brat miał mentalność służącego. Ta mentalność ujawniła się właśnie w tym momencie, gdy upomniał się o nagrodę za służbę. Czyżby służył ojcu nie dlatego, że wynikało to z synowskiej powinności, a tylko dlatego, że spodziewał się za to nagrody?

Obserwując style wychowania, jakie panują w niektórych domach, myślę, że taka postawa jest możliwa. Wychowanie dziecka oparte na złe rozumianym systemie kar i nagród, płacenie mu za sprzątanie pokoju i za dobre stopnie – i nie chodzi o spontaniczną nagrodę, ale o obowiązującą w domu taryfę – prowadzi wprost do wykształcenia się mentalności służącego, który dokładnie wie, co mu się opłaca. Skąd taka postawa wzięła się u starszego brata z przypowieści – nie wiem. Ojciec zapewne wychowywał obu synów jednakowo. Na pewno jednak więcej było w tej postawie kalkulacji niż miłości. I to właśnie ta kalkulacja przyprawiła go o frustrację.

Nie, Bóg nie oczekuje od nas postawy niewolnika i służącego, który wciąż uzależniony jest od łaski i humoru swojego Pana, postawy kogoś

<sup>2</sup> J. Salij, *Dwa opisy mentalności niewolniczej*, <http://mateusz.pl/czytelnia/js-mentalnos. htm>.

rozpiętego między wizją nagrody a lękiem przed karą. Z tej niewoli zostaliśmy już wykupieni „nie czymś przemijającym, srebrem lub złotem, ale drogocenną krwią Chrystusa”. Zamiast tego oczekuje od nas postawy sługi, a to w moim przekonaniu nie to samo.

Jezus przedstawia definicję sługi w słowach z dzisiejszej przypowieści: „Słudzy nieużyteczni jesteście; wykonaliśmy to, co powinniśmy wykonać”. Być sługą to znaczy spełniać swoją powinność, wykonywać to, co należy do chrześcijańskiego powołania. Być sługą to żyć zgodnie z chrztem. Być posłusznym temu, kim się jest. W tym znaczeniu sługą może być każdy: ojciec i syn, mąż i matka, ksiądz i minister, sprzątaczką i prezydent, zakonnica i uczeń. Być sługą to realizować swoje powołanie, nie oczekując za to koźlęcia. Realizować je dobrze nie dla wizji nagrody i nie z lęku przed karą, a tylko dlatego, że to jest naszą powinnością sługi. Żyć, biorąc przykład z Jezusa, który „istniejąc w postaci Bożej, nie skorzystał ze sposobności, aby na równi być z Bogiem, lecz ogołocił samego siebie, przyjąwszy postać sługi” (Flp 2,6–7) – a przez to właśnie wypełnił swoje posłannictwo.

O takich to Pan mówi: „sługa dobry i wierny” (Mt 25,23). I takim Pan składa obietnicę przez proroka: „a sprawiedliwy żyć będzie dzięki swej wierności” (Ha 2,4).



## Bóg po naszej stronie

Opowiadał im też przypowieść o tym, że zawsze powinni się modlić i nie ustawać: „W pewnym mieście żył sędzia, który Boga się nie bał i nie liczył się z ludźmi. W tym samym mieście żyła wdowa, która przychodziła do niego z prośbą: «Obroń mnie przed moim przeciwnikiem!» Przez pewien czas nie chciał; lecz potem rzekł do siebie: «Chociaż Boga się nie boję ani z ludźmi się nie liczę, to jednak, ponieważ naprzykrza mi się ta wdowa, wezmę ją w obronę, żeby nie nachodziła mnie bez końca i nie zadręczała mnie»”.

I Pan dodał: „Słuchajcie, co mówi ten niesprawiedliwy sędzia. A Bóg, czyż nie weźmie w obronę swoich wybranych, którzy dniem i nocą wołają do Niego, i czy będzie zwlekał w ich sprawie? Powiadam wam, że prędko weźmie ich w obronę. Czy jednak Syn Człowieczy znajdzie wiarę na ziemi, gdy przyjdzie?” (Łk 18,1–8).

Właściwie to należałoby dzisiaj wygłosić homilię o skuteczności wytrwałej modlitwy. Tak przecież sugeruje i pierwsze czytanie (por. Wj 17,8–13), i Ewangelia (Łk 18,1–8), wskazując na przykład Mojżesza i wdowy. Ten pierwszy dzięki wytrwałej modlitwie wygrał z Amalekitami. Wdowa natomiast dzięki swej uporczywości, a nawet naprzykrzaniu się, została wzięta w obronę przez sędziego, i to niesprawiedliwego! Te dwa obrazy zostawia nam dzisiaj Kościół jako wzory uporczywej, a w konsekwencji skutecznej modlitwy.

Wielu z nas ma doświadczenia, które są bliskie tym dwóm biblijnym obrazom. Wielu z nas może podać przykłady z własnego, a może i cudzego życia, gdy wytrwała modlitwa dała oczekiwane rezultaty. Wielu z nas może powiedzieć, że Pan nie zwlekał w ich sprawie. Wielu jednak z nas – niestety – mogłoby także podać przykłady przeciwnie. Niejednokrotnie podnosiliśmy ręce jak Mojżesz, prosząc jednocześnie o wsparcie swych najbliższych, jakiegoś Aarona i jakiegoś Chura, a mimo to zostaliśmy pokonani przez różnych współczesnych Amalekitów, przychodzących pod postacią jakiegoś nieszczęścia, choroby, utraty pracy, nieudanego egzaminu, zdrady kogoś bliskiego czy jakiegokolwiek innej życiowej przegranej. Wielu z nas naprzykrzało się Bogu „dnem i nocą” i – inaczej niż wdowa z przypowieści – wcale nie poczuło się wziętym w obronę. Doświadczenie przeciwko doświadczeniu. Świadection przeciwko świadectwu. Przykład przeciwko przykładowi. I żadnego z nich zakwestionować się nie da.

Aby wyjść z tego impasu, proponuję zejść głębiej do Ewangelii. Oto do sędziego przychodzi wdowa z prośbą, aby ją wziął w obronę przed jej przeciwnikiem w sądzie. Użyte tutaj greckie słowo *antidikos* wskazuje na kogoś, z kim miała spór sądowy. Być może był to ktoś, kto ją niesłusznie oskarżył, skoro szukała ratunku w sądzie. To samo greckie słowo pojawia się w Pierwszym Liście św. Piotra, gdy ten wzywa swoich braci do czujności, ponieważ „Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży, szukając, kogo pożreć” (1 P 5,8). W ten oto sposób ta przypowieść o wytrwałej modlitwie nabiera głębszego sensu i staje się przypowieścią o zbawieniu, o obronie przed tym przeciwnikiem człowieka, którym jest diabeł. A któż nas weźmie przed nim w obronę? „A Bóg, czyż nie weźmie w obronę swoich wybranych, którzy dnem i nocą wołają do Niego, i czy będzie zwlekał w ich sprawie?” (Łk 18,7). Zaiste nie będzie zwlekał. I prędko ich weźmie w obronę. A właściwie już wziął.

W operze Mieczysława Weinberga *Pasażerka*, opartej na powieści Zofii Posmysz o takim samym tytule, jest znacząca scena. Bronka, jedna z więźniarek, prosi Boga: „Błagam cię we łzach: proszę, spraw, proszę, spraw, by przeminęły mroczne burze, by znów zaświeciło słońce,

by były syte, zdrowe i miały buty – moje dzieci”. Kiedy inna więźniarka, Krystyna, przynosi wosk na świecę, Bronka mówi do niej: „Pan Bóg o tobie nie zapomni”. Na co Krystyna oponuje: „Już mnie zapomniał – i inne też”. A po chwili dodaje: „[...] a może Bóg znowu stał się człowiekiem i umarł, został zamordowany w Oświęcimiu”. Bronka bierze te słowa za bluźnierstwo i szybko napomina swoją sąsiadkę z pryczy: „Grzeszysz, grzeszysz, milcz!”<sup>1</sup>. Ale czy to rzeczywiście było bluźnierstwo?

Zdarza się, że Bóg wysłuchuje naszych modlitw. I zdarza się, że ich nie wysłuchuje, przynajmniej tak jak byśmy tego chcieli. Czy te kobiety i wszyscy inni nie modlili się w obozie o dobre rzeczy: o życie, o wolność, o przetrwanie? A przecież wiele z nich nie przeżyło i nie doczekało się wolności. Jedni tracili tam wiarę, a inni ją zyskiwali. Ale zyskiwali ją chyba jedynie ci, którzy wierzyli, że Bóg bierze ich prawdziwie w obronę nie wtedy, gdy posłuszny jest ich prośbom, ale najprawdziwiej wtedy, gdy dzieli ich los.

Nie, ta operowa Krystyna z Auschwitz nie bluźniła. W tym piekle na ziemi, gdzie wydawało się, że panowanie przeciwnika – diabła jest bliskie, pewne i namacalne, Bóg broni człowieka, stając wraz z nim pośrodku zła. „Widocznie – pisze ks. Tomáš Halík – czymś naprawdę obrzydliwym, beznadziejnym i chyba niemożliwym jest cierpieć bez Boga. Cierpieć bez niczyjej bliskiej obecności, w otchłani anonimowego absurdu, ślepego przypadku bądź nieubłagalnego losu bez twarzy i serca, który nie może słyszeć ani mojego płaczu, ani mojego protestu i gniewu. I dlatego niektórzy «niewierzący» na dnie swego cierpienia usłyszą głos Boga”<sup>2</sup>. Niekórzy usłyszą. Inni nie. Dlaczego? Zofia Posmysz w jednym z radiowych wywiadów mówiła: „Ludzie pytają, gdzie był wtedy Bóg, a On był tutaj”. Granicą wiary i niewiary jest zdolność zaakceptowania tej pozornej słabości Boga, który nie demonstruje swej

<sup>1</sup> A. Miedwiediew, *Pasażerka*, Libretto według powieści Zofii Posmysz, Warszawa 2016, s. 149–150.

<sup>2</sup> T. Halík, *Cierpliwość wobec Boga. Spotkanie wiary z niewiarą*, tłum. A. Babuchowski, Kraków 2011, s. 102.

siły – jak to czasami byśmy chcieli – ale po prostu staje po stronie człowieka wszędzie tam, gdzie dopada go przeciwnik.

Być może nie zadajemy sobie takich pytań, jakie zadawano w Auschwitz. Bóg nam oszczędził takich prób. Może stawiamy pytania cichsze i skromniejsze. Ale przecież niejednokrotnie w naszym życiu wzywaliśmy Boga, by wziął nas w obronę. Prosiłiśmy z nadzieją, że nas wysłucha. I chyba nie jest najważniejsze to, czy w danym przypadku wysłuchał nas, czy może nie. O wiele ważniejsze wydaje mi się pytanie, czy była w nas wiara, że Bóg jest przy nas i bierze nas w obronę.

„Pan będzie czuwał nad twoim wyjściem i powrotem” (Ps 121,8) – zapewnia nas dzisiaj psalmista. Bardzo lubię te słowa psalmu, i to właśnie w tym liturgicznym tłumaczeniu. Bo są o nieustannej Bożej obecności przy nas. I nie tylko gdy dzieje się wielkie zło, ale także gdy dzieje się coś, co można by nazwać złem codziennym, bo przecież „przeciwnik diabeł” (1 P 5,8), choć pokonany na krzyżu, nie przestaje krążyć jak lew ryczący. „Pan jest ze mną, nie lękam się – cóż mi może zrobić człowiek?” – mówi psalm (Ps 118,6). Pan jest ze mną, cóż mi może zrobić „przeciwnik diabeł”? – chciałoby się dopytać.

I tylko jedno mnie niepokoi. „Czy jednak Syn Człowieczy znajdzie wiarę na ziemi, gdy przyjdzie?” (Łk 18,8). Tę właśnie wiarę w Boga, który wciąż, zawsze i w każdej chwili bierze nas w obronę i staje po naszej stronie.

## Modlitwa zza filara

Opowiedział też niektórym, co dufni byli w siebie, że są sprawiedliwi, a innymi gardzili, tę przypowieść: „Dwóch ludzi przyszło do świątyni, żeby się modlić, jeden faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz stanął i tak w duszy się modlił: «Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie: zdziercy, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, albo jak i ten celnik. Zachowuję post dwa razy w tygodniu, daję dziesięcinę ze wszystkiego, co nabywam». A celnik stał z daleka i nie śmiał nawet oczu wznieść ku niebu, lecz bił się w piersi, mówiąc: «Boże, miej litość dla mnie, grzesznika!» Powiadam wam: Ten odszedł do domu usprawiedliwiony, nie tamten. Każdy bowiem, kto się wywyższa, będzie ponizony, a kto się uniża, będzie wywyższony” (Łk 18,9–14).

Faryzeusze samych siebie tak nie nazywali. To inni tak o nich mówili – faryzeusze. To znaczy: oddzieleni, separatysty. Faryzeusze bardzo dbali o tradycję i przestrzeganie zwyczajów, które gwarantowały im czystość rytualną. Dystansowali się wobec wszystkich, którzy mogli tę czystość naruszyć. Ich drogi nie krzyżowały się więc z tymi, po których chodzili celnicy i grzesznicy, a od których nie stronił Jezus wraz ze swoimi uczniami. Faryzeusze mieli żal do Jezusa, że Jego uczniowie nie przestrzegali wielu przepisów, choćby tych o postach, o szabacie czy o rytualnych obmyciach przy spożywaniu posiłku.

A On sam „jadał z celnikami i grzesznikami” (por. Mt 9,11), czego nie mogli Mu wybaczyć.

Przypowieść o faryzeuszu i celniku bardzo dobrze pokazuje kryteria tego oddzielenia. Są dwie metody, aby się poczuć lepszym od innych i sobie powiedzieć: „nie jestem jak inni ludzie” (Łk 18,11). Pierwszy sposób to zobaczyć innych wyłącznie jako gorszych. Ci dookoła to przecież zdziercy, oszuści, cudzołożnicy, celnicy. Dzisiaj można by tę listę wydłużyć: aborcjoniści, łapówkarze, zdrajcy. I nie jest to przecież zupełnie bezzasadna lista, wszak w tych czynach nie ma niczego dobrego. Czy daje nam to jednak prawo, by poczuć się kimś lepszym? To, że nie popełniamy tych czynów, nie znaczy wcale, że – być może – nie popełniamy gorszych. Drugi sposób, by oddzielić się od innych, to zobaczyć w sobie wyłącznie dobro: posty i dziesięcinę – zapewne „z mięty i ruty, i z wszelkiej jarzyny” (Łk 11,42) – jak to faryzeuszom sam Pan Jezus wypominał. I nie ma w tym niczego nagannego, post i dziesięcina to chwalebne uczynki. Problem faryzeusza nie polega na tym, że widzi dobro u siebie, a u innych zło. Problem polega najpierw na wyłączności w widzeniu dobra po jednej tylko stronie, a zła tylko po drugiej. Najgorsze jest jednak to, jakie faryzeusz wyciąga stąd wnioski.

Przez lata słyszałem w kościele, że Jezus kieruje przypowieść o faryzeuszu i celniku do tych, „co ufali sobie, że są sprawiedliwi”. Ale dzisiaj rano usłyszałem, że chodzi o tych, którzy „dufni byli w sobie, że są sprawiedliwi” (Łk 18, 9) – jak to jest w nowym tłumaczeniu liturgicznym. „Dufni”? – pomyślałem. Kto dzisiaj mówi o kimś „dufny”? I w dodatku „dufny w siebie”? „Zadufany” to owszem, ale „dufny”? Przyznam, że zabrzmiało mi to dość archaizująco. Nawet w Korpusie Języka Polskiego „dufnych w siebie” znalazłem tylko u Reymonta i Arkadego Fiedlera. Google też wielu dufnych nie mają. Jak mówią słowniki, „dufny” to „pewny siebie, zarozumiały, pyszny”. A „dufny w siebie” to ktoś, kto wyłącznie w sobie pokłada ufność i nadzieję. Co więcej, robi to z poczuciem wyższości. Dufność ma bowiem w sobie coś z hardości, pewności siebie. W jakimś komentarzu przeczytałem, że jeden z łotrów na krzyżu pozostał do końca „dufny w siebie”.

Taki jest właśnie stojący w świątyni faryzeusz. Nie tylko ufający swej sprawiedliwości, ale dufny z tego powodu. I trudno się dziwić, że jako człowiek „dufny w siebie” gardzi celnikiem, któremu przecież jako notorycznemu grzesznikowi nic nie pozostaje, jak tylko liczyć na Boże miłosierdzie, a to już oznaka słabości. Silni słabymi gardzą. Zadufani własną sprawiedliwością gardzą grzesznikami.

Z przypowieści opowiedzianej przez Jezusa wynika, że faryzeusz rozglądał się po świątyni. Musiało tak być, skoro zauważył obecność celnika. Co tu dużo mówić, modlitwa „na pokaz” była specjalnością faryzeuszów. Chcieli, aby ich widziano, więc może ten też sprawdzał, czy go kto widzi. Celnik – inaczej – „stał z daleka i nie śmiał nawet oczu wnieść ku niebu” (Łk 18,13). Na obrazie Jamesa Tissota *Faryzeusz i celnik* tenże celnik stoi nieco schowany za kolumnę, prawą ręką podpira głowę, a lewą bije się w pierś. Być może faryzeusz zauważył go, kiedy sam wchodził do świątyni. Z reguły grzesznicy nie zajmują pierwszych miejsc i raczej chowają się „za filar”, by ich nikt nie widział. Dobrze wiedzą, że Pan widzi w ukryciu i dlatego stamtąd wołają do Niego, a nie gdzieś – że tak powiem – z prezbiterium. „Modlitwa biednego przeniknie obłoki” (Syr 35,17) – zapewnia mędrzec Syracyles. Także modlitwa o zmiłowanie. I nie jest ważne, skąd będzie wznoszona. A zdarza się też, że modlitwa tych z „pierwszych miejsc w synagogach” od obłoków się raczej odbija. Dzieje się tak wówczas, gdy wnoszą ją niby ku Bogu, ale jednocześnie nie przestają być „zadufani w siebie, że są sprawiedliwi” (Łk 18,9). Wszak sprawiedliwi żadnego usprawiedliwienia już nie potrzebują.

## Wszyscyśmy święci

Jezus, widząc tłumy, wyszedł na górę. A gdy usiadł, przystąpili do Niego Jego uczniowie. Wtedy otworzył usta i nauczał ich tymi słowami:  
„Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie.

Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni.

Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadą ziemię.

Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni.

Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.

Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą.

Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi.

Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie.

Błogosławieni jesteście, gdy wam urągają i prześladują was, i gdy z mego powodu mówią kłamliwie wszystko złe na was. Cieszcie się i radujcie, albowiem wielka jest wasza nagroda w niebie” (Mt 5,1–12a).

Wszyscy pewno widzieliśmy jakiś obraz przedstawiający Sąd Ostateczny, choćby ten najbardziej znany – pędzla Hansa Memlinga z kościoła Mariackiego w Gdańsku (dzisiaj przechowywany w tamtejszym Muzeum



Narodowym). Pośrodku, na tęczowym łuku, zasiadają Chrystus, Apostołowie i Matka Boża, a poniżej św. Michał waży dusze ludzkie na szalach wagi. Po prawej od Chrystusa – zbawieni, po lewej – potępieni. Ci po lewej to kotłowanina nagich ciał porywanych i pożeranych przez diabłów. Ci po prawej to układna procesja stojąca w przedsionku raju i witana przez św. Piotra. Ci też są nadzy, ale przed wejściem w bramy raju dostają szaty. U Memlinga każdy dostaje te same szaty, w których chodził za życia: najpierw idzie papieska tiara, potem kardynalski kapelusz, jest i biskupia mitra, są tonsury – wygolone głowy mnichów. A po nich kmiecie i niewiasty. Czyżby nawet wśród zbawionych była hierarchia? Wśród tych potępionych – co zrozumiałe – trudno jest rozpoznać, kto jest kto, ale i tutaj na pierwszym planie pojawiają się tonsury mnichów. Niestety.

W Apokalipsie u św. Jana jest inaczej. Tutaj wszyscy odziani są w białe szaty. Kiedy św. Jan opisywał wygląd zbawionych, na określenie szaty użył greckiego wyrazu *stolē*, które słusznie kojarzy się nam z kapłańską stulą. Kiedy w przypowieści o synu marnotrawnym (Łk 15,11–32) ojciec każe przynieść najlepszą szatę, to także każe przynieść *stolē*, aby przebrać w nią powracającego syna. Ojcowie Kościoła widzieli w tym geście obraz chrztu. Święty Jan Chryzostom (IV w.) w komentarzu do tej przypowieści pisał: „Przynieście szatę, która została utkana w wodach źródła chrzcielnego [...]”<sup>1</sup>. Szata chrztu, którą otrzymywali w starożytności katechumeni, była biała, jak białe są szaty zbawionych. A i dzisiaj białą szatę otrzymują chrzczone niemowlęta.

Jak pisze św. Jan, ci wybrani z apokaliptycznej wizji „opłukali swe szaty i w krwi Baranka je wybielili” (Ap 7,14), a więc nie w swojej, choćby najbardziej męczeńskiej. A syn marnotrawny – jak chcą niektórzy komentatorzy – otrzymał szatę ojca, bo musiała to być szata najlepsza, a właściwie najpierwsza, jak mówi tekst grecki przypowieści. Tylko bowiem ojcowska szata mogła mu przywrócić utraconą godność syna.

<sup>1</sup> Św. Jan Chryzostom, *In parabolam de filio prodigo*, w: J.P. Migne (red.), *Patrologiae Cursus Completus. Series Graeca*, Parisiis 1862, t. 59, kol. 519 (tłumaczenie własne).

Jest taki cykl fotografii współczesnego amerykańskiego artysty Duane'a Michalsa *Powrót syna marnotrawnego*, na którym powracający syn jest zupełnie nagi. Jedną ręką wstydliwie zakrywa twarz, drugą – równie wstydliwie – swoją nagość. Ojciec zdejmując z siebie swoje ubranie i daje je synowi. Ryzykuje swoją nagość, by mu przywrócić godność syna. Może to właśnie się dzieje, gdy w drodze na Golgotę Jezus zostaje obnażony i taki zostaje przybity do krzyża? Pozwolił obnażyć siebie, by zakryć nasz grzech? Szata, którą dostajemy na chrzcie, to już nie jest *tunica pellicea* (Rdz 3,21), tamto ubranie ze skóry, które Bóg przygotował naszym pierwszym rodzicom po upadku, aby zakryć ich nagość rozpoznaną po grzechu. To jest *stola alba*, szata wybranych, a nie wygnanych. Tamta mogła przykryć jedynie przyrodzoną nagość, ta może zakryć wiele grzechów.

Niegdyś, kiedy kapłan zakładał stulę, odmawiał obowiązkową modlitwę: *Redde mihi, Domine, stolam immortalitatis...* – „Oddaj mi, Panie, szatę nieśmiertelności, którą utraciłem przez upadek pierwszego rodzica”. A dodać by trzeba: także przez liczne moje upadki. Każdy z nas może tę modlitwę powtarzać. Może nawet powinniśmy sobie uszyć takie białe chrzcielne szaty i nie tylko w Wielką Sobotę, ale i w rocznicę chrztu – albo dzisiaj, na odpust Wszystkich Świętych<sup>2</sup> – zakładać i prosić: „Zwróć mi, Panie, szatę nieśmiertelności...”. Tym, co nam pozwala tak wołać, jest pamięć szaty chrzcielnej. I można ją pobrudzić, można ją zszargać, ale nie da się jej już zupełnie zrzucić, nie da się jej z siebie zedrzeć.

Od chwili chrztu jest w nas bowiem taka świętość, której nic nie zdoła zniszczyć. Żaden grzech jej nie unieważni, bośmy się już na wieczność „przyoblekli w Chrystusa” (por. Ga 3,27). Można wypisać się nawet z Kościoła, pójść w tym czy innym marszu, a nawet pochwalić się w gazecie decyzją dokonania aborcji, ale i tak nic nie zniszczy tej świętości, która w nas jest, odkąd w wodach chrztu zanurzyliśmy się w Jego

<sup>2</sup> Kazanie zostało wygłoszone 6.11.2016 r. z okazji odpustu na Mszy Świętej w parafii pw. Wszystkich Świętych w Poznaniu.

śmierć i zmartwychwstanie. Pięknie mówią o tym słowa sekwencji *Dies irae* z Mszy Requiem: *Recordare, Jesu pie, / Quod sum causa tuae viae*, co można dosłownie przetłumaczyć: „Pamiętaj, łaskawy Jezu, że powodem Twojej drogi”. Z Niego jesteśmy. Z Jego męki, śmierci, zmartwychwstania. Dzisiaj świętujemy uroczystość Wszystkich Świętych<sup>3</sup>. To nie jest tylko święto tych, których na obrazie Memlinga św. Piotr wita w bramach nieba i którym aniołowie dają szaty wyprane. To jest także nasze święto, nas – wszystkich świętych – nas, którzy pieczęć świętości nosimy od chwili chrztu. To także nasze święto, bośmy „wszyscy święci”, choć jeszcze nie w bieli.

Kiedy nasi rodzice i chrzestni przynosili nas do kościoła, ksiądz pytał niegdyś (dziś pyta już nieco inaczej): „Czego żądacie od Kościoła Bożego?”. „Wiary” – odpowiadali. „Co wam daje wiara?” – dopytywał ksiądz. „Życie wieczne” – padała odpowiedź. Kiedy słyszymy o życiu wiecznym, nasza myśl ucieka daleko. Życie wieczne to życie przyszłe, pośmiertne, takie, które się zacznie kiedyś, aż po naszym zmartwychwstaniu. To życie świętych i błogosławionych. A to dzisiejsze to tylko życie doczesne, taka niby-poczekalnia do życia prawdziwego. Jakbyśmy ciągle czekali w przedpokoju. Święta Teresa z Ávili mówiła nawet, że „życie jest jak noc spędzona w podłej gospodzie”. A taką noc chce się po prostu przeczekać, modląc się jednocześnie, by się szybko skończyła. Czego warte byłoby takie życie w przedsionku?

Ksiądz prof. Jan Słomka w wywiadzie udzielonym przed laty mówił tak: „Jeżeli traktujemy Ewangelię i wiarę w Boga poważnie, to czym trudniejsza sytuacja – tym ważniejsze jest to, co ma nam do powiedzenia nasza wiara. Wśród obietnic chrześcijańskich nie ma obietnicy, że będzie łatwo – przecież ostatecznie zbawienie jest na końcu, chociaż i tu, na ziemi, obiecany jest «przedsmak nieba», ale jednak pośród trudu. Oczywiście, wiele obiecane jest na ziemi: szczęście, błogosławieństwo, Boża łaska, dar miłości – jako przedsmak, jako początek. Dlatego w żaden sposób nie jest słuszne przedstawianie Bożych obietnic jako:

<sup>3</sup> Zob. przyp. nr 1.

teraz padół płaczu – a potem szczęście”<sup>4</sup>. Ale przecież kiedy słuchamy Jezusowych błogosławieństw (por. Mt 5,3–10), trudno nam uciec od obrazu padołu łoż: ubóstwo, smutek, niesprawiedliwość, niepokój i prześladowanie – taka jest sceneria życia błogosławionych. Mamy świadomość, że świętość, zbawienie, życie wieczne, a także szczęście nie są nam dostępne inaczej jak „pośród trudu”, wśród „wielkiego ucisku” – jak zapowiadał Jan w Apokalipsie. Wydaje nam się wtedy, że nasze życie jest jak „zamyślona pieśń skrzypiec na tle rozkołysanego wtóru orkiestry” – jak pisał Józef Jasielski w dramacie *Oko za oko* o II koncercie skrzypcowym d-moll Wieniawskiego<sup>5</sup>. *Andante ma non troppo*....

Nie znaczy to jednak, że wystarczy cierpieć, by być błogosławionym. Niejeden ubogi karmi się wyłącznie zazdrością i zawiścią, smutny rozgląda się za jakimś dopalaczem, a prześladowany obmyśla odwet i zemstę. „Czym trudniejsza sytuacja – tym ważniejsze jest to, co ma nam do powiedzenia nasza wiara” – mówił cytowany ks. Słomka. Nie, to nie sytuacja, położenie czy los czynią nas błogosławionymi, ale to dopiero wiara nas takimi czyni. Nie, Jezus nie mówi: błogosławieni jesteście, ponieważ was prześladowają czy też ponieważ jesteście ubodzy, cisi czy cierpiący. Wiemy aż nazbyt dobrze, że w tej samej sytuacji jedni będą błogosławić, drudzy swój los będą przeklinać i pięścią niebu wygrażać. Nie, ani smutek, ani ubóstwo, ani płacz, ani cierpienie, ani urąganie, ani prześladowanie nie są przedśionkiem czy przedsmakiem nieba. Raczej kojarzą nam się z przedśionkiem czegoś, co jest niebu przeciwne. Nie, nie chcemy takich przedśionków i takich przedsmaków. I nie takie nam obiecuje dzisiaj Jezus.

Tym, co jest błogosławieństwem, szczęściem, świętością i życiem wiecznym już tutaj, na ziemi, jest nasza wiara pośród prześladowań, ubóstwa, cierpienia, płaczu i braku miłosierdzia. A przykładem niech będą owi chrześcijanie w Aleppo, którzy mimo wojny, głodu

<sup>4</sup> J. Słomka, [wywiad:] *Chrześcijaństwo i sukces*, w: A. Jarmusiewicz, *Chrześcijaństwo i kultura w XXI wieku*, Kraków 2002, s. 198.

<sup>5</sup> Za: <http://www.pisarze.pl/index.php/dramat-proza/31-dramat-autorzy-wspoczeni/2785-jozef-jasielski-okno-za-okno.html>.

i zapomnienia przez świat wciąż czują się wolni od nienawiści i nie obmyślają odwetu. To o nich mówił papież Franciszek w Malmö: „Błogosławieni, którzy z wiarą znoszą cierpienia, jakie zadają im inni – i z serca przebacząją”<sup>6</sup>.

To jest to życie wieczne w nas. To jest ta nasza nieśmiertelność, którą nosimy w sobie od zanurzenia w wodzie chrztu. Bo nie tylko śmierć nas równa, równa nas także chrzest. Starożytny poeta Klaudian Klaudiviusz mówił: *Mors omnia aequat* – śmierć zrównuje wszystko i wszystkich. Świętość też będzie jak śmierć: każdemu taka sama. Tak więc każdemu ta sama biała szata: papieżowi, biskupowi, kmieciowi, królowi, mnichowi czy niewieście. I nie miał chyba racji Memling, każąc aniołom ubierać świętych w ich ziemskie stroje. Bo świętym nie staje się dzięki tiarze, mitrze czy tonsurze. A czasami nawet pomimo. Każdemu przecież śmierć ta sama. I ta sama świętość.

6 LISTOPADA 2016

<sup>6</sup> Franciszek, Homilia wygłoszona podczas Mszy św. w Malmö, Stadion Swedbank, 1.11.2016 r.

## Bóg przychodzi „na cito”

A jak było za dni Noego, tak będzie z przyjściem Syna Człowieczego. Albowiem jak w czasie przed potopem jedli i pili, żenili się i za mąż wydawali aż do dnia, kiedy Noe wszedł do arki, i nie spostrzegli się, aż przyszedł potop i pochłonął wszystkich, tak również będzie z przyjściem Syna Człowieczego. Wtedy dwóch będzie w polu: jeden będzie wzięty, drugi zostawiony. Dwie będą mleć na żarnach: jedna będzie wzięta, druga zostawiona.

Czuwajcie więc, bo nie wiecie, w którym dniu Pan wasz przyjdzie. A to rozumiejcie: Gdyby gospodarz wiedział, o jakiej porze nocy nadejdzie złodziej, na pewno by czuwał i nie pozwoliłby włamać się do swego domu. Dlatego i wy bądźcie gotowi, bo o godzinie, której się nie domyślacie, Syn Człowieczy przyjdzie (Mt 24,37–44).

Nie umiem czytać dzisiejszej Ewangelii inaczej niż przez pryzmat ostatniego listu apostolskiego papieża Franciszka zatytułowanego *Misericordia et misera*. Ten list to – jeśli można tak powiedzieć – pokerowe zagranie papieża.

W momencie, gdy tu i ówdzie rozlegały się zniecierpliwione głosy tych, którzy już mieli dość Roku Miłosierdzia, papież przedłużył go jakby w nieskończoność. Z jednej strony formalnie zamknął nadzwyczajny rok jubileuszowy, z drugiej jednak podtrzymał prawie wszystkie przywileje z nim związane, jak choćby prawo rozgrzeszania

z aborcji przez wszystkich kapłanów. „Miłosierdzie nie może być bowiem jakąś dygresją w życiu Kościoła, ale stanowi samo jego życie, czyniąc widoczną i namacalną głęboką prawdę Ewangelii. Wszystko objawia się w miłosierdziu; wszystko się rozstrzyga w miłosiernej miłości Ojca” – przypomina Franciszek<sup>1</sup>. Miłosierdzie nie jest epizodem w historii zbawienia i w historii Kościoła. Miłosierdzie to życie Kościoła, to jego układ nerwowy i jego krwiobieg. Jego mózg i jego serce.

O liście przypominałem sobie natychmiast, gdy zacząłem czytać dzisiejszą Ewangelię. Jezus zapowiada bowiem w niej dzień swego powtórnego przyjścia: „Pan przyjdzie”, „Syn Człowieczy przyjdzie”. Czytamy tę Ewangelię u progu Adwentu, gdy Kościół wychyla się ku przyszłości, ku przyszłości ostatecznej, eschatologicznej, biegnie myślą do momentu powtórnego przyjścia Jezusa, który nazywamy Paruzją. Greckie słowo *parousía* oznacza „przyjście, pojawienie się”, ale także „obecność”. Czy rzeczywiście trzeba czekać aż do końca czasów na obecność Boga i na Jego przyjście?

W liście *Misericordia et misera* papież Franciszek aż sześć razy pisze o „Bogu wychodzącym”: na spotkanie grzesznika, nam na spotkanie (trzy razy), wszystkim na spotkanie, na spotkanie serca człowieka. I jednocześnie ani razu papież nie wspomina o człowieku wychodzącym na spotkanie Boga. U Franciszka to Bóg jest tym, który wychodzi, wyrusza naprzeciw człowiekowi. Bóg jest „wychodzącym”. Wychodzenie do człowieka to Jego natura. Wbrew naszemu przekonaniu i wbrew temu, co nam mówił niejeden kaznodzieja, Bóg nie czeka z wyjściem ku nam na naszą poprawę, ale ją uprzedza. Tym radykalnym wyjściem Boga, które będziemy celebrowali już za miesiąc, jest tajemnica Wcielenia Jezusa Chrystusa, który przyszedł, nie czekając na naszą poprawę. „Bóg zaś okazuje nam swoją miłość [właśnie] przez to, że Chrystus umarł za nas, gdyśmy byli jeszcze grzesznikami” – po wie św. Paweł (Rz 5,8). I „gdyśmy byli jeszcze grzesznikami”, w Betlejem

<sup>1</sup> Franciszek, List apostolski *Misericordia et misera*, Rzym 2016, 1.

narodził się z Dziewicy, nie czekając na naszą doskonałość. I słusznie, bo by się nie doczekał.

Dzisiejsza Ewangelia zapowiada przyjście Boga *media vita*, pośród życia, w codzienności, a jednocześnie w chwili, której się nie domyślamy. To niedomyślanie się chwili przyjścia Boga mówi nam o tym, że to On, i tylko On, wyznacza czas swojej obecności. Przychodzi, gdy jemy i pijemy, ženimy się i wychodzimy za mąż, gdy jesteśmy w polu albo przy żarnach, to znaczy przy święcie i przy robocie. W każdej chwili przyjść może. I w każdej przychodzi. Niby złodziej, który czyha na okazję.

Ale nie przychodzi po to, abyśmy się Go bali. Jest jak przyjście dnia po nocy, jak przyjście światła po godzinach ciemności. Czy trzeba obawiać się dnia? Nawet wtedy, gdy nosi się w sobie uczynki ciemności, a w świetle dnia widać je jeszcze wyraźniej? Być może. Moja znajoma kioskarka powtarzała, że o poranku chodzą po ulicach tylko uczciwi ludzie: do pracy, do szkoły, do przedszkola. Wszelka szumowina śpi. Być może ze strachu przed dniem, przed światłem. Ale przecież Pan – przypomina nam Franciszek – przychodzi ze światłem miłosierdzia. „[...] przed objawieniem o grzechu – pisze papież – mamy objawienie miłości, z jaką Bóg stworzył świat i ludzi. Miłość jest pierwszym aktem, poprzez który Bóg daje siebie poznać i wychodzi nam na spotkanie. Niech zatem nasze serce będzie otwarte na ufność, że jesteśmy miłowani przez Boga. Jego miłość zawsze nas uprzedza, towarzyszy nam i pozostaje przy nas pomimo naszego grzechu”<sup>2</sup>. Taka jest Paruzja Pana, takie jest Jego przyjście, taka jest Jego obecność. Nie tylko na końcu czasów, ale już teraz, zaraz. Bo On jest Tym, „Który jest i Który był, i Który przychodzi” (Ap 1,4). Także tutaj, za chwilę, w Eucharystii.

Ksiądz Tomáš Halík jedną ze swoich książek zatytułował *Wzywany czy niewzywany, Bóg się tutaj zjawi*<sup>3</sup>. Ten tytuł to cytat

<sup>2</sup> Tamże, 2.

<sup>3</sup> Por. T. Halík, *Wzywany czy niewzywany, Bóg się tutaj zjawi*, tłum. A. Babuchowski, Kraków 2006.



upowszechniony przez Carla Gustava Junga, który kazał sobie go wyryć w kamieniu na swoim nagrobku: *Vocatus atque non vocatus Deus aderit*. Jung znalazł to zdanie u Erazma z Rotterdamu, wielkiego renesansowego humanisty. Ten cytat ma oczywiście swoją wcześniejszą historię. Został zanotowany przez Tukidydesa, starożytnego historyka greckiego, który w dziele *Wojna peloponeska* opisał wizytę Spartan u wyroczni w Delfach. Na pytanie Spartan, czy powinni wyruszyć na wojnę, wyrocznia odpowiedziała, że jeśli włożą swoją całą siłę w walkę, to wygrają, a bóg wojny obiecuje, że – wzywany czy niewzywany – będzie z nimi. Bardzo podobne zdanie znajduje się u Horacego, rzymskiego poety (*Vocatus atque invocatus audit*, Oda II, 18), gdzie Orcus – etruski bóg podziemi i śmierci – słyszy każdego, bez względu na to, czy go ktoś woła, czy nie. Śmierć puka bez różnicy do drzwi bogatego i biednego, chce nam powiedzieć Horacy. Ciekawe, że u Horacego, trochę podobnie jak w Ewangelii, śmierć przychodzi po biednego, gdy ten właśnie skończył swoją pracę. Wzywana czy niewzywana – śmierć przyjdzie. I nie wiem, czy będzie czekać, aż akurat skończymy naszą robotę.

Ale dla człowieka wierzącego w Jezusa Chrystusa śmierć nie jest nicością, podziemną czeluścią, jak dla Greków czy Rzymian. Nie tylko śmierć – wzywana czy niewzywana – przyjdzie. Wraz z nią – wzywany czy niewzywany – przyjdzie Bóg, ten, który wychodzi na spotkanie, przychodzący. Śmierć też już będzie małą Paruzją. I wiedział o tym wielki psycholog Carl Gustav Jung, skoro kazał sobie ten napis o Bogu, który się zjawi, umieścić na grobie. Ale to hasło: *Vocatus atque non vocatus Deus aderit*, co oznacza dosłownie „Wzywany czy niewzywany, Bóg będzie”, kazał wyryć nie tylko na płycie nagrobnej, ale najpierw i przede wszystkim nad drzwiami swojego domu. Bóg przychodzi, chcemy czy nie chcemy. Wzywany czy niewzywany, słyszy. I nie trzeba czekać do końca czasów czy do śmierci. Bóg przechodzi przez próg codzienności i uprzedza nas swoim miłosierdziem.

Dzisiaj zaczyna się Adwent. I będzie nas Pan zapewniał na porannych roratach: *cito veniet salus tua*, „szybko przybędzie twe zbawienie”.

Bo Pan się śpieszy, przychodzi szybko, „na *cito*”. Ale Adwent jest nie tylko od dzisiaj. Adwent przecież trwa już od naszego narodzenia, od początku świata. Bóg przychodzi. Niestety, byli tacy, co się nie spostrzegali. Przed potopem. Za Noego. I dzisiaj.

27 LISTOPADA 2016

## Myślenie „nie z tego świata”

W owym czasie pojawił się Jan Chrzciciel i głosił na Pustyni Judzkiej te słowa: „Nawracajcie się, bo bliskie jest królestwo niebieskie”. Do niego to odnosi się słowo proroka Izajasza, gdy mówi: Głos wołającego na pustyni: Przygotujcie drogę Panu, dla Niego prostujcie ścieżki!

Sam zaś Jan nosił odzienie z sierści wielbłądziej i pas skórzany około bioder, a jego pokarmem były szarańcza i miód leśny. Wówczas ciągnęły do niego Jerozolima oraz cała Judea i cała okolica nad Jordaniem. Przyjmowano od niego chrzest w rzece Jordan, wyznając swoje grzechy.

A gdy widział, że przychodziło do chrztu wielu spośród faryzeuszów i saduceuszów, mówił im: „Plemię żmijowe, kto wam pokazał, jak uciec przed nadchodzącym gniewem? Wydajcie więc godny owoc nawrócenia, a nie myślcie, że możecie sobie mówić: «Abrahama mamy za ojca», bo powiadam wam, że z tych kamieni może Bóg wzbudzić dzieci Abrahamowi. Już siekiera jest przyłożona do korzenia drzew. Każde więc drzewo, które nie wydaje dobrego owocu, zostaje wycięte i wrzucone w ogień. Ja was chrzczę wodą dla nawrócenia; lecz Ten, który idzie za mną, mocniejszy jest ode mnie; ja nie jestem godzien nosić Mu sandałów. On was chrzącić będzie Duchem Świętym i ogniem. Ma on wiejadło w rękę i oczyści swój omłot: pszenicę zbierze do spichlerza, a plewy spali w ogniu nieugaszonym” (Mt 3,1–12).

Świętego Jana Chrzciciela często nazywa się ostatnim prorokiem Starego Testamentu. Wobec Jezusa, którego zapowiada i który przyniesie światu nowy porządek, św. Jan jest przedstawicielem czasów dawnych, przedstawicielem tej ludzkości, która została wygnana z raju. O jego funkcji mówi nawet jego ubranie: „Sam zaś Jan nosił odzienie z sierści wielbłądziej i pas skórzany około bioder” (Mt 3,4). Ten opis przywołuje inny moment z historii zbawienia, z jej początków, gdy pierwsi rodzice zostali wygnani z raju. Jak czytamy w Księdze Rodzaju, „Pan Bóg sporządził dla mężczyzny i dla jego żony odzienie ze skór i przyodział ich” (Rdz 3,21).

Do tego wydarzenia nawiązał ostatnio papież Franciszek w liście apostołskim *Misericordia et misera*: „Wystarczy pomyśleć na przykład o uczynku miłosierdzia wobec ciała: nagich przyodziać (Mt 25,36.38.43.44). Prowadzi nas ono do początków, do ogrodu Eden, kiedy Adam i Ewa odkryli, że są nadszy i, czując, że zbliża się Pan, byli zawstydzeni i ukryli się (por. Rdz 3,7–8). Wiemy, że Pan ich ukarał; a jednak «sporządził dla mężczyzny i dla jego żony odzienie ze skór i przyodział ich» (Rdz 3,21). Wstyd został przezwyciężony, a godność przywrócona”<sup>1</sup>. To sam Bóg sporządza dla człowieka ubranie, aby zakryć jego nagość i przywrócić mu godność. Ale wiemy dobrze, że ten miłosierny gest Boga był niewystarczający, był jedynie znakiem miłosierdzia, które ma się dopiero okazać, gdy nadejdzie „pełnia czasów”. Owszem, człowiek opuścił raj okryty ubraniem, a więc Bóg zatroszczył się o jego codzienność, jego życie doczesne, jego ziemskość, ale przecież w niczym nie zmieniał to statusu człowieka wobec Boga, nie zmieniał to jego stanu wygnania. „Grzechem Adama ludzie uwikłani / Wygnani z raju wołali z otchłani” – jak śpiewamy w pieśni adwentowej.

Nie przez przypadek więc św. Jan Chrzciciel „nosił odzienie z sierści wielbłądziej i pas skórzany około bioder” (Mt 3,4). W ten sposób bowiem przywoływał symbolicznie owo „odzienie ze skóry”, które Bóg sporządził naszym przodkom, a jednocześnie uświadamiał tym, którzy

<sup>1</sup> Franciszek, List apostołski *Misericordia et misera*, Rzym 2016, 19.

do niego przychodzili, kim są i jaki jest ich status. Wszyscy – podobnie jak on – są wygnańcami z raju. Owszem, od wieków Bóg troszczy się o nasze potrzeby, przyodziewa nas niczym lilie polne (por. Mt 6,28–29), ale wciąż czekamy na zbawiciela, tego, który „jest mocniejszy” od Jana Chrzciciela i od nas wszystkich.

Jan przychodzi, by głosić nawrócenie. Motywem tegoż nawrócenia ma być bliskość królestwa Bożego. Historia zbawienia zdaje się wypełniać, a przynajmniej osiągać punkt kulminacyjny. Przeszłością jest raj, z którego zostaliśmy wygnani, ale oto zbliża się nasza chwalebna przyszłość, a jest nią królestwo Boże. Jego nadejście domaga się nawrócenia. Jak wiemy, nawrócenie to w języku greckim *metanoia*, co bywa tłumaczone jako „zmiana myślenia”, „odmiana myślenia”. Można więc powiedzieć, że Jan Chrzciciel wzywa dzisiaj swoich współczesnych, a poprzez karty Ewangelii także każdego z nas: zmieńcie myślenie, odmieńcie myślenie, bo bliskie jest królestwo niebieskie.

Ale co to znaczy „zmienić myślenie”? Z jakiego na jakie? W tym greckim słowie kryją się dwa wyrazy: *noûs*, czyli umysł, myślenie, oraz *meta*, które wskazuje nie tylko na zmianę, na przykład kierunku, ale także na wykraczanie poza i ponad, na wejście na wyższy poziom. Wiemy, że jest fizyka i jest metafizyka. Fizyka to nauka o tym, co przyrodzone, metafizyka – o tym, co nadprzyrodzone, co jest ponad i poza tym, co fizycznie doświadczone. Można powiedzieć że, Jan Chrzciciel, a po nim wielokrotnie będzie powtarzał to Jezus, mówi dzisiaj nie tyle o odmianie myślenia, ile o jego przekroczeniu. Tu nie chodzi tylko o kierunek, ale o to, by wznieść się na inny poziom. „Nawracajcie się” to znaczy „przekroczcie wasze myślenie”, „wyrośnijcie poza wasze myślenie”, miejcie odwagę porzucić wasze ludzkie myślenie i zaczynajcie myśleć kategoriami królestwa niebieskiego. Już czas, by przestać myśleć na sposób ziemski, a zacząć myśleć na sposób niebieski. Nie jesteście już tylko wygnańcami z raju w odzieniu ze skóry zwierząt, ale przeznaczeni jesteście do nieba. Święty Jan Chrzciciel, który nosi w sobie obraz pierwszego Adama wygnanego z raju, zapowiada spotkanie

z drugim Adamem, z Chrystusem, który raj przywróci, a „odzienie ze skór” zamieni na „szatę nieśmiertelności”.

Ale cóż to znaczy zacząć inaczej myśleć? Papież Franciszek odpowiadał nam na to pytanie przez cały rok, próbując przeorientować całe nasze myślenie i dać mu jeden zasadniczy rys, a jest nim miłosierdzie. Niejednokrotnie słyszałem, że miłosierdzie jest słabe, że jest naiwne, że jest nieżyciowe. Czytając dzisiejszą ewangelię i wezwanie do wykroczenia poza ziemskie myślenie, dochodzę do wniosku, że to dobrze, że miłosierdzie jest słabe, naiwne i nieżyciowe. „Bóg wybrał właśnie to, co głupie w oczach świata, aby zawstydzić mędrców, wybrał to, co niemocne, aby mocnych poniżyć” (1 Kor 1,27). Gdyby wybrał mądre i mocne, czym różniłby się od świata?

26 grudnia wyruszy z Berlina „Civil March For Aleppo”, obywatelski marsz z Europy do oblężonego miasta. Inicjatorką tego marszu jest Anna Alboth, Polka mieszkająca w Berlinie. Na internetowej stronie inicjatywy można przeczytać: „Nauczono nas braku sprzeciwu wobec wojny. Bierności. Ulegliśmy przekonaniu, że władzy, która pociąga za sznurki, należy się bać i nie stawiać jej oporu. [...] Ale dłużej nie możemy udawać. [...] Czy jesteśmy szaleni? Wydaje nam się, że szaleństwem jest dłużej czekać, aż wszyscy cywile tam zginą. Idźmy tam i połóżmy kres temu oblędowni!”. Idea wydaje się rzeczywiście szalona. Setki ludzi wyruszą zimą przez Europę, Turcję do Aleppo. Dokładna trasa właśnie powstaje, Ania i kilkadziesiąt osób z różnych krajów, które zaangażowały się w akcję, konsultują się m.in. z pracownikami humanitarnymi w Syrii i Libii, konsultantami armii tureckiej i konsulami poszczególnych krajów. To przecież trudna logistycznie inicjatywa. Można się dołączyć w drodze na dzień, tydzień, na godzinę.

Wiemy, czym były krucjaty. Na filmie pt. *Królestwo niebieskie* można zobaczyć, jak średniowieczne chrześcijaństwo rozumiało zakładanie królestwa niebieskiego na ziemi. Chodziło o to, by odbić grób Jezusa z rąk niewiernych i ustanowić tam katolickie państwa. Ogniem i mieczem, jak wiemy. Ta „krucjata” – jeśli do niej dojdzie – będzie zupełnie inna. Też wyruszy do Ziemi Świętej, wszak Syria to jej część. Też

będzie proklamować królestwo niebieskie na ziemi, to zapowiedziane przez Jana i Jezusa. Ale już inaczej: ani mieczem, ani ogniem, ale solidarnością, miłością, przebaczeniem, dobrem. Szalona idea, ale może nie można inaczej, aby „zawstydzić mędrców” i „mocnych poniżyć” (por. 1 Kor 1,27). Szalona idea, ale przecież – jak sam mówił – Jego królestwo „nie jest z tego świata” (J 18,36). Królestwa „tego świata” – jak na razie – nie dają sobie rady. Czas, by wezwać innego króla niż Putin, Asad, Obama i inni.

4 GRUDNIA 2016

## Pan Bóg niegrzecznych

Z narodzeniem Jezusa Chrystusa było tak. Po zaślubinach Matki Jego, Maryi, z Józefem, w pierw nim zamieszkali razem, znalazła się brzemiennej za sprawą Ducha Świętego. Mąż Jej, Józef, który był człowiekiem sprawiedliwym i nie chciał narazić Jej na zniesławienie, zamierzał oddalić Ją potajemnie. Gdy powziął tę myśl, oto anioł Pański ukazał mu się we śnie i rzekł: „Józefie, synu Dawida, nie bój się wziąć do siebie Maryi, twej Małżonki; albowiem z Ducha Świętego jest to, co się w Niej poczęło. Porodzi Syna, któremu nadasz imię Jezus, On bowiem zbawi swój lud od jego grzechów”. A stało się to wszystko, aby się wypełniło słowo Pańskie powiedziane przez Proroka: „Oto dziewica poczne i porodzi Syna, któremu nadadzą imię Emmanuel”, to znaczy Bóg z nami. Zbudziwszy się ze snu, Józef uczynił tak, jak mu polecił anioł Pański: wziął swoją Małżonkę do siebie (Mt 1,18–24).

W dzisiejszej Ewangelii pada jedno z najważniejszych słów dla człowieka wierzącego. To słowo „zbawienie”, a dokładnie: „zbawić”. „Porodzi Syna, któremu nadasz imię Jezus, On bowiem zbawi swój lud od jego grzechów” (Mt 1,21) – tak dzisiaj mówi anioł do św. Józefa o dziecku, które już wkrótce ma się narodzić z Maryi. Te dwa pokrewne słowa: „zbawić” i „zbawienie” bardzo często pojawiają się w słowniku katechetów, kaznodziejów, teologów. Jezus jest zbawicielem – mówimy.



Jezus nas zbawił, wierzymy w zbawienie, pragniemy zbawienia itd. Ale co to dokładnie znaczy? Raczej rozumiemy te słowa intuicyjnie, niż dokładnie odczytujemy ich sens.

Problem z tymi słowami polega na tym, że poza słownikiem religijnym nie pojawiają się już prawie wcale. Jeszcze w wieku XVII mówiono na przykład „Zbawiłeś mię tego nieszczęścia” w znaczeniu „wybawiłeś mnie od tego nieszczęścia”. Ale czy ktoś z nas jeszcze mówi – a takie zdanie znalazłem w słowniku – „Wyjazd był dla niej zbawieniem”? Nie, tak już nie mówimy. A nawet gdy mówimy, że ktoś chce „zbawić świat”, to od razu kojarzy nam się ta wypowiedź religijnie. Czasami jeszcze zdarzy się nam powiedzieć, że jakaś rada była zbawienna, jakaś myśl albo czyjaś pomoc. „Zbawienna” to znaczy przynosząca ratunek, pożyteczna, dobroczynna w skutkach.

Mówię o tym wszystkim, abyśmy powrócili do pierwotnego sensu słowa „zbawić”. A „zbawić” to tyle co „ocalić, uratować od czegoś, wybawić, wyzwolić”. Również dzisiaj można kogoś zbawić: wybawić od nieszczęścia, ocalić od śmierci, uratować od głodu, wyzwolić z niewoli. Po to przychodzi Jezus: „zbawić swój lud od jego grzechów”. „Od zła wszelkiego” wybawić, „od każdego grzechu” uratować, „od zasadzek szatana” ocalić, „od śmierci wiecznej” wyzwolić – jak śpiewamy w *Litanii do wszystkich świętych*.

Tak właśnie było rozumiane to słowo także w języku greckim, w którym spisano Ewangelię. Greckie słowo *sōtēria*, które tłumaczymy jako „zbawienie”, wywodzi się z terminologii wojskowej, gdzie pierwotnie oznaczało wyzwolenie kogoś w trakcie bitwy przez odepchnięcie lub rozproszenie zbrojnym ramieniem jego wrogów, którzy go otaczali i zagrażali jego życiu. Ten, komu się to udawało, nazywany był „zbawcą”. (I trudno mi w tym kontekście nie pomyśleć, jak bardzo Polska nie chce być zbawcą dla tych ludzi, którym wciąż śmierć zagraża w Aleppo, jak wielu z nas nie chce być dla nich zbawcami). Po to właśnie przychodzi Jezus. Aby stać się naszym zbawcą. Aby swoim „zbrojnym ramieniem”, a będzie to ramię rozciągnięte i przybite do krzyża, rozproszyć wszelkie zło, które nas otacza i zagraża naszemu życiu. To on ocali nas z tej bitwy. Nikt inny.

Ksiądz Grzegorz Strzelczyk w książce *Wielkie tematy teologii* pisze, że mamy współcześnie do czynienia „z kryzysem odczuwania i rozumienia potrzeby oraz idei zbawienia”<sup>1</sup>. Dlaczego tak się dzieje? Potrzeba zbawienia jest nieodłączna od wcześniejszej świadomości zagrożenia. Trzeba mieć od czego być zbawionym, wyzwolonym, ocalonym. Przed chwilą powiedziałem, że Jezus przychodzi, by rozproszyc wszelkie zło, które nas otacza. Tak, to prawda. Będziemy przecież o Nim śpiewać „zwycięzca śmierci, piekła i szatana”. Jednak zło jest nie tylko wokół nas, lecz także w nas samych. To grzech rodzący w nas poczucie winy.

„Dzięki przebaczeniu darowanemu nam w Chrystusie potrafimy się rzeczywiście zmierzyć z problemem winy, czyli odpowiedzialności za zło, którego jesteśmy autorami” – jak formułuje to ks. Strzelczyk. Zbawienia może potrzebować i oczekiwać jedynie ten, kto ma świadomość grzechu i jego konsekwencji, a więc ten, kto rozpoznaje w sobie zło, z którym sam sobie nie poradzi. Nie potrzebuje ocalenia ten, kto się czuje „cały”; wyzwolenia – ten, kto się czuje wolny; ani wybawienia – ten, kto się bawi.

Niedawno odkryłem zapomnianego autora, który często podejmował tematy religijne. To Karol Ludwik Koniński. W jego opowiadaniu *Straszny czwartek w domu pastora* jest scena rozmowy pastora Hubiny z katolickim proboszczem, ks. Jerzym. Rzecz dzieje się w roku 1912. Pastor mówi, że obaj mają szczęście żyć harmonijnie, łagodnie, przyzwoicie, pobożnie; „[...] mamy nadzieję, że całe nasze życie spłynie jak rzeka do spokojnego morza” – deklaruje pastor Hubina. Prowadzą bezpieczne życie, a Bóg oszczędza im trudnych egzaminów, co do których nie wiadomo, czyby je zdali. Żyją „w uporządkowanym społeczeństwie”. Ale przecież nie wszędzie tak jest. Na świecie żyją ludzie, którzy poddawani są torturom i innym katuszom. „I dopiero, kto taki egzamin złożył, może sobie pochlebiać, że zasłużył na zbawienie” – mówi

<sup>1</sup> G. Strzelczyk, *Po co zbawienie? Po co Kościół?*, w: Z. Nosowski (red.), *Wielkie tematy teologii*, Warszawa b.r.w., s. 24–27.

pastor<sup>2</sup>. Mylił się pastor Hubina, myśląc, że na zbawienie trzeba zasłużyć jakimś egzaminem polegającym na konieczności cierpienia. Że trzeba je cierpieniem okupić. „Zasłużyliśmy” już na zbawienie wszyscy – naszym grzechem. I nie trzeba żadnej innej zasługi, by przyszedł Zbawca. Grzech jest naszą „zasługą”.

Niedawno na pewnej konferencji naukowej jeden ksiądz dzielił się swoimi wrażeniami z reakcji na homilię, którą wygłosił w adwentową niedzielę. A mówił wtedy o sensie prezentów pod choinkę. Że ich istotą jest darmowość, bo darmowe jest zbawienie. Że nie daje się ich nikomu „za coś”, na przykład za to, że ktoś był grzeczny. Prezenty pod choinką to nie powinna być nagroda za przyzwoitość czy dobre, przykładowe życie, ale dary – coś darmowego, niezasłużonego, co daje się bez względu na kondycję obdarowywanego. Ich sensem jest to, że się na nie „nie zasługuje”.

Mówił ów kaznodzieja, że teza ta wywołała negatywne reakcje. Że to takie niewychowawcze, bo przecież rozsądza cały mikołajowo-choinkowy system prezentów oparty na pytaniu: „A byłeś grzeczny?”. Ale ten ksiądz miał rację. Tak właśnie działa Bóg. Ofiaruje nam swoje zbawienie, zanim cokolwiek zrobimy, by je otrzymać. Nie, ten rodzący się już niedługo w Betlejem Bóg nie będzie pytał: „A byłeś grzeczny?”. Bo wie, że nie byliśmy. I właśnie dlatego przychodzi. Do niegrzecznych, bo grzeczni nie potrzebują wybawienia. „Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają” (Mt 9,12).

Przyjdź, Panie Jezu, bo się źle mamy!

18 GRUDNIA 2016

<sup>2</sup> K.L. Koniński, *Straszny czwartek w domu pastora*, w: tegoż, *Pisma wybrane*, Warszawa 1955, s. 30.

## Wpatrzeni w Baranka

Nazajutrz [Jan] zobaczył podchodzącego ku niemu Jezusa i rzekł: „Oto Baranek Boży, który gładzi grzech świata. To jest Ten, o którym powiedziałem: Po mnie przyjdzie Mąż, który mnie przewyższył godnością, gdyż był wcześniej ode mnie. Ja Go przedtem nie znałem, ale przyszedłem chrzczyć wodą w tym celu, aby On się objawił Izraelowi”. Jan dał takie świadectwo: „Ujrzałem Ducha, który zstępował z nieba jak gołębica i spoczął na Nim. Ja Go przedtem nie znałem, ale Ten, który mnie posłał, abym chrzczył wodą, powiedział do mnie: «Ten, nad którym ujrzysz Ducha zstępującego i spoczywającego na Nim, jest Tym, który chrzci Duchem Świętym». Ja to ujrzałem i daję świadectwo, że On jest Synem Bożym” (J 1,29–34).

Kiedy Jezus będzie umierał na krzyżu, będzie godzina dziewiąta według żydowskiej rachuby czasu, czyli nasza piętnasta, trzecia po południu. Jak wiadomo, św. Jan sytuuje dzień śmierci Jezusa na krzyżu w tzw. Dzień Przygotowania, a więc jeden dzień wcześniej niż pozostali Ewangeliści, którzy przyjęli, że Jezus umarł w samo Święto Paschy. To właśnie w Dzień Przygotowania przynoszono do świątyni baranki paschalne. W relacji św. Jana pora zabijania baranków ofiarnych w Świątyni Jerozolimskiej pokrywa się czasowo z chwilą ukrzyżowania Jezusa. To właśnie o tym będziemy śpiewać w orędziu paschalnym:

„Oto są bowiem święta paschalne, w czasie których zabija się prawdziwego Baranka, a Jego krew poświęca domy wierzących”. Teologiczny zamysł Jana jest jasny: Jezus jest Barankiem Bożym, a Jego ofiara zastępuje wszystkie dotychczasowe.

Już nie trzeba będzie składać w ofierze żadnych baranków, ponieważ On jest jedynym Barankiem. Nie bez przyczyny Jan Chrzciciel przedstawia więc Jezusa, gdy ten pojawia się nad Jordanem, aby przyjąć chrzest, słowami: „Oto Baranek Boży, który gładzi grzech świata” (J 1,29). Jezus już na początku swojej działalności zostaje światu objawiony jako Baranek. Ten obraz pojawi się jeszcze raz u św. Jana, tym razem w Księdze Objawienia, czyli w Apokalipsie. Na końcu historii świata ukaże się „Baranek zabity”, a jednocześnie stojący, który „jest godzien otrzymać potęgę i bogactwo, i mądrość, i moc, i cześć, i chwałę, i błogosławieństwo” (Ap 5,12). Ten paradoks śmierci i życia Baranka tak oto wyraża jedna z prefacji wielkanocnych: „Raz ofiarowany więc nie umiera, lecz zawsze żyje jako Baranek zabity”.

Czy świadkowie tego wydarzenia – a przecież do Jana ciągnęły tłumy, aby je ochrzcił – mieli świadomość, o czym Jan mówi? Nie przypuszczam. Były to słowa tak samo niezrozumiałe jak te, które wypowiedział Jezus o zburzeniu Świątyni Jerozolimskiej. A przecież są to słowa niezwykle ważne, skoro weszły na stałe do chrześcijańskiej liturgii. Każdej niedzieli i w każde święto powtarzamy je w hymnie *Chwała na wysokości*, a przed Komunią Świętą trzy razy je wypowiadamy podczas każdej Mszy św. Dwa razy mówimy „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami” i raz dodajemy: „obdarz nas pokojem”. Ale co to znaczy „gładzić grzechy świata”? Mieli prawo nie rozumieć tego współcześnie Jezusowi. Ale czy my te słowa rozumiemy? Co to znaczy, że Jezus jest Barankiem, który gładzi grzechy świata?

Jak to często bywa, problem z poprawnym rozumieniem słów Biblii czy liturgii tkwi w języku. Polskie słowo „gładzić”, które w tym miejscu pojawia się w Biblii, nie należy do zbyt często używanych. Nawet słowniki zaznaczają, że to wyraz dawny albo książkowy. Rzeczywiście, rzadko mówimy dzisiaj, a jeśli już, to bardzo podniośle, że ktoś

kogoś zgładził. Jako synonim do „zgładzić” słowniki podają czasownik „unicestwić”, co sugeruje jakąś radykalność, ostateczność, całkowitość. Zgładzić to jakby zamienić kogoś w nic, obrócić w nicość. Jeśli pomyślimy o zagładzie Żydów, to chodziło właśnie o to: nie tylko wymordować, ale unicestwić, zetrzeć z powierzchni ziemi, zamienić w nicość. Czy znaczy to, że Jezus unicestwia nasze grzechy? W pewnym sensie tak, ale to nie jest cała prawda o Jezusie Baranku.

Z pomocą przychodzi nam język łaciński. U św. Hieronima w Wulgacie Jan tak mówi o Jezusie: *ecce agnus Dei qui tollit peccatum mundi*. Czasownik *tollo*, *-ere* (od którego zresztą pochodzi także słowo tolerancja) oznacza najpierw „podnieść”, a także „wziąć na siebie”, a dopiero potem „usunąć, oddalić, wymazać, zniszczyć”. To właśnie mówi Jan: Oto Baranek Boży, który bierze na siebie grzechy świata. Na ramionach tego Baranka zostanie złożony grzech całego świata, a On ten grzech poniesie i podniesie na wysokość krzyża, a tym samym ten grzech zgładzi, unicestwi. Ta właśnie myśl kryje się w słowach, które wypowiadamy przed Komunią, i w tych, które śpiewamy w hymnie *Chwała na wysokości*.

Kościół każe czytać dzisiejszą Ewangelię prawie na początku roku kalendarzowego. To oczywiście chronologia wynikająca z biografii Jezusa, zaraz po świętowaniu Jego Narodzenia „przeskakujemy” trzydzieści lat i wkraczamy w okres Jego publicznej działalności. Ale to dobrze, że tę Ewangelię czytamy na początku roku. Kościół przypomina nam przez to, abyśmy nie tracili z oczu tego, co najważniejsze: zbawienia. Po to przyszedł Jezus – by ponieść nasze grzechy. Bez tej fundamentalnej perspektywy Jezus staje się kimś zupełnie innym. Można w Nim widzieć uchodźcę, nauczyciela, mistrza, cudotwórcę, mędrca czy filozofa, ale to wszystko jest w gruncie rzeczy drugorzędne.

Ma rację ks. prof. Józef Naumowicz, gdy mówi w jednym z wywiadów, że „nieuprawnione było mówienie niegdyś o Chrystusie jako rewolucjoniście czy pierwszym komunście”<sup>1</sup>. Ale dopowiedzmy, że równie

<sup>1</sup> Za: <https://ekai.pl/ks-naumowicz-nie-nalezy-mowic-o-jezusie-jako-uchodzcy/>.

nieuprawnione jest mówienie o Jezusie jako protagoniście wolnego rynku i człowieku, który wzywał do ekonomicznego sukcesu. Ewangelię, jeśli się chce, da się przykroić do własnych oczekiwań, a Jezusa uczynić jakimś życiowym modelem. Jezus jednak nie jest ani komunistą z karabinem, ani maklerem giełdowym, choć pewno ktoś mógłby Go takim widzieć, choćby z perspektywy przypowieści o talentach, którą weźmie się za wykład z ekonomii ziemskiej, a nie z ekonomii zbawienia.

Ale ta Ewangelia mówi także o nas, o naszej perspektywie na nowy rok. Mój ojciec duchowny z czasów, gdy mieszkalem w Konwiktach Księży Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, ks. prof. Adam Ludwik Szafranski, często powtarzał na swoich konferencjach dla nas: „Pamiętaj, że jesteś zba-wio-nym!”. To słowo „zbawionym” dzielił na sylaby, żeby jeszcze bardziej uwidocznić jego sens. Może to właśnie jemu zawdzięczam kształt mojej wiary, dla której słowo „zbawienie” jest kluczowe. Wkraczamy w ten nowy rok jako mężczyźni i kobiety, księża i świeccy, pracujący i bezrobotni, synowie i ojcowie, matki i córki, zwolennicy PiS-u, KOD-u albo przeciwnicy obu tych formacji. Różnimy się w kwestii Trybunału Konstytucyjnego i roli Unii Europejskiej. Dzieli nas Smoleńsk, Okrągły Stół i wiele jeszcze innych spraw. Ale jedno jest wspólne dla nas wszystkich mieszkających w Polsce: Polaków i imigrantów. Jesteśmy zba-wie-ni. I tacy właśnie zaczynamy nowy rok. Wszyscy tak samo: wpatrzeni w Baranka, który gładzi nasze grzechy. Nasze to znaczy wszystkich, każdego z nas, bez względu na cokolwiek.

## Co się wydarzyło nad Jeziorem Galilejskim?

Gdy [Jezus] posłyszał, że Jan został uwięziony, usunął się do Galilei. Opuścił jednak Nazaret, przyszedł i osiadł w Kafarnaum nad jeziorem, na pograniczu [ziem] Zabulona i Neftalego. Tak miało się spełnić słowo proroka Izajasza: „Ziemia Zabulona i ziemia Neftalego, na drodze ku morzu, Zajordanie, Galilea pogan! Lud, który siedział w ciemności, ujrzał światło wielkie, i mieszkańcom cienistej krainy śmierci weszło światło”.

Odtąd począł Jezus nauczać i mówić: „Nawracajcie się, albowiem bliskie jest królestwo niebieskie”.

Przechodząc obok Jeziora Galilejskiego, [Jezus] ujrzał dwóch braci: Szymona, zwanego Piotrem, i brata jego, Andrzeja, jak zarzucali sieć w jezioro; byli bowiem rybakami. I rzekł do nich: „Pójdźcie za Mną, a uczynię was rybakami ludzi”. Oni natychmiast, zostawiwszy sieci, poszli za Nim.

A idąc stamtąd dalej, ujrzał innych dwóch braci: Jakuba, syna Zebedeusza, i brata jego, Jana, jak z ojcem swym Zebedeuszem naprawiali w łodzi swe sieci. Ich też powołał. A oni natychmiast zostawili łódź i ojca i poszli za Nim.

I obchodził Jezus całą Galileę, nauczając w tamtejszych synagogach, głosząc Ewangelię o królestwie i lecząc wszelkie choroby i wszelkie słabości wśród ludu (Mt 4,12–23).



Jakub i Jan „zostawili łódź i ojca i poszli za Nim” (Mt 4,22). Święty Marek doda jeszcze, że wraz z ojcem i łodzią zostawili najemników (por. Mk 1,20). Dwaj inni bracia, Piotr i Andrzej, też „zostawiwszy sieci, poszli za Nim” (Mt 4,20). Co jeszcze zostawili prócz pracy i zarobku? Na pewno domy, w których zostały rodziny, Piotr miał przecież żonę, skoro miał teściową. Zostawili to wszystko i poszli za Nim „natychmiast”, to znaczy bez ociągania się, bez wahania, bez wątpliwości. On rzekł „Pójdźcie ze Mną” (Mt 4,19), a oni poszli. On im zapowiedział „uczynię was rybakami ludzi”, a oni uwierzyli w te przedziwne słowa. Co takiego wydarzyło się nad Jeziorem Galilejskim, że ci praktyczni mężczyźni nagle porzucili pracę, a więc pieniądze, pewność i stabilizację, porzucili dom, a więc bezpieczeństwo, porzucili bliskich, a więc rodzinę dającą w życiu wsparcie, i poszli za Nim?

Jeśli chodzi o Piotra i Andrzeja, to nie było ich pierwsze spotkanie z Jezusem. Przecież spotkali już Go nad Jordanem, gdy przyjmował chrzest od Jana. To Andrzej był tym, który przyprowadził do Jezusa swego brata, Piotra. Kiedy nad Jordanem usłyszeli, jak Jan mówi o Jezusie, że jest Barankiem Bożym, poszli za Nim, „zobaczyli, gdzie mieszka, i tego dnia pozostali u Niego” (J 1,39). Jeszcze jednak nie pozostali na zawsze, prawdopodobnie nazajutrz wrócili do siebie, choć już nie do Jana Chrzciciela, ale do codziennych zajęć. To właśnie wtedy, przy pracy, Chrystus ich wezwał słowami: „Pójdźcie za Mną” (Mt 4,19). Już teraz pozostaną z Nim na zawsze, do śmierci i wniebowstąpienia.

W tamtym czasie w Palestynie wielu było nauczycieli i mistrzów. Można było sobie wybrać duchowego przewodnika, mędrca, któremu się zaufa, przywódcę, któremu powierzy się los. Po ziemi izraelskiej chodziło wielu nauczycieli, którzy wędrowali ze swoimi uczniami. Takim nauczycielem był także Jan Chrzciciel, który miał swoich uczniów, swoją duchową szkołę. Tak też Andrzej i Piotr najpierw potraktowali Jezusa. Gdy po raz pierwszy poszli za Nim, zwrócili się do Niego: „Rabbi”, to znaczy: Nauczycielu (por. J 1,38). I poszli zobaczyć, gdzie mieszka. Tamto „powołanie” wcale nie było jeszcze powołaniem. Oni poszli za Nim z własnej inicjatywy. To oni Jego wybrali,

a nie On ich. „Czego szukacie?” (J 1,38) – pytał Jezus. Bo to oni Go szukali, a nie On ich. Prawdziwe powołanie dokona się dopiero nad Jezusem Galilejskim, gdy inicjatywa będzie wyłącznie po stronie Jezusa: przechodząc, ujrzał i rzekł. Jezus nie był jak inni nauczyciele, których można sobie było wybrać. Jezus jest jedynym nauczycielem, który sam dokonuje wyboru. Jedynym, kto ma prawo decydować o czyimś życiu, zarządzać czyimś losem.

Dzisiaj się bardzo dużo mówi o tzw. Kościele wyboru. Samo pojęcie oczywiście nie jest fałszywe. Używa się go, by opisać nową formę przynależności do Kościoła. Kiedyś dominował tzw. Kościół tradycji. W katolickim środowisku człowiek stawał się katolikiem niejako w sposób naturalny, dziedziczył wiarę po rodzicach i przodkach, czasami niezbyt się nawet nad tym dziedzictwem zastanawiając. Dzisiaj coraz częściej mówi się, że nie tylko Kościół trzeba świadomie wybrać, ale że trzeba także wybrać Jezusa i ogłosić Go swoim osobistym Panem. Czasami, niestety, zamiast prawdziwego Jezusa z Ewangelii tym wybranym Jezusem jest – jak w piosence zespołu Depeche Mode – trochę taki *Personal Jesus*, „Twój własny, osobisty Jezus”. Niby wszystko w porządku, ale to przecież tylko taki Jezus na zawołanie:

Przy telefonie  
Zbawię cię  
Podnieś słuchawkę  
A sprawię, że uwierzysz  
Wiesz, że łatwo wybaczam  
Sięgnij po wiarę i dotknij jej

Jezus, w którego wierzymy, nie jest Jezusem naszego ułomnego wyboru, ale Jezusem, który wybiera nas. U Jezusa, którego sami sobie wybrali, Andrzej i Piotr zostali jeden dzień, no, może kilka, ale przecież wrócili do siebie, do dawnych zajęć. U Jezusa, który ich wybrał, Andrzej i Piotr zostali już na zawsze. Nie, w wierze nie chodzi o to, by sobie Jezusa wybrać, bo wybór taki będzie zawsze wyborem

według własnych kryteriów. To będzie zawsze jakiś „osobisty” Jezus. Chodzi o to, by się dać Mu uwieść – jak w miłości od pierwszego wejścia. Ale w tej miłości nie chodzi o to spojrzenie, którym my na Niego patrzymy. Chodzi o Jego spojrzenie na nas. Tam, nad jeziorem, to nie oni Go zobaczyli, to On ich ujrzał. I było to spojrzenie, któremu nie mogli się oprzeć.

W encyklice *Spe salvi* papież Benedykt XVI pisze: „chrześcijańskie orędzie nie tylko «informuje», ale również «sprawia». Oznacza to: Ewangelia nie jest jedynie przekazem treści, które mogą być poznane, ale jest przesłaniem, które tworzy fakty i zmienia życie”<sup>1</sup>. Słowa Jezusa sprawiały i zmieniały ludzkie życie. Tak przecież było nad jeziorem, gdy spotkał tych rybaków przy sieciach. Czy dzisiaj siła Jego słów jest taka sama? Czy dzisiaj już słowa Jezusa nie uwodzą? Jeden z teologów reformowanych, Timothy Keller, pisze: „Jeżeli nauczanie naszych duchownych i działania naszych parafian nie mają takiego samego wpływu na ludzi jak nauczanie Jezusa, [to znaczy, że] nie przekazujemy tego samego przesłania co On”<sup>2</sup>. To bardzo oskarżycielska teza. Przecież słowa Jezusa nie straciły mocy, a Ewangelia wciąż sprawia nowe życie. Problem polega tylko na tym, że Jezusowa Ewangelia dociera do współczesnych ludzi już nie bezpośrednio z ust Jezusa, ale za naszym pośrednictwem, to znaczy przez słowo Kościoła. Może to już nie jest słowo Jezusa i Jego Ewangelia?

A może problem jest gdzie indziej? Może spojrzenie Kościoła zbyt rzadko jest już spojrzeniem Jezusowym? Może Kościół, który patrzy na człowieka, nie uwodzi swym wzrokiem?

Jak wiemy, Jezus jeszcze raz spojrzy na Piotra. A będzie to na dziedzińcu arcykapłana, w chwilę po tym, gdy Piotr się Go zaprze. Może wtedy uczeń przypomni sobie to pierwsze spojrzenie znad jeziora Genesaret? Bo czy szukamy Jezusa, czy też może Go zdradzamy, On patrzy

<sup>1</sup> Benedykt XVI, Encyklika *Spe salvi*, Rzym 2007, 2.

<sup>2</sup> T. Keller, *Bóg marnotrawny. Powrót do istoty wiary chrześcijańskiej*, tłum. A. Dominowska, Starogard Gdański 2013, s. 36.

wciąż tak samo. I jeszcze jedno. Jezusowe spojrzenie uwodzi, ale przecież nie zniewala. Na bogatego młodzieńca Jezus też spojrzy z miłością. I też mu powie „chodź za Mną”. Ale ten – jak wiemy – „spochmurniał [...] i odszedł zasmucony, miał bowiem wiele posiadłości” (Mk 10,21–22). Wiara jest dla ryzykantów. Dla tych, którzy gotowi są powierzyć się słowu, porzucając wszystko, co dotychczas dawało gwarancję życiowego bezpieczeństwa. Jezus patrzy wciąż tak samo. Tylko my mamy coraz cięższe sieci i coraz większe łódki. I coraz więcej do stracenia.

22 STYCZNIA 2017

## Staruszka na pasach, czyli jak uratować cywilizację europejską?

Wy jesteście solą ziemi. Lecz jeśli sól utraci swój smak, czymże ją posolić? Na nic się już nie przyda, chyba na wyrzucenie i podeptanie przez ludzi. Wy jesteście światłem świata. Nie może się ukryć miasto położone na górze. Nie zapala się też lampy i nie umieszcza pod korcem, ale na świeczniku, aby świeciła wszystkim, którzy są w domu. Tak niech wasze światło jaśniej przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwaliłi Ojca waszego, który jest w niebie (Mt 5,13–16).

I znów muszę się do czegoś przyznać. Nie lubię tych „dobrych uczynków”, które pojawiają się w dzisiejszej Ewangelii. Zawsze dla mnie brzmiały infantylnie. Dobre uczynki zadaje się dzieciom za pokutę albo zbiera przed Bożym Narodzeniem, a potem zapisuje na serduszkach i wkłada do pustego żłóbka. Tak przynajmniej było w czasach mego dzieciństwa. Zresztą zachęca nas do tego sam Kościół, który w kolekcje na I Niedzielę Adwentu podpowiada, „abyśmy przez dobre uczynki przygotowali się na spotkanie przychodzącego Chrystusa”. Kiedy myślę o dobrych uczynkach, to natychmiast przed oczami widzę staruszkę, którą trzeba przeprowadzić na drugą stronę jezdni. Określenie „dobre uczynki” brzmi, jakby pochodziło z katechizmu dla małych dzieci.

Ale ostatnio się nawróciłem na te „dobre uczynki”. Uświadomiłem sobie, że ten przykład ze staruszką wcale nie jest ani zły, ani taki znowu infantylny. 18 stycznia w internecie pojawił się film, na którym widać, jak policjant zatrzymuje ruch, aby przeprowadzić starszą kobietę. Bezsukutecznie próbowała przejść przez jedną z ulic w Legnicy w miejscu, gdzie nie ma pasów. Funkcjonariusz, który przeprowadził kobietę przez jezdnię, woli pozostać anonimowy. Tłumaczy, że każdy policjant zrobiłby to na jego miejscu. Film podbija internet, a policjant dostał nagrodę za wzorową postawę w służbie na rzecz społeczeństwa.

Kilka dni później, 23 stycznia, w tejże samej Legnicy starsza kobieta stoi oparta o łaskę i boi się przejść przez oblodzony Rynek. Kilkakrotnie próbuje ruszyć z miejsca. Z monitoringu Straży Miejskiej widać, jak mijają ją ludzie: młodzi i starzy. Tak jak się omija przeszkodę. Po kilku minutach do starszej osoby podchodzi kobieta w czerwonym płaszczu. Na nagraniu widać, jak chwilę rozmawiają. W końcu jedna bierze drugą pod rękę i razem pokonują oblodzoną jezdnię. Pisano, że prezydent Legnicy szukał kobiety, by jej osobiście podziękować.

I jeszcze jeden przykład. Tym razem z Poznania. Na ulicy Głogowskiej motorniczy tramwaju nagrał niecodzienną sytuację. Jadący przed nim policyjny radiowóz zatrzymał się na środku drogi. Policjant wyszedł z auta i pomógł przejść przez ruchliwą ulicę starszemu mężczyźnie. Jak mówi motorniczy, chciał upublicznić nagranie, które pokazuje zachowanie godne szacunku.

W tych trzech sytuacjach najbardziej uderza fakt, że to, co powinno być ludzkim odruchem, uznaje się za coś niezwykle, nadzwyczajnego, wręcz bohaterskiego, za co należy dawać nagrody czy składać podziękowanie w imieniu prezydenta miasta, a co samo w sobie jest godne pochwały. To straszne, że bycie człowiekiem zaskakuje. Że to, co powinno być odruchowym dobrem okazywanym drugiemu człowiekowi, jest dzisiaj czymś nietypowym. Oto dożyliśmy takich czasów, że bohaterstwem stają się dobre uczynki, a przykłady ze staruszką na pasach – jak się okazuje – aktualne są jak rzadko kiedy. Ale nawet jeśli popyt na tzw. dobre uczynki nie maleje, to w dzisiejszej Ewangelii

chodzi jednak chyba o coś więcej niż chwalebne skądinąd przeprowadzanie staruszków przez ulicę.

Aby dobrze zrozumieć wezwanie Chrystusa, trzeba zajrzeć do oryginału greckiego Ewangelii według św. Mateusza. Tam, gdzie język polski ma słowo „dobry” (dobre uczynki), a św. Hieronim w Wulgacie przetłumaczył na *bonus* (*bona opera*), tam w języku greckim jest słowo *kalós* (*kala erga*). To greckie słowo *kalós* ma dwa znaczenia. Można je przetłumaczyć jako „dobry”, ale także jako „piękny”. W przypadku tej wypowiedzi tłumacze zawsze wybierają słowo „dobry”, chcąc podkreślić etyczny wymiar naszych czynów. Wszystkie nasze dzieła, nasze czyny, bo nie tylko owe specjalne „uczynki” zadawane za pokutę, mają być dobre. Wydaje mi się jednak, że te czyny mają być nie tylko dobre, ale także piękne, skoro – jak mówi Jezus – nasze światło ma jaśnieć przed ludźmi po to, aby je widzieli. To właśnie piękno jaśnieje, piękno świeci.

A nie wiem, czy wiecie, że „świecić” to po grecku *lampó*. Mamy dzisiaj świecić – mówi Jezus, mamy być lampami. Tymi lampami, których się „nie umieszcza pod korcem, ale na świeczniku, aby świeciły wszystkim, którzy są w domu” (Mt 5,15). Czyny dobre i piękne oświecają świat. Czynią go i lepszym, i piękniejszym. Są jak światło w ciemnościach, jak słońce w południe. A jakie to są czyny? Wystarczy przytoczyć raz jeszcze czytanie z Księgi Izajasza: „Dziel swój chleb z głodnym, do domu wprowadź biednych tułaczy, nagiego, którego ujrysz, przyodziej i nie odwracaj się od współziomków” (por. Iz 58,7). Niby proste. A jak się okazuje, wciąż nie udaje się utworzyć korytarzy humanitarnych, by sprowadzić z Syrii tych, co potrzebują natychmiastowej opieki.

Byłem ostatnio na konferencji o cywilizacji europejskiej. Mówiono dużo, że wyrosła z chrześcijaństwa i że trzeba jej bronić. Trochę biadolono, że przyjdą inni i nam ją zniszczą. Na pytanie, czym się dzisiaj wyróżnia cywilizacja europejska, padła bardzo niepokojąca odpowiedź. To cywilizacja indywidualistów, ludzi zorientowanych przede wszystkim na siebie, swój rozwój, szczęście, samospełnienie. Inne cywilizacje, w tym islamska, są o wiele bardziej wspólnotowe, nastawione na

rodzinę, ród, plemię, a nawet społeczność sąsiedzką. Mówiąc inaczej, ci ludzie żyją bardziej z innymi i dla innych niż wyłącznie dla siebie. My też kiedyś tacy byliśmy. Kiedyś. Nie ma nic odkrywczego w stwierdzeniu, że wspólnocie sprzyja – mówiąc krótko – bieda, a poczucie ekonomicznej i socjalnej stabilizacji czyni ludzi niepotrzebnymi. Chodziliśmy do sąsiada, gdy brakowało cukru albo soli. Dzisiaj mamy domowe zapasy i Biedronkę. Samowystarczalność prowadzi do indywidualizacji, inni ludzie stają się dzisiaj po prostu mniej potrzebni.

„Wy jesteście solą ziemi” – mówi dzisiaj Jezus. Sól ma wielorakie zastosowanie w kuchni. Nadaje smak, ale także konserwuje – podobnie jak kwas i cukier. Ze względu na wysoką temperaturę na Bliskim Wschodzie kwaśnić się żywności nie dawało, a cukier produkowany z trzciny był wówczas mało znany i bardzo drogi. Pozostawała sól, by zakonserwować żywność.

To my mamy być dzisiaj tą konserwującą solą dla świata, choćby dla naszej cywilizacji europejskiej. Jak ją uratować, jak ją zakonserwować, by przetrwała? Nie trzeba wiele. Pierwszy krok to zacząć siebie nawzajem zauważać. Potrzebować ludzi wtedy, kiedy się ich nie potrzebuje. Zapukać do sąsiada wtedy, gdy się nic nie chce od niego pożyczyć. Przestać się mijać obojętnie. Przywrócić wspólnocie ważne miejsce w naszym życiu. I nie czekać na odważnego policjanta czy kobietę w czerwonym płaszczu, żeby pomóc komuś na ulicy. Bo do tego nie trzeba żadnej nadzwyczajnej odwagi, jeno krzty zwykłego człowieczeństwa.

5 LUTEGO 2017



## Rozbrajanie zła

Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb! A Ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu; lecz jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi. Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstąp i płaszcz. Zmusza cię ktoś, żeby iść z nim tysiąc kroków, idź dwa tysiące. Daj temu, kto cię prosi, i nie odwracaj się od tego, kto chce pożyczyć od ciebie.

Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela swego będziesz nienawidził. A Ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują, abyście się stali synami Ojca waszego, który jest w niebie; ponieważ On sprawia, że słońce Jego wschodzi nad złymi i nad dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Jeśli bowiem miłujecie tych, którzy was miłują, cóż za nagrodę mieć będziecie? Czyż i celnicy tego nie czynią? I jeśli pozdrawiacie tylko swych braci, cóż szczególnego czynicie? Czyż i poganie tego nie czynią? Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski (Mt 5,38–48).

Jeśli chodzi o wezwania moralne, to dzisiejsza Ewangelia należy do najtrudniejszych. Idzie pod prąd temu, co w człowieku odruchowe.

Myślenie: „...nieprzyjaciela swego będziesz nienawidził” (Mt 5,43) – to wydaje się przecież takie naturalne. Na co zasługuje nieprzyjaciół?

Przecież nie na miłość... Tak nam podpowiada – no właśnie, co? Serce, rozum, zbiorowa mądrość, doświadczenie czy może to, co w człowieku najbardziej pierwotne: instynkt samozachowawczy? Zasada „oko za oko, ząb za ząb” – a dalej było jeszcze: „rękę za rękę, nogę za nogę, oparzenie za oparzenie, ranę za ranę, siniec za siniec” (Wj 21,24–25) – wydaje się właściwą strategią. Prawo odwetu (*ius talionis*), znane już z Kodeksu Hammurabiego, opierało się na prostej zasadzie równości: kara miała być identyczna ze skutkiem przestępstwa. Dlatego Bóg mówił już w przymierzu zawartym z Noem: „[Jeśli] kto przeleje krew ludzką, przez ludzi ma być przelana krew jego” (Rdz 9,6).

Czy chodziło w tym tylko o karę, która miała zaspokoić społeczne poczucie sprawiedliwości? Zapewne nie. Chodziło także o – jak to się dzisiaj mówi – prewencję, o zapobieżenie eskalacji zła. Kara miała stanowić nauczkę na przyszłość, a gdy była to kara śmierci – uwalniała społeczeństwo od tego, kto okazał się jego wrogiem. Zapewne była też jakąś przestrogą dla innych, ale dobrze wiemy z historii, że strach przed karą, nawet karą śmierci, nie zawsze bywa skutecznym motywem zmiany, naprawy czy porzucenia zła. Recydywiści byli i pewno będą, także tam, gdzie kara śmierci wciąż jest orzekana i wykonywana.

Jezus proponuje dzisiaj inną strategię: strategię walki ze złem, a nie z wrogiem; z nienawiścią, a nie z nienawistnikiem. Co więcej, nie chodzi o to, by zło pokonać jeszcze większym złem, a nienawiść silniejszą nienawiścią – bo to może prowadzić jedynie do eskalacji zła i nienawiści. Jezus proponuje strategię zupełnie nową: zło w nieprzyjacielu można pokonać, jedynie zawstydzając go dobrem. I o tym jest dzisiejsza Ewangelia.

W czytanim dzisiaj fragmencie zawsze mnie intrygowało wezwanie Jezusa: „Nie stawiajcie oporu złemu” (Mt 5,39). Przecież opór stawiany złemu to jeszcze nie odwet ani nienawiść, to przecież tylko słuszną obronę. Dokładna lektura tekstu rzuca wiele światła. Użyty tutaj grecki czasownik *anthistēmi* oznacza dosłownie „stanąć naprzeciw komuś”, a bardziej przenośnie „przyjąć przeciwną postawę”. Słowo to wzięte jest z greckiej terminologii wojskowej, gdzie znaczyło „zdecydowanie oprzeć się wrogowi”. W ten sposób opisywano sytuację silnego, zbrojnego

oporu w walce. Jeśli tak, to Jezusowe słowa należałoby przetłumaczyć: „nie przeciwstawiaj się gwałtownie temu, kto czyni zło” albo „nie reaguj gwałtownie przeciwko temu, kto jest zły”. I to jest pierwsza, bardzo trudna lekcja z dzisiejszej Ewangelii: twoim wrogiem nie jest człowiek, ale zło, które ten człowiek uczynił. Właśnie dlatego masz się powstrzymać od przemocy, od odwetu i stawiania oporu, a zamiast tego masz go kochać i za niego się modlić. Bo trzeba pokonać zło, oszczędzając człowieka. „Miłość, choć zraniona, jest jedyną siłą zdolną przezwyciężyć zło” – jak mówi Adrian Leske, kanadyjski biblista<sup>1</sup>.

I Jezus mówi, jak to robić, dając trzy bardzo praktyczne przykłady. Pierwszy dotyczy szaty. Według Prawa (Wj 22,26–27) wierzyciel nie mógł zabrać swojemu dłużnikowi szaty wierzchniej na dłużej niż jeden dzień, „bo jest to jedyna jego szata i jedyne okrycie jego ciała podczas snu”. Jezus odwołuje się tutaj do sytuacji, gdy prawdopodobnie ten zwyczaj prawny naciągano i biednemu dłużnikowi zabierano także spodnią szatę, czyli tunikę. Jezus radzi, aby zostawić wierzycielowi – ku jego zawstydzeniu – także płaszcz, do którego nie ma prawa: Zabrałeś tunikę? Weź też i płaszcz!

Drugi przykład dotyczy rzymskiej praktyki zwanej *angaria*, według której rzymscy żołnierze mieli prawo zmusić każdego przechodzącego człowieka do niesienia ekwipunku na odległość nie większą niż mila (tysiąc kroków). To właśnie dlatego żołnierze mieli prawo przymusić niejakiego Szymona z Cyreny, aby niósł krzyż Jezusa. Ta praktyka wzmacniała raczej wzajemną niechęć niż życzliwość. A Jezus radzi: idź z nim już nie miłą, ale dwie, i nie z przymusu, lecz z ochoty, a w ten sposób go zawstydzisz i jego niechęć zamienisz przynajmniej w zaskoczenie. Nic tak nie zbija z pantałyku jak reakcja przeciwna od spodziewanej.

A trzeci przykład to pożyczanie temu, kto być może nie będzie nigdy w stanie zwrócić tego, co pożyczone. Często za taką pożyczką

<sup>1</sup> A. Leske, [Komentarz do:] *Ewangelia według św. Mateusza*, w: *Międzynarodowy Komentarz do Pisma Świętego. Komentarz katolicki i ekumeniczny na XXI wiek*, Warszawa 2000, s. 1154.

kryje się chęć wyłudzenia. Jak wiadomo, trudniej jest pożyczyć ze świadomością, że się prawdopodobnie nigdy nie otrzyma zwrotu, niż wspaniałomyślnie ofiarować. A wszystko to zamyka się w metaforze nadstawionego policzka, która obrazuje zupełnie inną reakcję na nienawiść niż spodziewana. I to jest druga lekcja, którą daje nam dzisiaj Jezus: zła nie pokonuje się większym złem, lecz jedynie dobrem. Zło, na które odpowiadamy złem, jedynie jeszcze bardziej się zbroi. Ale zło, które zostaje zaskoczone i zawstydzone dobrem, zostaje rozbrojone.

Fryderyk Nietzsche, którego trudno posądzać o nadmierną miłość do chrześcijaństwa i Chrystusa, powiedział, że słowa „Nie stawiajcie oporu złemu”<sup>2</sup> tzn. do Ewangelii. Tak, wszystko inne znajdziemy w wielu mądrych książkach, ale miłość nieprzyjaciół jest autorskim pomysłem Chrystusa, choć przecież nie jest tak, że niezdolni są do niej niewierzący czy muzułmanie.

Wypadałoby teraz dać jakiś pobożny i budujący przykład tego, jak źli ludzie nawracają się w obliczu okazywanego im dobra, jak zmieniają się oprawcy, którym przebaczą ofiary, jak skruszeni wracają do domu ci, którym okazano miłosierdzie. Takich scen wiele dzieje się w amerykańskich sądach, ale także w krajach islamskich na placach, gdzie wykonuje się karę śmierci i gdzie niejednokrotnie przebaczenie matek czy ojców ratuje życie oprawcom ich dzieci. Ale wielkich przykładów nie będzie. Sami je sobie dopowiedzcie, bo te spektakularne przykłady są tak wielkie, że wydają się aż niedostępne i nieprawdziwe. Przyjrzyjcie się własnym domom i rodzinom, przyjaźniom i miłościom. I odpowiedzcie sobie szczerze, ile razy ocaliliście siebie nawzajem, boście dobrem odpłacili za zło, które czasami wydawało się wręcz nieprzebacalne?

19 LUTEGO 2017

<sup>2</sup> F. Nietzsche, *Antychrześcijanin: przekleństwo chrześcijaństwa*, tłum. G. Sowiński, Kraków 1999, s. 64.

## Nienasycenie

Wtedy Duch wyprowadził Jezusa na pustynię, aby był kuszony przez diabła. A gdy pościł już czterdzieści dni i czterdzieści nocy, poczuł w końcu głód. Wtedy przystąpił kusiciel i rzekł do Niego: „Jeśli jesteś Synem Bożym, powiedz, żeby te kamienie stały się chlebem”. Lecz On mu odparł: „Napisane jest: Nie samym chlebem żyje człowiek, ale każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych”.

Wtedy wziął Go diabeł do Miasta Świętego, postawił na szczycie narożnika świątyni i rzekł Mu: „Jeśli jesteś Synem Bożym, rzuć się w dół, napisane jest bowiem: Aniołom swoim da rozkaz co do ciebie, a na rękach nosić cię będą, byś przypadkiem nie uraził swej nogi o kamień”. Odrzekł mu Jezus: „Ale napisane jest także: Nie będziesz wystawiał na próbę Pana, Boga swego”.

Jeszcze raz wziął Go diabeł na bardzo wysoką górę, pokazał Mu wszystkie królestwa świata oraz ich przepych i rzekł do Niego: „Dam Ci to wszystko, jeśli upadniesz i oddasz mi pokłon”. Na to odrzekł mu Jezus: „Idź precz, szatanie! Jest bowiem napisane: Panu, Bogu swemu, będziesz oddawał pokłon i Jemu samemu służyć będziesz”. Wtedy opuścił Go diabeł, a oto przystąpili aniołowie i usługiwali Mu (Mt 4,1–11).

Kiedy kilka lat po kuszeniu Jezus będzie opowiadał przypowieść o synu marnotrawnym (por. Łk 15,11–32), być może będzie korzystał z własnego

doświadczenia głodu, który mu przyszło poczuć na pustyni. „A gdy pościł już czterdzieści dni i czterdzieści nocy, poczuł w końcu głód” (Mt 4,2). To właśnie wtedy przystąpił do Niego szatan. Nie na początku postu, lecz na końcu. Nie wtedy, gdy był najedzony i nasycony, ale wtedy, gdy „poczuł w końcu głód”. A gdy Jezus rozprawił się z diabłem, „przystąpili aniołowie i usługiwali Mu” (Mt 4,11). Pewnie przynieśli Mu też coś do jedzenia, ale zanim się to stało, Jezus poznał smak głodu, doświadczył nienasycenia.

Kiedy czytałem opis kuszenia Jezusa, od razu pomyślałem o synu marnotrawnym, który też „odczuł w końcu głód”, a dokładniej „zaczął cierpieć niedostatek”, gdyż „nastał ciężki głód w owej krainie” (Łk 15,14), gdzie przebywał, opuściwszy dom rodzinny. Użyty przez Łukasza czasownik *hysterēō* w stronie biernej należy przetłumaczyć jako „odczuwać niedostatek, czuć brak czegoś, cierpieć biedę”. Jak mówi słownik, ten stan braku pojawia się wtedy, gdy człowiek pozbawiony jest tego, co konieczne do życia. To ten moment, gdy nie można nasycić się tym, co życiodajne. Nienasycenie, czyli odwrotność sytości, dostatku, pełni. Taki moment przyszedł na syna marnotrawnego, który najał się nawet do pracy, zresztą poniżającej, ale niewiele to zmieniło, „pragnął [...] napełnić swój żołądek strąkami, którymi żywiły się świny, lecz nikt mu ich nie dawał” (Łk 15,16). Nie, jemu nikt nie usługiwał. To właśnie wtedy zdecydował się powrócić do domu.

„A więc co Cię skłoniło do powrotu? Mów” – zapyta go ojciec w opowiadaniu André Gide’a *Powrót syna marnotrawnego*<sup>1</sup>. „Nie wiem. Może lenistwo” – odpowie. „Lenistwo, mój synu! Jako to! A więc nie miłość?” – ojciec będzie dopytywać z wyrzutem. „W tym ubóstwie czułem się blisko Ciebie, Ojcze. [...] Ojcze, powiedziałem Ci, że nigdy mocniej Cię nie kochałem jak na pustyni. Ale każdego dnia dręczyła mnie troska o pożywienie. W Domu przynajmniej dobrze się jada”. „A zatem przywiódł Cię głód” – konkluduje ojciec. Syn musiał poczuć

<sup>1</sup> A. Gide, *Powrót syna marnotrawnego*, w: tegoż, *Próba miłosna, czyli traktat o czczej żądzy. Opowiadania*, tłum. I. Rogozińska, Warszawa 1992, s. 30.

niedostatek, przeżyć nienasycenie, by wrócić do ojca. Wiedział, że tam czeka go jedzenie, za którym kryje się ojcowska miłość.

Niewielu z nas wie, co to głód. Pamiętają go jeszcze najstarsi, którzy sięgają pamięcią do wojny, do lat biedy i niedostatku. W czasach Jezusa głód był na porządku dziennym. Wojny, katastrofy, klęski nieurodaju, brak współczesnych nam możliwości przechowywania jedzenia – wszystko to sprawiało, że głód był wciąż realnym niebezpieczeństwem. Głód i pragnienie były doświadczeniem dnia powszedniego. Ale starożytni ludzie wiedzieli, że głód jest ambiwalentny, podobnie jak nasylenie. Autor Księgi Przysłów zalecał więc umiar: „żyw mnie chlebem niezbędnym, bym syty nie stał się niewierny, i nie rzekł «A któż to jest Pan?»» lub z biedy nie zaczął kraść i nie targnął się na imię mego Boga” (Prz 30,8–9). Ten, kto głodny, wcale nie musi być bliżej Boga niż ten, kto jest nasycony. Głód może do Boga przyprowadzić, a może też od Niego odwrócić. Głód jest niebezpieczny nie tylko dla ciała, ale także dla duszy. A przynajmniej może taki być.

Rozpoczyna się Wielki Post. Wzorem Jezusa idziemy na pustynię po to, by w końcu odczuć głód. Głód jest stanem niebezpiecznym, stanem przesilenia. Prowadzi do kryzysu, to znaczy do sądu o nas samych. Gdy człowiek doświadcza głodu, przychodzi pokuszenie. Szatan o tym wiedział i właśnie dlatego wtedy przystąpił: „Jeśli jesteś Synem Bożym, powiedz, żeby te kamienie stały się chlebem” (Mt 4,3). Najesz się wtedy do woli. Przestaniesz odczuwać głód. Ale Jezus wiedział, że są dwa głody: „Nie samym chlebem żyje człowiek, ale każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych” (Mt 4,4) – odpowiada szatanowi. Owszem, jest głód chleba, ale jest także głód Boga. Jest nienasycenie fizyczne, ale jest także głód duchowy. Jezus się oparł, ale można równie dobrze to kuszenie przegrać. Wystarczy zobaczyć – jak to zrobiła Ewa – „że drzewo to ma owoce dobre do jedzenia, że jest ono rozkoszą dla oczu i że owoce tego drzewa nadają się do zdobycia wiedzy” (Rdz 3,6). I można dać się zwieść fałszywej obietnicy zaspokojenia. A potem się okazuje, że człowiek się najadł, ale głodu wcale nie nasycił.

Trzeba więc uważać, bo głód może być językiem Boga. Henry Alford, XIX-wieczny biblista, nawiązując do dwóch innych przypowieści o miłosierdziu, tak powie o głodzie syna marnotrawnego: „Ten głód jest jak pasterz poszukujący swej zbłąkanej owcy, jak kobieta, która zamiata, aby znaleźć to, co zginęło”<sup>2</sup>. A Simone Weil, wielka francuska filozofka, napisała: „Ktoś pije szklankę wody. Woda to «kocham cię» Boga. Przez dwa dni przebywa na pustyni i nie ma co pić. Ta suchość w gardle to «kocham cię» Boga”<sup>3</sup>. Nienasycenie może być imieniem Boga. Zdarza się, że Bóg tak właśnie się o siebie upomina: głodem i pragnieniem. W tym Wielkim Poście nie szczędźmy więc sobie postu. Przypomnijmy sobie, co to znaczy „cierpieć niedostatek”. Poczujmy głód i pragnienie. Najpierw te fizyczne. Bez nich nie poznamy pragnień duchowych. W Księdze Amosa Pan przez usta proroka zapowiedział: „Oto nadejdą dni [...] – gdy ześlę głód na ziemię, nie głód chleba ani pragnienie wody, lecz głód słuchania słów Pańskich” (Am 8,11). Te dni są właśnie przed nami.

5 MARCA 2017

<sup>2</sup> H. Alford, *Greek Testament Critical Exegetical Commentary*, London 1863 (tłumaczenie własne); <<http://www.studydrive.org/commentaries/hac/luke-15.html>>.

<sup>3</sup> S. Weil, *Świadomość nadprzyrodzona. Wybór myśli*, tłum. A. Olędzka-Frybesowa, Wrszawa 1986, s. 109.



## O pragnieniu i wodzie z butelek

[Jezus] przybył [...] do miasta samarytańskiego zwanego Sychar, w pobliżu pola, które dał Jakub synowi swemu, Józefowi. Było tam źródło Jakuba. Jezus zmęczony drogą siedział sobie przy źródle. Było to około szóstej godziny. [Wówczas] nadeszła kobieta z Samarii, aby zaczerpnąć wody. Jezus rzekł do niej: „Daj Mi pić!” Jego uczniowie bowiem udali się przedtem do miasta, by zakupić żywności. Na to rzekła do Niego Samarytanka: „Jakżeż Ty, będąc Żydem, prosisz mnie, Samarytankę, [bym Ci dała] się napić?” Żydzi bowiem i Samarytanie unikają się nawzajem. Jezus odpowiedział jej na to: „O, gdybyś знаła dar Boży i [wiedziała], kim jest Ten, kto ci mówi: «Daj Mi się napić», to prosiłabyś Go, a dałby ci wody żywej”. Powiedziała do Niego kobieta: „Panie, nie masz czerpaka, a studnia jest głęboka. Skądże więc weźmiesz wody żywej? Czy Ty jesteś większy od ojca naszego, Jakuba, który dał nam tę studnię, i on sam z niej pił, i jego synowie, i jego bydło?” W odpowiedzi na to rzekł do niej Jezus: „Każdy, kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem tryskającym ku życiu wiecznemu”. Rzekła do Niego kobieta: „Panie, daj mi tej wody, abym już nie pragnęła i nie przychodziła tu czerpać [...]. Widzę, że jesteś prorokiem. Ojcowie nasi oddawali cześć [Bogu] na tej górze, a wy mówicie, że w Jerozolimie jest miejsce, gdzie należy czcić Boga”.

Odpowiedział jej Jezus: „Wierz Mi, kobieto, że nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie czcili Ojca. Wy czcicie to, czego nie znacie, my czcimy to, co znamy, ponieważ zbawienie bierze początek od Żydów. Nadchodzi jednak godzina, nawet już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie, a takich to czcicieli szuka Ojciec. Bóg jest duchem; trzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w Duchu i prawdzie”. Rzekła do Niego kobieta: „Wiem, że przyjdzie Mesjasz, zwany Chrystusem. A kiedy On przyjdzie, objawi nam wszystko”. Powiedział do niej Jezus: „Jestem nim Ja, który z tobą mówię”. [...]

Wielu Samarytan z owego miasta zaczęło w Niego wierzyć dzięki słowu kobiety [...]. Kiedy więc Samarytanie przybyli do Niego, prosili Go, aby u nich został. Pozostał tam zatem dwa dni. I o wiele więcej ich uwierzyło dzięki Jego słowu, a do tej kobiety mówili: „Wierzymy już nie dzięki twemu opowiadaniu, usłyszeliśmy bowiem na własne uszy i wiemy, że On prawdziwie jest Zbawicielem świata” (J 4,5–15.19b–26.39a.40–42).

Czy wiedziała o tym, że „woda żywa”, o którą prosi, to nie tylko woda z dna studni, woda tryskająca prosto ze źródła? Czy wiedziała o tym, że Ten, z którym rozmawia, jest źródłem prawdziwej „wody żywej”, wytryskującej na życie wieczne? Czy zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę? Prefacja na dzisiejszą niedzielę mówi: „On, prosząc Samarytankę o podanie wody, już ją obdarzył łaską wiary, i tak gorąco pragnął jej życia z wiary, że rozpałił w niej ogień Bożej miłości”. Ale Samarytanka prosiła o dar, nie będąc świadoma tego, o jaki dar prosi. Mogła przecież nie znać przestrogi, którą Bóg skierował za pośrednictwem proroka Jeremiasza: „opuścili Mnie, źródło wody żywej, żeby wykopać sobie cysterny, cysterny popękane, które nie utrzymują wody” (Jr 2,13). Potrzebne jej było spotkanie z Jezusem, z Tym, który przeprowadza od popękanych cystern ludzkich poszukiwań do źródlanej wody, której jedynym źródłem jest Bóg. To znamienne, że gdy Samarytanka odeszła do miasta, zostawiła przy studni swoją hydrię, czyli specjalny dzban do noszenia wody. Jak mówi św. Chryzostom, tak „jak Apostołowie

porzucili sieci, gdy zostali powołani”, tak „ona porzuciła dzban”<sup>1</sup>. Porzuciła dzban, który odtąd był jej już niepotrzebny, bo znalazła źródło.

Do tematu wody żywej Jezus wróci jeszcze raz, a będzie to w Święto Namiotów. Wtedy zawoła donośnym głosem: „Jeśli ktoś jest spragniony, a wierzy we Mnie – niech przyjdzie do Mnie i pije! Jak rzekło Pismo: Rzeki wody żywej popłyną z jego wnętrza” (J 7,37–38). By dobrze zrozumieć tę scenę, trzeba przypomnieć, że Jezus wypowie te słowa właśnie w Święto Namiotów. Tego dnia kapłani czerpali złotym dzbanem wodę z sadzawki Siloe i wylewali ją u podnóża ołtarza, wypowiadając przy tym słowa z Księgi Izajasza: „Wy zaś z weselem wodę czerpać będziecie ze źródeł zbawienia” (Iz 12,3). Odtąd Jezus jest źródłem „wody żywej”, źródłem zbawienia.

Jezus dwa razy publicznie wyznał, że jest spragniony. Pierwszy raz „było to koło szóstej godziny” (J 4,6), czyli w południe według naszej rachuby czasu. Gdy wyzna to po raz drugi, będzie godzina dziewiąta, czyli nasza piętnasta. Po raz pierwszy stało się to przy studni Jakubowej, po raz drugi – na krzyżu. Przy studni świadkiem Jezusowego pragnienia była kobieta samarytańska, pod krzyżem – żołnierze. A więc bardziej obcy niż swoi. Czy kobieta dała Mu pić, nie wiemy. Żołnierze na włócznię czy też hyzop nabili gąbkę nasączoną octem i podali Mu. Jak mówił św. Augustyn w kazaniu na Wielki Piątek, „gdy powiedział «Pragnę», [...] zamiast słodczy wiary, dali ocet niewierności”<sup>2</sup>. Tam, przy studni, Jezus zapowie, że da wodę, która „stanie się [...] źródłem tryskającym ku życiu wiecznemu” (J 4,14). Na krzyżu, w chwilę po tym, jak Jezus wypowie słowo „Pragnę”, jeden z żołnierzy włócznią przebije Mu bok, a natychmiast wypłynie krew i woda.

Teologiczna tradycja Kościoła jest zgodna co do znaczenia tego symbolicznego momentu Męki Pańskiej. W prefacji na Uroczystość Najświętszego Serca Jezusowego Kościół śpiewa: „z Jego przebitego boku wypłynęła krew i woda, i tam wzięły początek sakramenty Kościoła,

<sup>1</sup> Św. Jan Chryzostom, *O Ewangelii św. Jana*, 33.

<sup>2</sup> Św. Augustyn, *Kazanie 218. Na Wielki Piątek. O męce Pańskiej*, 11.

aby wszyscy ludzie pociągnięci do otwartego Serca Zbawiciela z radością czerpali ze źródeł zbawienia”. Nie inaczej mówił św. Augustyn: „Bok włócznią otwarty zrosił ziemię krwią i wodą. Bez wątpienia oznacza to sakramenty, na których opiera się Kościół. Ewa została ukształtowana z boku Adama śpiącego, który był figurą przyszłości”<sup>3</sup>. Kościół – dodajmy – ukształtował się z boku Drugiego Adama, Chrystusa Ukrzyżowanego, w którego „ranach jest nasze uzdrowienie” (Iz 53,5).

Już niedługo staniemy pod tym źródłem tryskającym z krzyża. Na razie jesteśmy jeszcze przy różnych studniach i cysternach, z hydriami i dzbanami w rękach. Wiemy dobrze, jak to jest być Samarytan-ką. Ciągłe nienasycenie. Okazuje się, że to, cośmy zebrali, przecieka nam przez palce. A coś, co miało nas zaspokoić, sprawiło, że pragniemy jeszcze bardziej. Taka suchość w gardle, mimo pełnych dzbanów i przeróżnych studni, które sobie wykopaliśmy na tej ziemskiej pustyni. Niejedna cysterna okazała się pęknięta, niejedno źródło zatrute, niejedna oaza to fatamorgana. „Słowa jak sztuczny miód, / ersatz, cholera, nie życie” – jak pisała Agnieszka Osiecka.

Jezus umiera pod wieczór, ale pod nasze studnie przychodzi zawsze w południe, w momencie największego skwaru. Pośrodku życia, kiedy wciąż pragniemy. Wie, jak jest. Sam usiadł „zmęczony drogą” (J 4,6). I nas sprawdza. „Daj Mi pić!” (J 4,7) – mówi, a przecież wie, że nie mamy nic, co by mogło prawdziwie zaspokoić pragnienia człowieka. Nie mamy takich czerpaków, które by mogły sięgnąć do źródła. Żyjemy – jak mówił św. Augustyn – *in regio dissimilitudinis*, w krainie niepodobieństwa, gdzie wszystko jest na opak. Jak metaforycznie mówił papież Benedykt XVI, w tej krainie „nie pijemy ze źródła, lecz z tego, co nam dają w butelce”<sup>4</sup>. Oto jest czas porzucania popękanych cystern, zostawiania dzbanów przy studni, w której woda już dawno zatęchła, odstawiania butelek z konfekcjonowanymi napojami.

<sup>3</sup> Tamże, 14.

<sup>4</sup> Benedykt XVI, Wywiad dla Radia Watykańskiego, 5.08.2006 r., w: tegoż, *Myśli duchowe*, tłum. W. Szymona, Poznań 2008, s. 155.

Przez św. Faustynę Jezus powiedział: „niech korzystają z krwi i wody, która dla nich wytrysła”<sup>5</sup>. To już niedługo. Obyśmy w tej chwili, która wkrótce nadejdzie, byli spragnieni. Obyśmy nie byli nasyceni byle czym, opici wodą z butelek w chwili, gdy wytryska Źródło.

19 MARCA 2017

<sup>5</sup> F. Kowalska, *Dzienniczek. Miłosierdzie Boże w duszy mojej*, Warszawa 1993, 848.

## W białych szatach

Po upływie szabatu, o świcie pierwszego dnia tygodnia przyszła Maria Magdalena i druga Maria obejrzeć grób. A oto nastąpiło wielkie trzęsienie ziemi. Albowiem anioł Pański zstąpił z nieba, podszedł, odsunął kamień i usiadł na nim. Postać jego jaśniała jak błyskawica, a szaty jego były białe jak śnieg. Ze strachu przed nim zadrżeli strażnicy i stali się jakby martwi.

Anioł zaś przemówił do niewiast: „Wy się nie bójcie! Gdyż wiem, że szukacie Jezusa Ukrzyżowanego. Nie ma Go tu, bo zmartwychwstał, jak zapowiedział. Przyjdźcie, zobaczcie miejsce, gdzie leżał. A idźcie szybko i powiedzcie Jego uczniom: Powstał z martwych i oto udaje się przed wami do Galilei. Tam Go ujrzycie. Oto, co wam powiedziałem”. Pośpiesznie więc oddaliły się od grobu, z bojaźnią i wielką radością, i pobiegly oznajmić to Jego uczniom.

A oto Jezus stanął przed nimi, mówiąc: „Witajcie!” One podeszły do Niego, objęły Go za nogi i oddały Mu pokłon. A Jezus rzekł do nich: „Nie bójcie się! Idźcie i oznajmijcie moim braciom: niech udadzą się do Galilei, tam Mnie zobaczą” (Mt 28,1–10).

W poemacie *Chrystus Velazqueza* hiszpański pisarz i filozof Miguel de Unamuno tak pisze o ranie w boku Chrystusa: „Oto usta, które otworzyła Ci włócznia, / zamknąwszy te drugie, aby krwią przemówiła /

Twa męka”<sup>1</sup>. Na krzyżu zaczęło się milczenie Boga. „Zamknął słodką Jezus mowę” – śpiewaliśmy jeszcze nie tak dawno w Gorzkich Żalach. Gdy zamilkły Jezusowe usta, przemówiła Jego rana, z której wypłynęły krew i woda. Potem przyszła cisza grobu.

Powoli milczenie Wielkiej Soboty ustępuje miejsca Słowu Boga. Przypomnieliśmy sobie słowo stworzenia i słowo wyzwolenia. Jak to „Bóg rzekł” i stało się. Jak wyprowadzał Izraelitów suchą nogą przez Morze Czerwone. I jak zapowiadał, że powróci Pan na Syjon. Aż do „wielkiego trzęsienia ziemi”, do tego krzyku, jaki wydała Matka Ziemia, rodząc Zmartwychwstałego. „Milczałem od długiego czasu [...], teraz niczym rodząca zakrzyknę” (Iz 42,14) – zapowiadał Izajaszowy Sługa Jahwe. Oto teraz dokonano się to, co zostało zapowiedziane przed wiekami. Milczenie śmierci zamienia się w krzyk życia. „Witajcie” – mówi ten, którego jeszcze tak niedawno opłakiwano, namaszczano na śmierć, zawijano w grobowe prześcieradła. „Nie bójcie się” – odwagi dodaje Ten, który jeszcze przed dwoma dniami sam przeżywał trwogę konania i smutna była Jego dusza aż do śmierci (por. Mk 14,34).

Skończyła się bitwa. „Wesoły nam dzień dziś nastał”. Rozległo się „Alleluja”, a dzwony zabiły już nie na trwogę, a na tryumfalny powrót zwycięzcy. „Król niebieski k’nam zawitał, [...] Piekielne moce zwojował, Nieprzyjaciele podeptał”. Na naszych oczach wznosi się już nie krzyż, ale sztandar zwycięstwa w ręce Zmartwychwstałego. „Widziałam Go po męce, trzymał chorągiew w ręce” – zapewnia nas Maria Magdalena, Apostołka Apostołów, której Pan dał się zobaczyć przed uczniami. „Niech udadzą się do Galilei. Tam Mnie zobaczą” (Mt 28,10) – zaprasza wszystkich swoich uczniów na spotkanie. Trzeba tam pobiec.

Wołał św. Augustyn w kazaniu na Wielkanoc: „O błogosławione Alleluja! O beztroskie chwile, o chwile bez wroga, gdzie nie ma nieprzyjaciół, gdzie nie ginie żaden przyjaciel. [...] Śpiewajmy więc bracia moi, nie dlatego, abyśmy mieli radość w odpoczynku, lecz śpiewajmy

<sup>1</sup> M. de Unamuno, *Chrystus Velazqueza*, tłum. B. Bojanowicz, P. Rak, Kęty 2006, s. 94.

dlatego, abyśmy mieli pociechę w trudach i pracy. Śpiewaj tak i idź naprzód, jak to zwykli śpiewać podróżnicy; pocieszaj się w pracy śpiewem, lenistwa nie kochaj; śpiewaj i idź naprzód! Cóż to znaczy – idź naprzód? To znaczy postępuj w dobrym. [...] Jeśli ty będziesz postępował, postępuj, ale w dobrym, w dobrej wierze postępuj, w dobrych obyczajach postępuj; śpiewaj i idź naprzód. Nie błędź, nie cofaj się, nie pozostawaj w tyle, lecz idź nawrócony do Boga!”<sup>2</sup>

Więc idźmy. „Powiedz Izraelitom, niech ruszają w drogę” (Wj 14,15) – mówi dzisiaj do nas Pan, do nas – to znaczy do Nowego Izraela, który wychodzi z duchowego Egiptu, to jest z niewoli grzechu, i przechodzi przez Morze Czerwone, to jest przez oczyszczające wody chrztu. Pan już wyciągnął swą rękę nad morze, a woda zalała Egipcjan, ich rydwan i jeźdźców. „Powracająca fala” wód chrzcielnych obmywa nas nieustannie z grzechów, a my idziemy za Panem „po suchym dnie morskim, mając mur [wodny] po prawej i po lewej stronie” (Wj 14,29). Słup obłoku oświeca noc, a lampą naszą jest Baranek (por. Ap 21,23).

Wyruszamy w tę drogę odziani *in albis*, w białych szatach, już nie w „odzieniu ze skóry”, które dał nam Pan, wyganiając nas z raju, ale w „szatach utkanych ze światła” – jak mówi św. Grzegorz z Nysy, w szatach nieśmiertelności. Idziemy w szatach nie inaczej wybielonych jak tylko „we krwi Baranka” (Ap 7,14). Idziemy, mając świadomość, że „nasze czyny w każdym czasie winny być takie, jakie są szaty przyozdobionych w biel, tak czyste i lśniące białe”<sup>3</sup> – mówił Amalariusz z Metz. Idziemy i śpiewamy błogosławione „Alleluja!” Galilea jest wciąż przed nami.

15 KWIETNIA 2017

<sup>2</sup> Św. Augustyn, *Kazanie 258. Alleluja*, 3.

<sup>3</sup> Amalariusz z Metz, *Dzieła*, t. 1: *Święte obrzędy Kościoła*, Lublin 2016, s. 159.



## Każdego dnia Wielkanoc

A pierwszego dnia po szabacie, wczesnym rankiem, gdy jeszcze było ciemno, Maria Magdalena udała się do grobu i zobaczyła kamień odsunięty od grobu. Pobiegła więc i przybyła do Szymona Piotra oraz do drugiego ucznia, którego Jezus kochał, i rzekła do nich: „Zabrano Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położono”. Wyszedł więc Piotr i ów drugi uczeń i szli do grobu. Biegli obydwaj razem, lecz ów drugi uczeń wyprzedził Piotra i przybył pierwszy do grobu. A kiedy się nachylił, zobaczył leżące płótna, jednakże nie wszedł do środka. Nadszedł potem także Szymon Piotr, idący za nim. Wszedł on do wnętrza grobu i ujrzał leżące płótna oraz chustę, która była na Jego głowie, leżącą nie razem z płótnami, ale oddzielnie zwiniętą w jednym miejscu. Wtedy wszedł do wnętrza także i ów drugi uczeń, który przybył pierwszy do grobu. Ujrzał i uwierzył. Dotąd bowiem nie rozumieli jeszcze Pisma, [które mówi], że On ma powstać z martwych (J 20,1–9).

Właściwie powinniśmy dzisiaj wszyscy pójść z procesją na cmentarz – do zmarłych. Procesja rezurekcyjna, która współcześnie przybrała formę trzykrotnego obejścia kościoła, miała kiedyś inny charakter. Jak to jeszcze czasami bywa, zmarłych grzebano niegdyś na placu przy kościele. Cmentarzy nie zakładano poza miejscowością, jak to jest dzisiaj w zwyczaju, lecz w samym centrum, dookoła kościoła. Sensem procesji

rezurekcyjnej było ogłoszenie zmarłym leżącym w grobach, że Chrystus zmartwychwstał i ostatecznie zwyciężył śmierć. Dzięki temu zwycięstwu ich także czeka wyzwolenie. „Wielkie tam wesele mieli, gdy Zbawiciela ujrzeli, którego z dawna żądali” – śpiewamy w wielkanocnej pieśni o radości tych, których Chrystus wyprowadza z otchłani więzów śmierci do nowego życia.

W Muzeum Serbołużyckim w Budziszynie (niem. Bautzen) można zobaczyć fotografię tablicy, która umieszczona jest na bramie wejściowej cmentarza w Malschwitz. Na tablicy pochodzącej z roku 1788 – która jest jednym z najstarszych zabytków języka górnołużyckiego – znajduje się taki oto napis w dwóch językach, po łacinie i po górnołużycku: *Fuimus – Erimus. Quales? My smy byli – Zaso budźemy. Kajcy?* Po polsku napis ten brzmiałby: „Byliśmy – Będziemy. Jacy?”. Inskrypcja daje odpowiedź: *Denuo extruct [De novo extructi]* – „Ponownie stworzeni” (dosłownie: zbudowani). Ten napis to wyznanie wielkanocnej wiary, że do Zmartwychwstania przechodzi się przez cmentarz, do życia – przez bramę śmierci. Że czeka nas nowe stworzenie, „nowe zbudowanie”, choć jeszcze nie do końca wiemy, jak ono będzie wyglądać.

Zapisy ewangeliczne notujące wydarzenia, które miały miejsce po Zmartwychwstaniu Jezusa, to historia Jego nierozpoznawania: Maria Magdalena, która wzięła Go za ogrodnika; dwaj uczniowie idący do Emaus, których „oczy [...] były jakby przesłonięte, tak że Go nie poznali” (Łk 24,16); Tomasz, który musiał wkładać palce w Jezusowe rany, żeby uwierzyć; uczniowie nad Morzem Tyberiadzkim, którzy nie rozpoznali Jezusa, stojącego na brzegu. A kiedy ukaże się im w Wierczniku, „zatrwożonym i wylękłym” uczniom będzie „zdawało się, że widzą ducha” (Łk 24,37).

Ten Jezus, który będzie się im ukazywał przez czterdzieści dni, jest jakiś inny od Tego, którego pamiętali sprzed ukrzyżowania. Tę inność św. Marek określi krótko, pisząc, że Jezus ukazał się uczniom „w innej postaci” (gr. *en hetera morphē*; Mk 16,12). Jezus jest ten sam, ale już nie taki sam. Owszem, ma ciało – co będzie im udowadniał, jedząc

i pijąc wraz z nimi – ale było to już inne ciało, skoro stawał między nimi, „choć drzwi były zamknięte” (J 20,26). Ciało zmartwychwstałe to ciało uwielbione: wciąż materialne, a jednocześnie nic sobie nie robiące z praw fizyki. Jeszcze „na tym świecie”, choć już „nie z tego świata”. Jeszcze w jakimś sensie ziemskie, a już przecież pochodzące z królestwa niebieskiego. Trudno się dziwić apostołom i kobietom, że mieli trudności z Jego rozpoznaniem.

To właśnie w takie ciało zmartwychwstanie wierzymy. W takich ciałach zmartwychwstaniemy – na nowo stworzonych, na nowo zbudowanych. Wtedy razem z Nim ukážemy się w chwale (por. Kol 3,4).

Kiedy mówimy o zmartwychwstaniu i czekającym nas życiu wiecznym, pojawia się słowo „nieśmiertelność”. Ale co to znaczy, że czeka nas nieśmiertelność? Że będziemy nieśmiertelni? Nieśmiertelność kojarzy się nam z wiecznością, a ta z kolei z czymś, co się nigdy nie skończy. Ale jak sobie wyobrazić coś nieskończonego? Coś, co się ciągnie w nieskończoność, może nawet przerażać.

Co znaczy nieśmiertelność, dobrze wyjaśnia św. Paweł w Liście do Rzymian w odniesieniu do Jezusa: „Chrystus, powstawszy z martwych, już więcej nie umiera, śmierć nad Nim nie ma już władzy” (Rz 6,9). Nieśmiertelność dotyczy nie tyle długości naszego życia po zmartwychwstaniu, ile jego jakości. To życie, nad którym śmierć nie będzie już miała władzy. To nie życie „nieśmiertelne”, lecz raczej – jak pisze Hans Urs von Balthasar – życie „beśmiertne”<sup>1</sup>. Takie jest życie zmartwychwstałego Jezusa i nasze takie będzie.

Pięknie to wyraża hymn kościelny *Trisagion*, czyli *Święty, święty, święty*, ale niestety nie po polsku, a po grecku czy w języku staro-cerkiewno-słowiańskim, gdzie Bóg jest nie tyle „nieśmiertelny”, ile właśnie *beźmiertnyj* (gr. *athanatos*). Nasze życie przyszłe – to, które będzie naszym udziałem po zmartwychwstaniu – będzie życiem podobnym do boskiego: bez śmierci, bez umierania, bez martwoty, bez

<sup>1</sup> H.U. von Balthasar, *Ty masz słowa życia wiecznego*, tłum. J. Zychowicz, Kraków 2000, s. 98.

tego wszystkiego, co przynosi śmierć. Ono nie będzie już podlegało śmierci, nie będzie śmiercią dotknięte.

W życzeniach wielkanocnych, które dostałem, ktoś napisał, że „Jezus powstał nie tylko z grobu, ale z martwych”. Nigdy się nie zastanawiałem nad tą różnicą. Ale ona chyba rzeczywiście istnieje. Miała rację Magda Magdalena, że przecież „z grobu” mógł Jezusa ktoś „zabrać”. Przecież nie chodzi o miejsce, ale o stan. Jezus z-martwych-wstaje, to znaczy porzuca wszystko to, co naznaczone jest martwością, śmiercią, zniszczeniem. Trudno się dziwić, że uczniowie „dotąd [...] nie rozumieli jeszcze Pisma, [które mówi,] że On ma powstać z martwych” (J 20,9). Nikt nigdy jeszcze nie powstał „z martwych”, a o Łazarzu czy wskrzeszonej dziewczynce sam Jezus mówił, że śpią. Ich budził jak ze snu, On sam wstał „z martwych”.

We wspomnianym Budziszynie jest ulica, która po niemiecku nazywa się Osterweg, po górnołużycku Jutrowny puć, a po polsku – Wielkanocna Droga. Nie wiem, dlaczego tak się nazywa, prawdopodobnie dlatego, że tamtędy schodziła ze wzgórza zamkowego procesja wielkanocna. I nie wiem, dlaczego Wielkanoc to po górnołużycku *Jutry*. Być może moje skojarzenie nie jest nawet słuszne, ale trudno nie znaleźć konotacji z polskim słowem „jutro”. A „jutro” to nie tylko „dzień następujący po dzisiejszym”, ale przecież także – przynajmniej w staropolszczyźnie – „ranek, poranek” (stąd „jutrznia” jako modlitwa poranna czy „jutrzenka” jako gwiazda poranna). Wielkanoc zaczyna się o poranku, „wczesnym rankiem, gdy jeszcze było ciemno” (J 20,1), gdy – zanim wejdzie Słońce – wstaje inna gwiazda, do której sam Jezus przyrównuje siebie w Apokalipsie: „Ja jestem [...] Gwiazda świecąca, poranna” (Ap 22,16). To na nią czekamy: „aż dzień zaświta, a gwiazda poranna wejdzie w waszych sercach” – jak nas zachęca św. Piotr (2 P 1,19).

Dzisiaj zaczyna się nasza „wielkanocna droga”, przed nami przynajmniej pięćdziesiąt poranków, pięćdziesiąt jutrzeń, pięćdziesiąt jutrzejszych dni. Przynajmniej tyle, ale przecież – jak mówił Marcin Luter – *Bei uns Christen ist alle Tage Ostern* – „U nas, chrześcijan,

Wielkanoc jest każdego dnia”. Przecież każdy dzień zaczyna się od jutra. To prawda, że „powstanie z martwych” i życie „beźśmiertne”, które są już udziałem Chrystusa, mamy jeszcze przed sobą. Stanie się to dopiero wtedy, gdy sami przejdziemy przez bramę śmierci i przez cmentarz. Ale przecież już teraz każdy z nas może choć trochę być człowiekiem wielkanocnym.

Wystarczająco dużo w nas przeróżnej martwoty, z której trzeba wstać. Choćby taka martwota nienawiści: politycznej, domowej, małżeńskiej, społecznej, rodzinnej, rasowej, a nawet religijnej. Z tego wszystkiego trzeba by z-martwych-wstać. Przekraczać siebie i hodowane w sercu zło – to przecież powstawać z martwych.

I nie wolno z tym czekać, aż nadejdą „demony południa”, nie trzeba z tym zwlekać do wieczora. Jezus wstaje z grobu jeszcze przed świtem, gdy trwa noc. Niech w naszych sercach codziennie wschodzi gwiazda poranna, którą jest Jezus Zmartwychwstały, „zwycięzca śmierci, piekła i szatana”, a w ten sposób Wielkanoc naprawdę będzie każdego dnia.

16 KWIETNIA 2017

## Otwarte serce miłosierdzia

Wieczorem owego pierwszego dnia tygodnia, tam gdzie przebywali uczniowie, choć drzwi były zamknięte z obawy przed Żydami, przyszedł Jezus, stanął pośrodku i rzekł do nich: „Pokój wam!” A to powiedziawszy, pokazał im ręce i bok. Uradowali się zatem uczniowie, ujrawszy Pana. A Jezus znowu rzekł do nich: „Pokój wam! Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam”. Po tych słowach tchnął na nich i powiedział im: „Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane”.

Ale Tomasz, jeden z Dwunastu, zwany Didymos, nie był razem z nimi, kiedy przyszedł Jezus. Inni więc uczniowie mówili do niego: „Widzieliśmy Pana!” Ale on rzekł do nich: „Jeżeli na rękach Jego nie zobaczę śladu gwoździ i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, i ręki mojej nie włożę w bok Jego, nie uwierzę”. A po ośmiu dniach, kiedy uczniowie Jego byli znowu wewnątrz [domu] i Tomasz z nimi, Jezus przyszedł, choć drzwi były zamknięte, stanął pośrodku i rzekł: „Pokój wam!” Następnie rzekł do Tomasza: „Podnieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce. Podnieś rękę i włoż w mój bok, i nie bądź niedowiarkiem, lecz wierzącym”. Tomasz w odpowiedzi rzekł do Niego: „Pan mój i Bóg mój!” Powiedział mu Jezus: „Uwierzyłeś dlatego, że Mnie ujrzałeś? Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”.

I wiele innych znaków, których nie zapisano w tej księdze, uczynił Jezus wobec uczniów. Te zaś zapisano, abyście wierzyli, że Jezus jest Mesjaszem, Synem Bożym, i abyście wierząc, mieli życie w imię Jego (J 20,19–31).

Tradycja chrześcijańska utrwaliła imię żołnierza, który przebił bok ukrzyżowanego Chrystusa. To – jak czytamy w *Aktach Nikodema*<sup>1</sup> – Longinus (Longin). Pod tym imieniem znany będzie jednak dużo później, po nawróceniu, chrzcie i swej męczeńskiej śmierci. Jak mówi tradycja, wcześniej na imię miał Kasjusz, był poganinem, pochodził z Kapadocji i dowodził niewielkim oddziałem rzymskich żołnierzy. Utożsamiany bywa z setnikiem z Ewangelii, z tym, który na widok umierającego Chrystusa wyznał: „Istotnie, ten człowiek był Synem Bożym” (Mk 15,39). Średniowieczna legenda utrzymuje, że Longinus był niewidomy, co – z racji tego, że był żołnierzem – wydaje się raczej mało prawdopodobne. Nie o fakty jednak chodzi, lecz o prawdę, nie o szczegółowy przebieg wydarzeń, lecz o ich sens, a ten wyraża się w micie, który jakże często ignoruje fakty. „Ślepy był Longinus – pisze Miguel de Unamuno w poemacie *Chrystus Velazqueza*<sup>2</sup> – który nigdy nic nie widział: przebił Twą pierś, / z której wytrysnęła krew i spłynęła po włóczni, / a on ubrudził nią obydwie swoje dłonie, / podniósł je, przybliżył do twarzy, otworzył oczy, / spojrzał dookoła, uwierzył w Ciebie i został zbawiony”.

Ewangelista Jan, który był naocznym świadkiem ukrzyżowania, zanotował, że żołnierz „przebił bok”. Do tego przecież służyła żołnierzowi włócznia: do przebijania, zadawania ran, do klucia. Święty Hieronim, gdy tłumaczył Biblię na język łaciński, odszedł od dosłownego czasownika „przebić” na rzecz metaforycznego „otwierać” (otworzył, łac. *aperuit*). Za nim poszedł nasz polski ks. Jakub Wujek i odtąd żołnierz już nie tyle „przebijał” bok, ile go „otwierał”. To właśnie do tego tłumaczenia odnosił się w swoim komentarzu św. Augustyn: „Żołnierz

<sup>1</sup> Ewangelia Nikodema, inaczej Akta Piłata (*Acta Pilati*) – apokryficzna ewangelia powstała w języku greckim, prawdopodobnie w IV wieku.

<sup>2</sup> M. de Unamuno, *Chrystus Velazqueza*, tłum. B. Bojanowicz, P. Rak, Kęty 2006, s. 94.

otworzył Jego bok i natychmiast wypłynęły krew i woda. Ostrożnego słowa użył ewangelista. Nie powiedział: przebił bok Jego i zranił, lub co innego, lecz «otworzył», aby tam niejako drzwi życia zostały otwarte, stąd wypłynęły sakramenty Kościoła, bez których nie wstępuje się do życia, które jest prawdziwym życiem. Owa krew została wylana na odpuszczenie grzechów; owa woda zbawienno miesza puchar; ten i kąpiele udziela, i napoju. To przepowiadało, że kazano Noemu, aby w boku arki uczynił drzwi, przez które weszłyby zwierzęta, które nie miały zginąć w potopie, a które były figurą Kościoła»<sup>3</sup>.

Kiedy św. Faustyna kazała namalować obraz Jezusa Miłosiernego, w jego centrum nie znalazła się rana Chrystusowego boku, ale Jezusowe serce. Rana to drzwi, przez które weszła włócznia, by dotknąć samego serca. „Wieczorem, kiedy byłam w celi – notuje św. Faustyna – ujrzałam Pana Jezusa ubranego w szacie białej. Jedną ręką wzniesioną do błogosławieństwa, a druga dotykała szaty na piersi. Z uchylenia szaty na piersiach wychodziły dwa wielkie promienie, jeden czerwony, a drugi błady»<sup>4</sup>. Na jej prośbę Jezus wyjaśniał: „błady promień oznacza wodę, która usprawiedliwia dusze; czerwony promień oznacza krew, która jest życiem dusz. [...] Te dwa promienie wyszły z wnętrza miłosierdzia mojego wówczas, kiedy konające serce moje zostało włócznią otwarte na krzyżu»<sup>5</sup>.

Dlaczego tak się stało, że serce zastąpiło bok, który przecież jest tak wyraźnie zaznaczany nie tylko w obrazach Jezusa na krzyżu, ale także na wizerunkach Zmartwychwstałego? Jak pisze Paweł Warchoł OFMConv, „w ten sposób została uobecniona nie męka przebiccia, lecz jej skutki»<sup>6</sup>. Otwarty bok i wypływające z rany krew i woda to znaki miłosierdzia, które mieszka w przebitym sercu Jezusa – owym „morszu miłosierdzia”, które jest obfite, przepełnione, wylewające się, nigdy

<sup>3</sup> Św. Augustyn, *Homilie na Ewangelię i Pierwszy List św. Jana*, tłum. W. Szoldrski, W. Kania, Warszawa 1977, s. 344–345.

<sup>4</sup> F. Kowalska, *Dzienniczek. Miłosierdzie Boże w duszy mojej*, Warszawa 1993, 47.

<sup>5</sup> Tamże, 992, 299.

<sup>6</sup> P. Warchoł, *Krew i woda – dar Miłości miłosiernej. Studium historyczno-teologiczne przebitego boku Chrystusa w literaturze teologicznej i duchowej*, Warszawa 2015, s. 217.



się niekończące i „tak wielkie, że przez całą wieczność nie zgłębi go żaden umysł, ani ludzki, ani anielski”<sup>7</sup>.

Kiedy Apostoł Tomasz będzie domagał się od Jezusa dowodu, że to On, rana Jezusowego boku będzie już otwarta, a Tomasz będzie mógł włożyć tam swoją rękę, chciałoby się powiedzieć: zanurzyć – tak jak zanurzyła się w wodach potopu arka z ocalałymi zwierzętami. Nie zdawał sobie pewno jeszcze sprawy, że oto dotknął „morza miłosierdzia”, które jest niewyczerpane. Ten Tomaszowy przywilej włożenia ręki w otwarty bok Jezusa dany jest nam wszystkim, choć oczywiście już nie dosłownie, a jedynie duchowo. By to zrobić, trzeba wciąż otwierać Chrystusowy bok duchową włócznią, którą jest pozostawiona i polecona nam modlitwa Koronki do Miłosierdzia Bożego, a w której nieustannie wołamy o wodę i krew „na przebłaganie za grzechy nasze i świata całego”. Ta modlitwa sięga Jezusowego serca przepełnionego miłosierdziem.

Ustanawiając Święto Miłosierdzia Bożego, Jan Paweł II zdawał sobie sprawę, że jest ono potrzebne bardziej niż kiedykolwiek. Wiek XX uświadomił mu, że człowiek zdolny jest do takiej nienawiści i takich form przemocy i zła, które mogą sprowadzić świat na skraj samozagłady. Jeszcze nigdy, tak jak teraz, los świata nie zależał od człowieka, który – jak się zdaje – ma wystarczające środki, metody czy technologie, by go unicestwić. Co więcej, unicestwia go na naszych oczach. Jest czymś niepojętym, że w XXI wieku, wieku wysoko rozwiniętych technologii, człowiek nie jest zdolny opanować wybuchów zła i nienawiści, a ludzie giną w trakcie transmisji telewizyjnej *live*. Przenikliwie pisał o tym Tadeusz Różewicz: „Zdawało się, że bez wiary, nadziei i miłości Człowiek nie może żyć... ale pod koniec XX wieku rodzi się w nas podejrzenie, że ten ssak może rozmnażać się bez miłości, może żyć bez wiary i umierać bez nadziei”<sup>8</sup>.

<sup>7</sup> F. Kowalska, *Dzienniczek*, dz. cyt., 699.

<sup>8</sup> T. Różewicz, *Posłowie*, w: tegoż, *Niepokój. Wybór wierszy z lat 1944–1994*, Warszawa 1995, s. 670.

Na początku XXI wieku to podejrzenie zdaje się przeradzać w pewność. Łatwo ulec pokusie i powiedzieć, że to niebezpieczeństwo dotyczy wyłącznie niewierzących. Znaleźlibyśmy wówczas w nich winnych wszystkiego. Ale pokusa takiego życia dotyczy także nas. Nie jesteśmy od niej wolni. I to na nas ciąży obowiązek wierności naszemu człowieczeństwu. „[...] trzeba powrócić do krzyża Chrystusa – zwywał Jan Paweł II – utkwić spojrzenie w Synu Bożym, w Jego przebitym sercu, w Jego rozlanej krwi”<sup>9</sup>. Dla nas, chrześcijan, nie ma innego źródła miłości, wiary i nadziei. I dlatego nie przestajemy wołać: „Jezu, ufam Tobie!”, patrząc na Jego wizerunek.

Miguel de Unamuno zwracał się do Jezusa w swoim poemacie słowami: „powstrzymałeś swoją czerwoną krew / płamę grzechu [...] / i pozwalasz nam wędrować wolnym od ciężaru, co ku sercu pochyła naszą głowę”<sup>10</sup>. Idziemy z podniesioną głową, czysti i wolni od ciężaru, bo „On się [już] obarczył naszym cierpieniem, On dźwigał nasze bóleści” – aż na krzyż (Iz 53,4). A tam odkupił nas krwią swoją i obmył nas w wodzie. Może dlatego starożytne kanony nie pozwalały klękać w okresie wielkanocnym. Zwycięzcy nie zwykli zginać kolan. Na Jego ciele pozostał ślad: odcisk korony cierniowej, miejsca po gwoździach, rana w boku. „Podnieś rękę i włóż w mój bok, i nie bądź niedowiarakiem, lecz wierzącym!” (J 20,27) – mówi dzisiaj Jezus do wszystkich, a zwłaszcza do tych, którzy się jeszcze wahają. I jak na obrazie Caravaggia, sam bierze naszą rękę niczym Tomasza i wkłada w swój bok, jakby chciał powiedzieć: Nie bój się, moje serce jest dla Ciebie otwarte!

23 KWIETNIA 2017

<sup>9</sup> Jan Paweł II, Rozważanie przed modlitwą Anioł Pański, 2.07.2000.

<sup>10</sup> M. de Unamuno, *Chrystus Velazqueza*, dz. cyt., s. 35.

## Kim jest ten trzeci? My wiemy

Tego samego dnia dwaj [uczniowie Jezusa] byli w drodze do wsi, zwanej Emaus, oddalonej o sześćdziesiąt stadiów od Jeruzalem. Rozmawiali oni z sobą o tym wszystkim, co się wydarzyło. Gdy tak rozmawiali i rozprawiali z sobą, sam Jezus przybliżył się i siedł z nimi. Lecz oczy ich były jakby przesłonięte, tak że Go nie poznali. On zaś ich zapytał: „Cóż to za rozmowy prowadzicie z sobą w drodze?” Zatrzymali się smutni. A jeden z nich, imieniem Kleofas, odpowiedział Mu: „Ty jesteś chyba jedynym z przebywających w Jerozolimie, który nie wie, co się tam w tych dniach stało”. Zapytał ich: „Cóż takiego?” Odpowiedzieli Mu: „To, co się stało z Jezusem Nazarejczykiem, który był prorokiem potężnym w czynie i słowie wobec Boga i całego ludu; jak arcykapłani i nasi przywódcy wydali Go na śmierć i ukrzyżowali. A myśmy się spodziewali, że On właśnie miał wyzwolić Izraela. Ale po tym wszystkim dziś już trzeci dzień, jak się to stało. Nadto, jeszcze niektóre z naszych kobiet przeraziły nas: były rano u grobu, a nie znalazłszy Jego ciała, wróciły i opowiadały, że miały widzenie aniołów, którzy zapewniają, iż On żyje. Poszli niektórzy z naszych do grobu i zastali wszystko tak, jak kobiety opowiadały, ale Jego nie widzieli”.

Na to On rzekł do nich: „O, nierozumni, jak nieskore są wasze serca do wierzenia we wszystko, co powiedzieli prorocy! Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swej chwały?” I zaczynając od Mojżesza,

poprzez wszystkich proroków, wykladał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego.

Tak przybliżyli się do wsi, do której zdążali, a On okazywał, jakoby miał iść dalej. Lecz przymusili Go, mówiąc: „Zostań z nami, gdyż ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił”. Wszedł więc, aby zostać wraz z nimi. Gdy zajął z nimi miejsce u stołu, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go i dawał im. Wtedy otworzyły się im oczy i poznali Go, lecz On zniknął im z oczu. I mówili między sobą: „Czy serce nie pałało w nas, kiedy rozmawiał z nami w drodze i Pisma nam wyjaśniał?”

W tej samej godzinie zabrali się i wrócili do Jeruzalem. Tam zastali zebranych Jedenastu, a z nimi innych, którzy im oznajmili: „Pan rzeczywiście zmartwychwstał i ukazał się Szymonowi”. Oni również opowiadali, co ich spotkało w drodze i jak Go poznali przy łamaniu chleba (Łk 24,13–35).

Przylączenie się kogoś nieznanego do wędrowców nie było niczym nadzwyczajnym w Palestynie tamtych czasów. Podróżowanie w kraju, w którym roiło się od zbójców i nie zawsze karnych żołnierzy, było niebezpieczne, o czym przekonał się choćby bohater Jezusowej powieści, który maszerował z Jerozolimy do Jerycha. Jak pamiętamy, „wpadł [on] w ręce zbójców. Ci nie tylko że go obdarli, lecz jeszcze rany mu zadali i zostawiwszy na pół umarłego, odeszli” (Łk 10,30). Lepiej więc było wędrować w kilku niż w pojedynkę.

Kiedy dwunastoletni Jezus zgubił się rodzicom w drodze powrotnej z Jerozolimy, gdzie świętowali Paschę, Józef i Maryja przypuszczali, że jest w towarzystwie pątników (por. Łk 2,44). Nic więc dziwnego, że i teraz wśród powracających ze święta Paschy ktoś do kogoś przylączał się w drodze, by choć przez chwilę razem wędrować. Nic też dziwnego w tym, że to nieznajomy pierwszy do nich zagadał: „Cóż to za rozmowy prowadzicie ze sobą w drodze?” (Łk 24,17), co można by chyba sparafrazować: „O czym tak, idąc, gadacie?”

Stan ich ducha św. Łukasz kwituje krótko: „Zatrzymali się smutni” (Łk 24,17). Smutni, bo spodziewali się, że Jezus Nazarejczyk wyzwoli

Izraela. Smutni, bo arcykapłani i przywódcy ludu wydali Go na śmierć i ukrzyżowali. Smutni, bo kobiety przeraziły ich wiadomością, że były u grobu, ale nie znalazły tam Jego ciała. Smutni, bo kobiety miały niby-widzenie, że On żyje, ale nikt z Jego uczniów Go nie widział. Nie dość, że dał się zabić – a tym samym pogrzebał ich nadzieje – to jeszcze przeraziło ich to, co się z Nim stało po śmierci: umarł, a niby żyje. A przecież miało być zupełnie inaczej. Uczniowie zostawiają więc za plecami niegościnną Jerozolimę i idą do Emaus. Być może któryś z nich miał tam dom: Kleofas albo ten drugi, bezimienny. Być może chcieli tam zacząć jakieś nowe życie. Już bez tego Jezusa, który ich zawiódł.

Ostatnio czytam Różewicza – poetę, do którego przylgnęła etykieta poety-ateisty. On sam nigdy się z tą etykietką nie zgadzał. „Jaki tam ze mnie ateista”<sup>1</sup> – pytał retorycznie w jednym ze swoich wierszy (*Jest taki pomnik*). Mało kto wie, że przed wojną Różewicz należał do Sodalicji Mariańskiej, a jego dziecięca wiara była bardzo głęboka. Nie miejsce, by tutaj szczegółowo opisywać, jak przebiegała jego droga wiary, dość powiedzieć, że – odwołując się do wyznania samego autora – „naprawdę wierzył”. „Pierwsza komunika. Przyjąłem Boga. Głęboko w to wierzyłem. [...] Większość moich rówieśników, a ja na pewno, myśmy naprawdę Boga przyjęli. Ten opłatek na języku... Przymknęło się oczy... Chwilę się klęczało... Potem wstało... I odchodziło się z Bogiem w sobie... Żeby znów przyklęknąć w ciszy... To było doświadczenie dziecka”<sup>2</sup> – tak mówił o swej Pierwszej Komunii. A potem przyszła trauma wojny, z której przez lata nie mógł się otrząsnąć. W wierszu pt. *Ocalony* z roku 1947 pisał tak: „Mam dwadzieścia cztery lata / ocalałem / prowadzony na rzeź”. Ale jego wiara w obliczu hekatomb wojny, śmierci, zła, zniszczenia i nienawiści nie ocalała. W roku 1968 w wierszu *Cierń* deklarował wprost:

<sup>1</sup> Wiersze T. Różewicza cytowane wg wydania: T. Różewicz, *Wybór poezji*, Wrocław 2016.

<sup>2</sup> T. Różewicz, K. Braun, [rozmowa:] *Języki teatru*, Wrocław 1989, s. 180.

nie wierzę  
 nie wierzę od przebudzenia  
 do zaśnięcia  
 nie wierzę od brzegu do brzegu  
 mojego życia  
 nie wierzę tak otwarcie  
 głęboko  
 jak głęboko wierzyła  
 moja matka

Wyrazem tego wewnętrznego zmagania był wiersz pt. *Bez*, napisany w roku 1990, a więc dwadzieścia dwa lata później. To właśnie w tym wierszu, w którym Różewicz pisze o opuszczeniu Boga i opuszczeniu przez Boga, pojawia się słynny dwuwiersz: „życie bez boga jest możliwe / życie bez boga jest niemożliwe”. W jego poezji od dłuższego czasu dochodziło do głosu pragnienie Boga, które Ryszard Przybylski już w roku 1970 zdiagnozował trafnie i proroczo: „Różewicz znalazł się na drodze do Emaus”<sup>3</sup>. Myślę, że można tak powiedzieć. Doświadczenie wojny było dla poety podobne do tego przeżycia, które nieśli w sobie ci dwaj uczniowie w wielkanocne popołudnie uchodzący z Jerozolimy. W obliczu wszechobecnego zła i powszechnego cierpienia wojennej apokalipsy umarła wiara Różewicza w Boga znanego z dzieciństwa, a jego świat się zawalił. Podobnie jak to było z Jezusowymi uczniami, także jego droga do Emaus „wiedzie przez zwątpienie i boleść”<sup>4</sup>.

Chyba każdy z nas – mniej lub bardziej – wie, czym jest doświadczenie Jerozolimy, w której na naszych oczach zawala się dotychczasowy świat, niebo staje „w płomieniach”, Bóg, w którego wierzyliśmy, umiera, a z naszych piersi wyrywa się bolesne „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił” (por. Mt 27,46; Ps 22,2). Z takiego Jeruzalem uchodzi się

<sup>3</sup> R. Przybylski, *Droga do Emaus*, „Odra” 1970, nr 5, s. 126.

<sup>4</sup> P. Dakowicz, *Poeta (bez)religijny. O twórczości Tadeusza Różewicza*, Łódź 2015, s. 46.

nierozumnym, ze smutkiem na twarzy i z sercem nieskorym do wierzenia (por. Łk 24,25). Być może takie doświadczenie stało się udziałem naszych bliskich: syna, męża, córki, żony, przyjaciela. I bolejemy nad tym, że nie pozostali z nami w Wieczerniku. Nie, nie wszyscy zostali w Jerozolimie po „tym wszystkim, co się tam wydarzyło” (Łk 24,14) i „co się tam w tych dniach stało” (Łk 24,18). A stały się rzeczy straszne. Niektórym nie starczyło wiary czy siły, inni się po prostu pomylili, bo „spodziewali się”, że szli za kimś innym. A teraz z oczami, które są „jakby przysłonięte”, idą do jakiegoś Emaus, gdzie – jak im się здаje – będzie im lepiej.

Ale na tej drodze Pan nie zostawi nas samych: „sam Jezus przybliżył się i szedł z nimi” (Łk 24,15). Zrazu idzie jako nieznajomy wędrowiec, nie daje się rozpoznać natychmiast, pozwala uczniom się wyżalić, wygadać, podzielić się ich własnym, bolesnym doświadczeniem. Może niektórzy na swojej drodze do Emaus są dopiero tutaj: smutni i rozżaleni, zawiedzeni, bo „się spodziewali”. I to jest najważniejszy moment w drodze każdego z nas, właśnie wtedy trzeba pozwolić Bogu mówić, wsłuchać się w Jego głos, najpierw jeszcze obcy i nierozpoznany, ale – jak się później okaże – rozgrzewający serce, by nie powiedzieć – podpalający. Bo Jego słowo jest jak płonąca żagiew, jeśli tylko pozwolimy Mu się do nas zbliżyć. A potem już wszystko potoczy się bardzo szybko: łuski z oczu opadną, Pan pozwoli się rozpoznać „przy łamaniu chleba” (Łk 24,35), żadne Emaus nie będzie już warte naszej obecności i „w tej samej godzinie” (Łk 24,33) pobiegniemy z powrotem do Jeruzalem, gdzie nie będzie już czekać nas smutek, ale zebrany Kościół, który nie przestaje głosić: „Pan rzeczywiście zmartwychwstał” (Łk 24,34).

Thomas Stearns Eliot pytał w poemacie *Ziemia jałowa*<sup>5</sup>:

Kto jest ten trzeci, który zawsze wędruje przy tobie?  
Kiedy liczę, jesteśmy tylko ja i ty,

<sup>5</sup> T.S. Eliot, *Ziemia jałowa*, tłum. Cz. Miłosz, Kraków 2004, s. 67.

Ale kiedy popatrzę tam, na białą drogę,  
Jest jeszcze zawsze ktoś, kto idzie przy tobie, [...]  
– Kim jest ten, który idzie tam, gdzie ja i ty?

My wiemy, „kto jest ten trzeci”. To Ten, którego rozpoznajemy  
„przy łamaniu chleba”.

30 KWIETNIA 2017



## Dojrżeli przed Bogiem

Jeżeli Mnie miłujecie, będziecie zachowywać moje przykazania. Ja zaś będę prosił Ojca, a innego Parakleta da wam, aby z wami był na zawsze – Ducha Prawdy, którego świat przyjąć nie może, ponieważ Go nie widzi ani nie zna. Ale wy Go znacie, ponieważ u was przebywa i w was będzie. Nie zostawię was sierotami. Przyjdę do was. Jeszcze chwila, a świat nie będzie już Mnie widział. Ale wy Mnie widzicie; ponieważ Ja żyję i wy żyć będziecie. W owym dniu poznacie, że Ja jestem w Ojcu moim, a wy we Mnie i Ja w was.

Kto ma przykazania moje i je zachowuje, ten Mnie miłuje. Kto zaś Mnie miłuje, ten będzie umiłowany przez Ojca mego, a również Ja będę go miłował i objawię mu siebie (J 14,15–21).

Aby przestrzegać zakazów i nakazów, małym dzieciom wciąż jeszcze wystarcza autorytet rodziców. Wystarczy, że „tatuś/mamusia tak powiedział/powiedziała”, aby zrobić to, co nakazane, a tamtego, co zabronione – nie. Z czasem jednak przychodzi świadomość konsekwencji. „Przecież nie chcesz, by tatuś się gniewał” albo „Jak to zrobisz, to mama się ucieszy” – tak rodzic zaczyna wdrażać małe dziecko w system wychowawczy. W okresie dorastania, gdy zaczyna się kwestionować dotychczasowe autorytety, wprowadza się system sankcji: kar i nagród. Posłuszeństwo coraz bardziej ustępuje kalkulacji i młody

człowiek zaczyna się uczyć, że przekraczanie zakazów się nie opłaca, a wypełnianie nakazów – owszem. Oczywiście to bardziej handel wymienny niż wychowanie, dlatego ten model jest skuteczny tak długo, jak długo funkcjonować będzie lęk przed karą i nadzieja na nagrodę.

Dojrzałość człowieka zaczyna się wówczas, gdy człowiek podejmuje działanie o wiele bardziej ze względu na sens normy (zakazu czy nakazu) niż ze względu na posłuszeństwo temu, kto tę normę ustanowił, czy też na ewentualne sankcje, jakie są tej normie przypisane. Dojrzały człowiek jest posłuszny nakazowi, ponieważ rozpoznaje w nim dobro i poddaje się zakazom, bo wie, że ich złamanie prowadzi do zła. Już nie chodzi ani o posłuszeństwo, ani o strach przed karą czy oczekiwanie na nagrodę, ale o przewidziane konsekwencje mojego działania. Nie dlatego coś robię (czegoś nie robię), bo mi ktoś zakazał albo boję się ewentualnej kary, ale dlatego, że wiem, do jakiego zła bądź dobra to prowadzi. Im częściej trzeba się powoływać na autorytet i na sankcje, tym więcej zakładamy u naszych wychowanków niedojrzałości i tym mniej liczymy na ich odpowiedzialność. Bywa jednak inaczej. Odwoływanie się do autorytetu oraz metody kija i marchewki może oznaczać, że wierzymy w zasadność normy. Jako taka wydaje się nam ona nieskuteczna, trzeba więc ją wzmocnić sankcjami i wezwaniem do posłuszeństwa.

Jezus mówi dzisiaj: „Jeżeli Mnie miłujecie, będziecie zachowywać moje przykazania” (J 14,15). Jezus nie mówi: „Jeśli będziecie Mi posłuszni, będziecie zachowywali moje przykazania”. Ani też: „Jeżeli będziecie się bać piekła i żyć nagrodą na niebo, będziecie zachowywali moje przykazania”. Jezus nie odwołuje się ani do posłuszeństwa, ani do strachu, ale do miłości. Z przykazaniami od Boga jest jak z każdą normą. Kiedy wobec Boga jesteśmy jak małe, niedojrzałe dzieci, wystarczy nam świadomość, że Bóg tak powiedział. Słuchamy Go, bo jesteśmy Mu posłuszni. Kiedy w naszej relacji z Bogiem zaczynamy dojrzewać, przychodzi etap kryzysu. Wtedy pojawia się sankcja nieba albo piekła, nagroda albo kara za nasze postępowanie. Ale prawdziwie stajemy się dorosłymi, dojrzałymi wobec Boga dopiero wtedy, kiedy

zaczynamy miłować tego, kto te przykazania przynosi. Jeszcze podczas Soboru Trydenckiego Kościół napominał kaznodziejów, aby pouczali wiernych o wadach i cnotach. Tych pierwszych należało unikać, te drugie – kultywować, aby ustrzec się kary piekielnej i otrzymać nagrodę niebieską. Boga nie trzeba było kochać, wystarczyło się Go bać i być Mu posłusznym.

Zdaje się, że żyjemy dzisiaj w czasie szczególnym, gdy autorytet Boga nie jest już powszechnie przyjmowany, a straszenie piekłem nie przynosi większych skutków. Kaznodzieje nie poruszają tego tematu, by uniknąć śmieszności i odrzucenia. Piekło przestało być realną możliwością. Poza tym panuje dość powszechne przekonanie, że wszyscy po śmierci znajdziemy się w jakimś niebie. Życie wieczne przestało być ryzykiem. Ale właśnie dlatego wiara domaga się współcześnie większej dojrzałości niż kiedykolwiek. Teraz „trzeba żyć godnie / na świecie bezbożnym / nie licząc na karę ani nagrodę” – jak pisał Tadeusz Różewicz w *Nauce chodzenia*. W tej wierze nie może być już nic z handlu i wymiany, tylko miłość.

Dzisiaj w naszej parafii, ale zapewne nie tylko w naszej, odbywa się Pierwsza Komunia. Po raz pierwszy te małe dzieci przystąpią do Stołu Pańskiego. Kanonizacja dwojga małych dzieci z Fatimy: Franciszka i Hiacynty pokazuje, że i małe dziecko może dojrzałe kochać Boga, dojrzałe, choć po dziecięcemu. Bardzo bym się cieszył, gdyby i te nasze małe dzieci przystępowały do Komunii z miłości, ale będąc realistą, wiem, że więcej niż miłości jest tam posłuszeństwa wobec rodziców i posłuszeństwa rodziców wobec Kościoła i oczekiwań katolickiego społeczeństwa. Z czasem u tych dzieci posłuszeństwo ustąpi miejsca kalkulacji. Będą chodzić do kościoła z dzienniczkiem i zbierać podpisy, aby zostać dopuszczonym do bierzmowania. A wszystko po to – jak sami często mówią – by móc zostać rodzicami chrześnymi i nie mieć problemów przy ślubie kościelnym. Czy i kiedy wydorosną, tak aby tutaj wrócić już nie z posłuszeństwa czy wyrachowania, ale z miłości do Boga i Eucharystii, nie wiem. Może nigdy. Może kiedyś.

Na posłuszeństwo nie ma co zbytnio liczyć. Ktoś mi ostatnio mówił, że w pewnej wielkowiejskiej parafii, gdzie do Pierwszej Komunii przystąpiło około 150 dzieci, na tzw. biały tydzień przychodziło sześćcioro. Może to te najbardziej posłuszne. A może te, które już zaczęły się uczyć Boga kochać. „W szesnastym roku życia przestawało się chodzić do spowiedzi, w siedemnastym przestawało się wierzyć w dogmatykę, której ksiądz uczył w szkole”<sup>1</sup> – tak pisał Tadeusz Różewicz o porzuceniu wiary w młodości. Ten schemat zdaje się wciąż aktualny. Może nawet bardziej niż w czasach młodości poety.

Gilbert Keith Chesterton, brytyjski pisarz katolicki, miał powiedzieć: „Msza św. jest długa i nudna, kiedy się nie kocha Boga”. Tak, ona musi być długa i nudna, kiedy przychodzi się na nią tylko z posłuszeństwa. Tak, ona musi być długa i nudna, kiedy – jeśli jeszcze – przychodzi się na nią jedynie ze strachu przed piekłem. Tylko z miłości nie jest nudno: w wierze, w Kościele, na Mszy św.

21 MAJA 2017

<sup>1</sup> *Wbrew sobie. Rozmowy z Tadeuszem Różewiczem*, oprac. J. Stolarczyk, Wrocław 2011, s. 104.

## Dzwon z Aubrac, czyli (nie)obecność Boga

Jedenastu [...] uczniów udało się do Galilei, na górę, tam gdzie Jezus im polecił. A gdy Go ujrzeli, oddali Mu pokłon. Niektórzy jednak wątpili. Wtedy Jezus podszedł do nich i przemówił tymi słowami: „Dana Mi jest wszelka władza w niebie i na ziemi. Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Uczenie je zachowywać wszystko, co wam przykazałem. A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28,16–20).

O uroczystości Wniebowstąpienia Pańskiego można mówić na dwa sposoby. Można dzisiaj świętować odejście albo pozostanie, obecność albo nieobecność Chrystusa. Na obie perspektywy interpretacyjne pozwala dzisiejsze słowo Boże.

W czytaniu z Dziejów Apostolskich słyszeliśmy relację św. Łukasza, jak to Jezus „uniósł się w ich obecności w górę i obłok zabrał Go im sprzed oczu” (Dz 1,9), a oni „wpatrywali się w Niego, jak wstępował do nieba” (Dz 1,10). Wtedy ukazało się dwóch mężów w bieli zapewniających, że „Ten Jezus, wzięty od was do nieba, przyjdzie tak samo, jak widzieliście Go wstępującego do nieba” (Dz 1,11). Został wzięty i na końcu czasów powtórnie przyjdzie, więc nie ma Go tutaj, na ziemi. Skończyła się Jego fizyczna, cielesna, historyczna obecność.

Ale można też inaczej. Można skupić się na Ewangelii i na słowach Jezusa wypowiedzianych przed odejściem: „Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28,20). Mimo swojego odejścia Jezus jest z nami. Co więcej, ta obecność jest bardzo dynamiczna: „Dana Mi jest wszelka władza w niebie i na ziemi” (Mt 28,18). To nie jest obecność bezczynna, jedynie symboliczna, daleka i niedostrzalna. To obecność Tego, kto sprawuje władzę, kto rządzi, komu poddane są niebo i ziemia. To Jemu poddane są nasze losy.

Wśród starych notatek znalazłem wypowiedź Bono, wokalisty i lidera zespołu U2: „Wciąż interesują mnie sprawy duchowe, Bóg i ta zdumiewająca myśl, że być może On interesuje się nami”. Dla Bono to tylko „być może” Bóg, który interesuje się człowiekiem. Dla nas to na pewno Bóg, który nie tylko interesuje się człowiekiem, ale zapewnia o swojej obecności pośród ludzi „aż do skończenia świata”.

Czasami jednak tę obecność bardzo trudno wyczytać z codziennych wydarzeń. Nie dalej jak wczoraj ktoś, kto boryka się z wieloma problemami rodzinnymi, napisał mi w wiadomości: „jeżeli Bóg ma jakiś cel, to nie wiem, czy mój wzrok sięga aż tak daleko, by go ujrzeć...”. Wielu z nas zapewne mogłoby to zdanie powtórzyć, odnosząc je do niejednej życiowej sytuacji, która wydaje się kompletnie pozbawiona sensu i celu. Widzimy w niej więcej zła niż dobra, nienawiści niż miłości, cierpienia niż szczęścia, bez mała przekleństwa niż błogosławieństwa. Nie wiem, jaki Bóg ma w tym cel. Tak jak nie wiedział sprawiedliwy Hiob, gdy Bóg zgodził się, aby szatan dotknął go nieszczęściem. Nie, nasz wzrok niejednokrotnie nie sięga tak daleko, by ujrzeć cel tego, któremu dana jest „wszelka władza w niebie i na ziemi” (Mt 28,18).

Teologia nie daje jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, jak pogodzić opatrnościowy plan Boga z ludzką wolnością, która bywa przyczyną niejednego nieszczęścia i cierpienia. Próbując rozwiązać ten dyktat, można popaść w dwie skrajności. Z jednej strony istnieje pogląd, że Bóg jest w swoich decyzjach całkowicie wolny i niezależny od ludzkich wyborów, ale gdzie byłoby wtedy miejsce dla wolności człowieka? Poza tym trzeba by wówczas Boga oskarżyć o wszelkie zło. Druga

skrajność to przekonanie, że nie ma żadnego planu realizowanego przez wszechwiedzącego Boga, a bieg dziejów to tylko wynik wolnych ludzkich decyzji. Nie ma tu już żadnego miejsca dla Boga i Jego opatrnościowego planu. Jedynym właściwym rozwiązaniem owego napięcia między wolą człowieka a planem Boga jest zrozumienie tego, jak Bóg i człowiek spotykają się w historii. To nigdy nie jest jakiś abstrakcyjny Bóg i abstrakcyjny człowiek, lecz zawsze taki Bóg, jakim się objawia dla tego konkretnego człowieka, i taki człowiek, jaki jest dla Boga.

Inaczej mówiąc, to konkret ludzkiego życia jest miejscem ewentualnego spotkania z Bogiem. Tylko w konkretnym doświadczeniu dany człowiek może rozpoznać działanie Boga. Ktoś inny w tym samym czy analogicznym doświadczeniu Boga nie rozpozna i żadnego planu nie zobaczy. Trzeba sobie więc najpierw odpowiedzieć, kim jest i jaki jest ten Bóg, którego plan, władzę, zamysł czy rządy chcę zobaczyć, zrozumieć i przyjąć. Myślę, że może to być tylko Jezus, czyli Bóg z krzyża. Bóg, który – jeśli można tak powiedzieć – sam przeżył plan Boga, plan będący, jak mówi św. Paweł, zgorszeniem i głupstwem (por. 1 Kor 1,23), ale przecież plan skuteczny i zbawczy; plan, który się wypełnia w Zmartwychwstaniu i Wniebowstąpieniu. A przecież – parafrazując tekst Księgi Mądrości – „Zdało się oczom głupich, że pomarł, zgon Jego poczytano za nieszczęście” (por. Mdr 3,2). A On zmartwychwstał i nas zbawił. Jeśli w takiego Boga uwierzymy, jest szansa, że Go spotkamy w każdym, nawet najbardziej niezrozumiałym nieszczęściu. Jest szansa, ale czy pewność? Niektórzy – przynajmniej – nigdy Go nie spotkali.

Na południu Francji, w miejscowości Aubrac, która leży na szlaku św. Jakuba wiodącym do sanktuarium w Santiago de Compostela, na wieży kościelnej wisi dzwon o imieniu Maria, odlany w roku 1772. Ten dzwon nazywany jest „dzwonem zagubionych”. Widnieje na nim łacińska inskrypcja: *Deo jubila, clero canta, daemones fuga, errantes revoca* – „Wielbi Boga, śpiewa dla kapłanów, wypędza demony, przyzywa błądzących”. W ten dzwon mnisi uderzali nocą, by błądzącym pielgrzymom wskazać drogę prowadzącą w górę. Przybywającym mnisi mówili „Bóg na was czeka” i ofiarowywali ciepły posiłek

wraz z posłaniem. O ile wiem, dzwon wciąż tam wisi, choć nie ma już mnichów, którzy biliby w niego nocą na ratunek błądzącym.

To prawda, że w niejednym doświadczeniu trudno nam rozpoznać ślad Boga. Ale jest miejsce, gdzie jesteśmy pewni, że „Bóg na nas czeka”. Tym miejscem jest Eucharystia. Jej też pewno zbyt mało nie rozumiemy. Tylko czy Eucharystia jest do zrozumienia? Czy Bóg jest do zrozumienia? Nie, On jest do przeżycia. Przede wszystkim: do przeżycia, do znalezienia, a dopiero potem – o ile się da – do zrozumienia. Ale pewności, że Go zrozumiemy, nie ma.

28 MAJA 2017



## Komfort Kościoła

Wieczorem owego pierwszego dnia tygodnia, tam gdzie przebywali uczniowie, choć drzwi były zamknięte z obawy przed Żydami, przyszedł Jezus, stanął pośrodku i rzekł do nich: „Pokój wam!” A to powiedziawszy, pokazał im ręce i bok. Uradowali się zatem uczniowie, ujrawszy Pana. A Jezus znowu rzekł do nich: „Pokój wam! Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam”. Po tych słowach tchnął na nich i powiedział im: „Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuszcicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane” (J 20,19–23).

„Pocieszycielem jesteś zwan” – przyzwyczailiśmy się do tej frazy z hymnu *Veni Creator (O, Stworzycielu Duchu, przyjdź)*. Przez wiele stuleci w polskiej tradycji teologicznej Duch Święty nazywany był Pocieszycielem. „Ja zaś będę prosił Ojca, a innego Pocieszyciela da wam, aby z wami był na zawsze” (por. J 14,16) – zapowiadał Jezus. W najnowszym, piątym już, wydaniu Biblii Tysiąclecia, które obecnie obowiązuje w liturgii, Pocieszyciela już nie ma. Zastąpił Go Paraklet. Tłumacze zapewne doszli do wniosku, że żaden polski odpowiednik nie oddaje całej bogatej treści greckiego słowa *Parakletos*, którego użył Jezus na określenie Ducha Świętego. Paraklet to nie to samo co pocieszyciel, a przynajmniej to nie tylko pocieszyciel. Jak mówią słowniki, rzeczownik *parakletos* znaczy dosłownie „przywołany na pomoc”. Paraklet

(*Parakletos*) to starożytny termin techniczny, stosowany w sądownictwie wobec człowieka wezwanego do pomocy prawnej oskarżonemu w procesie (łac. *ad-vocatus* – „przywołany”). To on występował i przemawiał w sądzie w imieniu oskarżonego. Paraklet to obrońca, adwokat, rzecznik, wspomożyciel, orędownik czy asystent.

Myślę, że dobrze się stało, że tłumacze odeszli od Pocieszyciela na rzecz Parakleta. Mnie osobiście pocieszenie i pocieszyciel kojarzą się umiarkowanie dobrze, by nie powiedzieć – źle. Bardzo często pocieszenie bywa bowiem prowadzane do poklepywania po ramieniu, do uścisku, do słów typu „Nie martw się, jakoś to będzie”. Pocieszenie niejednokrotnie zamienia się w tzw. tanią pociechę, która nic nie kosztuje pocieszyciela, a pocieszanemu wcale nie przynosi żadnego wzmocnienia. Zdarza się także, że w chwilach trudnych szukamy pocieszenia w cudzych ramionach. I nie jest to zazwyczaj dobre pocieszenie, zwłaszcza wtedy, gdy są to ramiona cudzego męża czy cudzej żony. Pocieszenie, które daje Duch Święty, jest zupełnie innego rodzaju.

Interesujące inspiracje kaznodziejskie można znaleźć czasami w nieoczekiwanym miejscu. Nie tak dawno czytałem fascynującą skądinąd książkę pt. *Dom. Krótka historia idei* autorstwa Witolda Rybczyńskiego. Autor zastanawia się nad tym, co to znaczy „komfortowy dom”. Każdy by chciał taki mieć. Ale co to jest ten komfort? Rybczyński pisze: „Słowo «komfortowy» nie miało pierwotnie nic wspólnego z zadowoleniem czy przyjemnością. Jego korzeniem jest łacińskie *confortare* – «wzmocniać» albo «pocieszać» – i w takim znaczeniu używano go przez wieki. Mówiło się: «Był komfortem dla swojej matki na stare lata». W tym samym sensie stosowano je w teologii: Komforter – Duch Święty. [...] w świeckiej terminologii epoki wiktoriańskiej «komforter» przestał znaczyć «Zbawiciel», natomiast słowo to zaczęło oznaczać ciepły, trykotowy szal; dziś to pikowana kołderka»<sup>1</sup>.

Autor odwołuje się oczywiście do języka angielskiego. W polskiej literaturze teologicznej nie znalazłem przykładu użycia wobec osoby

<sup>1</sup> W. Rybczyński, *Dom. Krótka historia idei*, tłum. K. Husarska, Kraków 2015, s. 38–39.

Ducha Świętego tytułu Komforter. Może dlatego, że trudno byłoby ten termin przetłumaczyć na język polski. Powiedzieć o Duchu Świętym, że jest „Wzmacniaczem”, nie brzmi najlepiej. Z dwójga złego już wolę obraz Ducha Świętego jako pikowanej kołderki... Ale ta analogia do języka angielskiego jest bardzo interesująca, ponieważ pokazuje, że chodzi nie tyle o „pocieszenie”, co o „pociechę”. A to są przecież dwa różne słowa, które oznaczają dwie różne rzeczywistości. Czy i my nie mówimy czasami, że ktoś był dla kogoś pociechą na stare lata? Taką pociechą jest wiara. Taką pociechą jest Duch Święty. Pociechą, a nie pocieszeniem. To znaczy pomocą, wsparciem i otuchą. Ktoś, kto przychodzi z pociechą, nie wmawia, że jakoś to będzie. Ani też nie daje fałszywej nadziei, że będzie lepiej. Ten, kto przychodzi z pociechą, mówi, że będzie, jak ma być, ale w tym, co przyniesie przyszłość, nie jesteś sam. Jest z tobą Paraklet – ten, którego obecność przynosi wzmocnienie. To jest ten – chciałoby się powiedzieć – komfort, który daje sam Duch Święty.

A cała ta może nieco skomplikowana analiza filologiczna jest po to, abyśmy w tej perspektywie przeczytali dzisiejszą Ewangelię. Jezusowe zaproszenie „Weźmijcie Ducha Świętego”, które najpierw przeznaczone było dla Apostołów zgromadzonych w Wieczerniku, odnosi się także do nas. Jezus kieruje to wezwanie do tych, którzy zebrali się tam, gdzie „drzwi były zamknięte z obawy przed Żydami” (J 20,19). Obawy uczniów były zrozumiałe. Pamiętali choćby te słowa Jezusa: „Jeżeli Mnie prześladowali, to i was będą prześladować” (J 15,20), które przecież wypowiedział nie tak dawno, bo przed kilkoma dniami, podczas Ostatniej Wieczerzy. Pogłoski o Zmartwychwstaniu Jezusa i rozpowiadana historia rzekomego wykradzenia ciała Chrystusa z grobu zapewne nie uspokajały nastrojów wszystkich tych, którzy dążyli do skazania Jezusa na śmierć. A w dodatku niektórzy uczniowie znani byli przełożonym ludu. Nienawiść wobec Mistrza mogła zostać teraz skierowana wobec Jego uczniów. Dlatego zaryglowali drzwi od środka. Świat na zewnątrz był światem wrogiem. Znamy to aż za dobrze. I w nas jest pokusa ryglowania drzwi przed światem, który na nas czyha. Czasami

jest to prawda, a czasami tylko tak nam się zdaje. Nie wiem, co części. Strach ma wielkie oczy. Tak czy inaczej, poza te zamknięte drzwi naszych serc, naszych domów czy naszych kościołów nie należy wychodzić bez Ducha Świętego. To dopiero On – jak wówczas Apostołom – pozwala mówić „obcymi językami”, tak aby stać się dla tego świata zrozumiałym. To On jest naszym Parakletem, naszym adwokatem, tłumaczem i komfortem.

W jednym ze swoich kazań kard. Jorge Mario Bergoglio przyrównywał Kościół do wdowy. „Przez to, że zabrali jej pana młodego, oblubienica płacze, zostaje sama, jest owdowiała. To objawienie wdowieństwa Kościoła, który oczekuje na ostateczne przyjście Oblubieńca”<sup>2</sup>. To my wszyscy oczekujący powtórnego przyjścia Jezusa jesteśmy tym Kościołem-wdową, a Duch Święty jest dla nas pociechą na te „wdowie lata”. Aż chciałoby się powiedzieć, że dzięki Niemu czujemy się komfortowo.

4 CZERWCA 2017

<sup>2</sup> J.M. Bergoglio / Franciszek, *Otwarty umysł, wierzące serce. Rekolekcje papieża Franciszka*, tłum. M. Juszcak, M. Grygierowska, Kraków 2013, s. 172.

## Nie daj się, duszo, we mnie zabić

Nie bójcie się więc [ludzi]! Nie ma bowiem nic skrytego, co by nie miało być wyjawione, ani nic tajemnego, o czym by się nie miano dowiedzieć. Co mówię wam w ciemności, powtarzajcie w świetle, a co słyszycie na ucho, rozgłaszajcie na dachach. Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle. Czyż nie sprzedają dwóch wróbli za asa? A przecież bez woli Ojca waszego żaden z nich nie spadnie na ziemię. U was zaś policzone są nawet wszystkie włosy na głowie. Dlatego nie bójcie się: jesteście ważniejsi niż wiele wróbli.

Do każdego więc, kto się przyzna do Mnie przed ludźmi, przyznam się i Ja przed moim Ojcem, który jest w niebie. Lecz kto się Mnie zaprze przed ludźmi, tego zaprę się i Ja przed moim Ojcem, który jest w niebie” (Mt 10,26–33).

Jak rzadko kiedy, dzisiejsza Ewangelia dowodzi, że orędzie przyniesione przez Jezusa jest nieżyłowe. „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało” (Mt 10,28) – mówi Jezus. Czy może być coś bardziej nieżyłowego, nielogicznego, by nie powiedzieć – nieludzkiego?

Wszyscy doskonale wiemy, że za potrzebami fizjologicznymi, a więc aby mieć co zjeść, gdzie się ukryć i czym się odziać, zaraz idą potrzeby bezpieczeństwa. Każdy zdrowy psychicznie człowiek chce się czuć

bezpiecznie, a więc normalnie unika wszystkiego, co może zaszkodzić jego życiu i zdrowiu, a już na pewno wszelkich sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia.

Kto się nie boi tych, którzy zabijają ciało? Nawet żołnierz na wojnie się boi. I właśnie ta bojaźń chroni go przed podejmowaniem działań, których ryzyko jest zbyt wielkie. Żołnierz, który się nie boi, przestaje cenić własne życie, staje się fanatykiem. To z takich właśnie ludzi rekrutuje się terrorystów. Normalny człowiek swoje życie ceni i chroni. Życie własne i życie najbliższych.

W ostatnim czasie lęk przed tymi, co – mówiąc językiem Ewangelii – czyhają, by zabić nasze ciało, narasta. Prawie każdy tydzień przynosi nowe informacje o zamachach terrorystycznych w Europie. Niestety, natura mediów jest taka, że mówi przede wszystkim o tym, co ekstremalne, normalne życie nie interesuje kamer ani dziennikarzy. Wydarzenia, które stanowią jakiś promień, a może i mniejszą część naszej rzeczywistości, w mediach zajmują czasami 99 proc. czasu antenowego.

Rzeczywistość, która dociera do nas za pomocą ekranu telewizyjnego czy komputerowego, jest zupełnie inna niż ta za oknem. Wystarczy spojrzeć dookoła. Obok każdego z was siedzi inny chrześcijanin, a nie terrorysta. Biskup Krzysztof Zadarko, który z ramienia polskiego episkopatu zajmuje się problemem emigracji, w jednej z debat powiedział niedawno: „lęk stał się dominującym argumentem. Nie przyjeżdżając do Polski, terroryści odnieśli sukces. Zostaliśmy sterroryzowani strachem”<sup>1</sup>.

To prawda. Lęk przed terrorystami to w Polsce w dużej mierze lęk fantomowy. Ale ja ten strach w pewnym sensie rozumiem. Nie mam żony ani dzieci, a więc to zagrożenie trudniej przekłada mi się na konkret. Staram się zrozumieć tych, którzy oczyma duszy widzą w uchodźcy potencjalnego mordercę i gwałciiciela, choć – przyznajmy to szczerze – trudno mówić dzisiaj o rzeczywistym zagrożeniu. Czasami strach uniemożliwia logiczne myślenie, zwłaszcza gdy opieramy

<sup>1</sup> Debata „Ziemia komu obiecana?”, 18.06.2017. Cyt. za: <http://laboratorium.wiez.pl>.

je na jednostronnej wizji medialnej. Zresztą obie są jednostronne: i ta mówiąca, że zagrożenie jest realne i bezpośrednie, jak i ta, że nie ma żadnego zagrożenia. Z jednej strony będzie strach fantomowy, a z drugiej naiwność.

Ale jest w tym wszystkim jeszcze jeden problem: problem naszej duszy. Niestety, strach przed terrorystami skutecznie sparaliżował wszelkie odruchy miłości bliźniego wobec potencjalnych uchodźców, których zresztą w Polsce nie ma i pewno w najbliższym czasie nie będzie.

„Nagich przyodziać, podróżnych w dom przyjąć, głodnych nakarmić” w naszej świadomości tamtych nie dotyczy. Apele papieża Franciszka pozostają wołaniem na puszcy. A Chrystusowe „Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili” (Mt 25,45) wykreśliliśmy z Ewangelii. Pozostaje pytanie, czy mając taką postawę możemy jeszcze się nazywać chrześcijanami?

Arcybiskup Alfons Nossol w niedawnym wywiadzie mówił: „Obawy przed uchodźcami wydają się naturalne, ale trzeba mieć świadomość, że cała Ewangelia jest ryzykiem, jeśli chce się ją brać serio i dostosować do niej swoje życie [...], ludzie boją się ryzyka bycia chrześcijaninem w czasie kryzysu. Rozumiem te obawy, ale – jeszcze raz powtórzę – bez ryzyka nie ma autentycznego chrześcijaństwa”<sup>2</sup>.

I to jest właśnie kwestia duszy. „Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle” (Mt 10,28). Jednym z narzędzi tego, który chce zabić naszą duszę, a więc Złego, jest właśnie strach, strach o własne życie, strach tak wielki, że może sparaliżować naszą wiarę w Ewangelię, nasze posłuszeństwo słowom Chrystusa i naszą miłość bliźniego.

Ale ten strach – mniej lub bardziej zasadny – jest przecież ludzki. Nie każdy zdoła go w sobie pokonać. Nie każdy gotów jest podjąć ryzyko Ewangelii. W czasach okrutnych prześladowań Kościoła za cesarza Dioklecjana wielu chrześcijan wyrzekło się wiary ze strachu przed okrutnymi torturami i śmiercią. A przecież nie trzeba było wiele, by

<sup>2</sup> A. Nossol [wywiad:] *Nie byłem szczęśliwym biskupem*, „Gazeta Wyborcza”, Opole, 23.06.2017 r.

przetrwać. Wystarczyło w świątyni pogańskiej rzucić na ogień kilka ziaren kadziła, by otrzymać zaświadczenie komisji cesarskiej i żyć w spokoju. Tych, którzy to zrobili, nazywano „upadłymi” (łac. *lapsi*). Jak widać, nie wszyscy byli gotowi, by zostać męczennikami.

W Kościele toczył się spór, co zrobić z upadłymi: na zawsze wykluczyć z Kościoła czy pozwolić im na powrót po odbyciu pokuty. Zwyciężyło to drugie stanowisko. Kościół przyjął realistyczną postawę, uznając, że nie każdy może być męczennikiem, a strach przed cierpieniem, bólem, śmiercią – jeśli nie usprawiedliwia, to czyni tę postawę zrozumiałą i wybaczną.

A co z duszą? „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekło” (Mt 10,28) – mówi Jezus. Żeby się jednak tym przejąć, trzeba najpierw uwierzyć w piekło, w możliwość potępienia, w śmierć duszy z powodu grzechu, w śmierć wieczną. W śmierć duchową, gorszą niż ta cielesna. Bez tego strach o ciało zawsze będzie większy od strachu o duszę. I troska też.

Halina Poświatowska pisała w jednym ze swoich wierszy:

powiedziałam mojej duszy zostań [...]  
 spytałam  
 ile jest sensu  
 w geometrii zdarzeń  
 w ruchu po kole  
 mijając mnie  
 spytała  
 a ile we mnie?<sup>3</sup>

No właśnie: ile jest sensu w duszy? Tyle w niej sensu, co logiki w dzisiejszej Ewangelii, która wbrew rozsądkowi wzywa, by się nie bać tych,

<sup>3</sup> H. Poświatowska, \*\*\* [powiedziałam mojej duszy zostań], w: *tejże, Wiersze wybrane*, Kraków 1995, s. 310.



co zabijają ciało. Bo kto się nie boi tych, co zabijają ciało? Wszyscy się po trochę boimy. Nawet męczennicy. Ale ci pokonują ten strach miłością do Chrystusa. A my się wciąż boimy.

I ja też się boję tych, co ciało zabijają. Czasami bardziej tych niż tego, co duszę moją może zatracić. I nie ma co ukrywać, że i mnie daleko do ryzyka Ewangelii. Ale mimo strachu powtórzę za poetką – „powiedziałem mojej duszy: zostań”. Nie daj się, duszo, we mnie zabić. Nie pozwól, by cię strach pokonał.

25 CZERWCA 2017

## Stary poganin we mnie

Kto kocha ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. I kto kocha syna lub córkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. Kto nie bierze swego krzyża, a idzie za Mną, nie jest Mnie godzien. Kto chce znaleźć swe życie, straci je, a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je.

Kto was przyjmuje, Mnie przyjmuje; a kto Mnie przyjmuje, przyjmuje Tego, który Mnie posłał. Kto przyjmuje proroka jako proroka, nagrodę proroka otrzyma. Kto przyjmuje sprawiedliwego jako sprawiedliwego, nagrodę sprawiedliwego otrzyma. Kto poda kubek świeżej wody do picia jednemu z tych najmniejszych, dlatego że jest uczniem, zaprawdę, powiadam wam, nie utraci swojej nagrody (Mt 10,37–42).

„Kto miłuje ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. I kto miłuje syna lub córkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien” (Mt 10,37) – mówi dzisiaj Jezus. W wersji zapisanej przez św. Łukasza brzmi to jeszcze bardziej stanowczo: „Jeśli ktoś przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i siostr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem” (Łk 14,26). Kochać bardziej lub mniej ze względu na Jezusa – to jeszcze wydaje się nam do przyjęcia, ale nienawidzić – to wywołuje w nas oburzenie i protest.

Aby dobrze zrozumieć dzisiejszą Ewangelię, trzeba wziąć pod uwagę semicką retorykę, czyli żydowski sposób wyrażania myśli. Retoryka ta

charakteryzuje się – między innymi oczywiście – skłonnością do przesady oraz zamiłowaniem do opozycji i przeciwstawieństw. Dlatego tak często w Jezusowych wypowiedziach pojawiają się takie właśnie zestawienia: życie i śmierć, błogosławieństwo i przekleństwo (błogosławienie i biadanie), panny mądre i głupie, droga wąska i szeroka, miłość i nienawiść, zachować i stracić – by poprzestać tylko na tych przykładach.

Dokonywane w ten sposób zestawianie ze sobą skrajności czy wykluczających się postaw ma wzmocnić kategoryczność wyboru. W postępowaniu za Jezusem nie ma stanów pośrednich. Jest za to opowiedzenie się za albo przeciw. Jest wezwanie, by kierować się pewnym fundamentalnym wyborem, który ma się wciąż ponawiać i realizować w kolejnych – małych, codziennych wyborach, jak to genialnie wyraził niegdyś Jerzy Liebert w dobrze znanym wierszu *Jeździec*: „Uczyniwszy na wieki wybór, / W każdej chwili wybierać muszę”<sup>1</sup>. Ten, kto chce iść za Nim, musi dokonać wyboru.

W roku 1958 młody, 31-letni ksiądz Joseph Ratzinger, świeżo mianowany profesor na uniwersytecie w Bonn, opublikował artykuł zatytułowany *Neopoganie i Kościół*<sup>2</sup>. Ten artykuł wywołał wówczas bardzo duże zamieszanie. Jak stwierdził sam Ratzinger, reakcje były „ogólnie bardzo negatywne”. Co takiego bulwersującego napisał Ratzinger? Otóż postawił on bardzo śmiało jak na tamte lata – i na dzisiaj też – diagnozę. Pisał, że „mamy do czynienia z pogaństwem w Kościele oraz z Kościołem, w którego sercu krzewi się pogaństwo”.

To rzeczywiście śmiała teza. Żeby wyjaśnić, co ma na myśli, mówiąc o neopogaństwie, Ratzinger wraca do początków chrześcijaństwa, „kiedy to doszło do powstania Kościoła z pogan, którzy stali się chrześcijanami”. Pierwotnie Kościół „zasadzał się na fundamencie duchowej decyzji jednostki wybierającej wiarę, na akcie nawrócenia”. Rodzący się w ten sposób Kościół „pozostawał wspólnotą przekonanych, osób,

<sup>1</sup> J. Liebert, *Jeździec*, w: tegoż, *Gusła*, Warszawa 1930, s. 50.

<sup>2</sup> Por. J. Ratzinger, *Neopoganie i Kościół*, w: P. Seewald, *Benedykt XVI. Ostatnie rozmowy*, tłum. J. Jurczyński, Kraków 2016, s. 297–298.

które wzięły na siebie określoną duchową decyzję i tym odróżniali się od innych, którzy z jej podjęcia zrezygnowali”. Co się później wydarzyło z Kościołem? Radykalna zmiana nastąpiła w średniowieczu. Ratzinger pisze, że w tym okresie „Kościół i świat stały się tożsame”. Przynależność do Kościoła przestała być skutkiem osobistego wyboru, „bycie chrześcijaninem przestało być właściwie własnym stanowiskiem”, a stało się „raczej polityczno-kulturową wytyczną”.

W ten sposób członkami Kościoła stali się także ci, którzy – owszem – zostali ochrzczeni, ale nigdy nie dokonali osobistego wyboru, faktycznie nigdy nie uwierzyli, a byli częścią Kościoła z tradycji, układu politycznego, z powodu dominującej kultury. Z mamy i z taty, ale nie z siebie. W pewnym sensie bycie chrześcijaninem było czymś naturalnym i oczywistym. Jaka ma być przyszłość Kościoła? Sam Ratzinger pyta, „czy ponownie nie należałoby przekształcić Kościoła w mniejszą wspólnotę żyjących jednym przekonaniem”? Tak więc – jak sugeruje późniejszy papież Benedykt XVI – od formalnej przynależności wynikającej z chrztu należy przejść do osobistego wyboru, świadomej przynależności, indywidualnej decyzji wiary.

I tutaj muszę zrobić nawias. Przygotowywałem to kazanie, zanim pojawił się dym, a potem płomień na wieży katedry gorzowskiej, zanim ogarnął ją pożar. Wczoraj, w trakcie transmisji na żywo, bp Tadeusz Lityński na tle zwalistej bryły wieży katedry otoczonej drabinami strażaków powiedział: „Patrząc na katedrę, czuję, jakby cierpiała. To matka wszystkich kościołów i ona jest cierpiąca”<sup>3</sup>. Nie, oczywiście, emocje, które wywołuje pożar kościoła, to jeszcze nie jest sprawdzian wiary ani przynależności do Kościoła czy Chrystusa. Ale pamiętam broszurę wydaną na kolejną rocznicę katedry w Reims. A na niej tytuł *Katedra zbudowana na miarę wiary jej budowniczych*. W musicalu *Notre Dame de Paris* Gringoire śpiewał: „Człowiek chciał wznieść się ku gwiazdom / By napisać swą historię / W szkłe i kamieniu”<sup>4</sup>. Może

<sup>3</sup> Cyt. za: „Gazeta Wyborcza”, Gorzów Wielkopolski, 1.07.2017 r.

<sup>4</sup> B. Pelletier, *Le temps des cathédrales*, słowa: L. Plamondon (tłum. własne).

i takie przynosi nam Pan próby wiary? Z jaką wiarą ją odbudujemy, przywrócimy do użytku, by znów można w niej było słać Boga? Jak wysoko wzniesiemy ją ku gwiazdom?

Ale wróćmy do naszej dzisiejszej Ewangelii. Czymże jest w tej perspektywie neopogaństwo? Dobrze to wyjaśnia sam Chrystus w dzisiejszej Ewangelii: „Kto nie bierze swego krzyża, a idzie za Mną, nie jest Mnie godzien” (Mt 10,38). Neopogaństwo to formalna deklaracja wiary bez jednoczesnego dokonania wyboru, by pójść za Chrystusem ze wszystkimi wymaganiami, które wynikają z krzyża. To chrześcijaństwo bez wyboru Jezusa, to przynależność do Kościoła bez wiary. Pogan nie trzeba szukać na misjach. Paganie są wśród nas. To ci, którzy żyją tak, jakby nie wybrali Jezusa, choć często mówią, że są wierzący.

Jak to się ma do wezwania Jezusa, aby kochać Go bardziej niż ojca i matkę? Ojciec Jacek Salij, nestor polskich teologów, tak pisał, komentując dzisiejszą Ewangelię: „Otóż stary poganin, który ciągle jeszcze w każdym z nas siedzi, gotów [jest] zareagować na te słowa następującą wątpliwością: Dlaczego Pan Jezus, domagając się naszej miłości, jest taki zaborczy? Rzecz jasna, nowy człowiek – w jakiego, ufajmy, że się przemieniamy – rozumie to doskonale, iż kochać kogokolwiek więcej niż Boga znaczy kochać nieprawdziwie. Bo w ogóle świat, w którym Bóg nie jest Kimś Pierwszym, jest światem nieprawdziwym, wypaczonym przez nasz grzech”<sup>5</sup>. No właśnie: pozwolić Bogu być kimś pierwszym – to fundament chrześcijańskiego życia. Na to właśnie nie chce się zgodzić ten „stary poganin”, który jest we mnie i który gotów jest oskarżać Boga o zaborczość.

Ratzinger pisał, że neopogaństwo rodzi się w sercu Kościoła. To prawda. Bo ono się rodzi w sercu każdego z nas. I nie trzeba szukać daleko. Nie trzeba myśleć o tych, co to „do kościoła nie chodzą, a mówią, że wierzą”, albo że są „wierzący, a niepraktykujący”. Pogaństwo rodzi się zawsze wtedy, gdy kocham coś lub kogoś bardziej niż Jego. Gdy

<sup>5</sup> J. Salij, *Pytania nieobojętne*, Poznań 1986, s. 200–201.

deklaruję, że niby za Nim idę, ale krzyża nie biorę, krzyż zostawiam. „Kto chce znaleźć swe życie, straci je, a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je” (Mt 10,39) – mówi dzisiaj Jezus. Pogaństwo we mnie to ten strach: że trzeba będzie dla Niego stracić życie, by je w końcu znaleźć. Ten strach przed stratą budzi mnie po nocach.

2 LIPCA 2017

## Siewca, czyli kaznodziejska (nie)dola

Owego dnia Jezus wyszedł z domu i usiadł nad jeziorem. Wnet zebrali się koło Niego tłumy tak wielkie, że wszedł do łodzi i usiadł, a cały lud stał na brzegu. I mówił im wiele w przypowieściach tymi słowami:

„Oto siewca wyszedł siał. A gdy siał, jedno [ziarna] padły na drogę, nadleciały ptaki i wydziobały je. Inne padły na grunt skalisty, gdzie niewiele miały ziemi; i wnet powschodziły, bo gleba nie była głęboka. Lecz gdy słońce wzeszło, przypaliły się i uschły, bo nie miały korzenia. Inne znowu padły między ciernie, a ciernie wybujały i zagłuszyły je. Inne wreszcie padły na ziemię żyzną i plon wydały, jedno stokrotny, drugie sześćdziesięciokrotny, a inne trzydziestokrotny. Kto ma uszy, niechaj słucha!” (Mt 13,1–9).

Jezus wylicza dzisiaj cztery typy słuchaczy: ci, którzy są jak droga, jak grunt skalisty, jak gleba ciernista i jak ziemia żyzna. Tylko ten ostatni jest słuchaczem skutecznym. Trzej pierwsi narażeni są na niepowodzenie. A to Zły – niczym ptaki na drodze – przychodzi i porywa to, co zasiane. A to nasienie słowa nie ma jak zapuścić korzenia w naszym sercu, które jest niczym skała, a na sercu kamiennym niewiele wszak wyrośnie. A to troski doczesne i ułuda bogactwa zagłuszają słowo

niczym ciernie. A nawet ten, którego serce jest jak żyzna gleba, wcale nie gwarantuje sukcesu, jedni bowiem wydają plon stokrotny, inni sześćdziesięciokrotny, a jeszcze inni trzydziestokrotny, a są pewno też i tacy, którzy ledwo dziesięciokrotny plon wydadzą. Wszak słuchacz do słuchacza niepodobny, a plon zależy nie tylko od jakości ziarna, ale też od gleby.

Gleba – jak wiadomo – glebie nierówna, z czego doskonale zdawał sobie sprawę Jakub z Vitry, średniowieczny autor, skoro wyróżnił aż sto dwadzieścia kategorii słuchaczy! Polski autor tego samego czasu, Piotr z Miłosławia, wyróżnił tylko cztery typy. Pierwszy obejmuje tych, którzy słuchają chętnie, ale szybko popadają w grzechy, albowiem to, co jednym uchem usłyszeli, drugim wypuścili. Drugi typ to ci, którzy opowiadań i ciekawostek chętniej słuchają niż kazania. Dziś pewno byliby namiętnymi czytelnikami Pudelka. Trzeci rodzaj słuchacza to ten, kto słucha słów Bożych tylko po to, by się pochwalić ich znajomością. Czwarty typ stanowią ci, którzy słuchają, by naprawić swoje życie. Tylko ci słuchają „uszami serca”.

Kiedy się słyszy takie wyliczenia typów słuchaczy, to łatwo popaść w stan bardzo dobrze opisywany wyrażeniem „Jakiego mnie, Panie Boże, stworzyłeś, takiego mnie masz”. Słowa te niejednego już zwolniły z pracy nad sobą i z odpowiedzialności za siebie. Można nimi usprawiedliwić wszelką bylejakość. Bo co ja poradzę, że serce mam kamienne, trosk doczesnych bez liku, a i Zły się na mnie wziął? Kaznodzieje średniowieczni mieli i na to odpowiedź. Do słuchania kazania należało się przygotować: glebę serca użyźnić, przekopać, kamienie wyzbierać, ciernie wykarczować. Jeden z kaznodziejów wyliczał, że konieczne są do spełnienia cztery warunki owocnego słuchania: pokora, spokój od trosk ziemskich, brak pogardy dla mówiącego, uczucia czyste i niezepsute, a umysł niezaślepiony. To oczywiste, że nie da się zostawić życia za drzwiami kościoła, ale nie znaczy to też, że zupełnie nie da się tego serca do słuchania przysposobić.

Jedną z przeszkód w słuchaniu kazania bywa sam ksiądz, jego obraz, nasz do niego stosunek, lubienie czy nielubienie. Skąd się ono bierze?



Przygotowując ostatnio artykuł o społecznym obrazie zawodu księdza, przeczytałem, że niegdyś, jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, ocena poszczególnych zawodów wiązała się bezpośrednio z oceną osób, które te zawody wykonują. Oceniało się jakiś zawód z perspektywy osobistego doświadczenia, na podstawie spotkania. Ktoś znał dobrego księdza i tą opinią obejmował cały stan kapłański (podobnie było niestety ze złą opinią). Obecnie prestiż wielu zawodów utożsamiany jest z prestiżem instytucji, którą reprezentują. Prestiż księdza jest dzisiaj w dużej mierze pochodną tego, co się pisze czy mówi o Kościele. Ksiądz jest bardziej postrzegany jako funkcjonariusz niż jako kapłan realizujący swoją sakralną funkcję pośrednika między Bogiem a ludźmi, bardziej mówi w imieniu Kościoła niż w imieniu Boga. Tak jest zresztą z innymi zawodami. To nie opinia o konkretnym sędzim, lekarzu czy policjancie kształtuje naszą opinię o zawodach, które reprezentują, ale uprzednie przekonania o służbie zdrowia, sądach i policji w ogóle. Ile to razy słyszeliśmy w rozmowach wypowiedzi typu: „Wiesz, jaka jest teraz służba zdrowia. Wiesz, kto siedzi w sądach” albo „Wiesz, jaki jest dzisiaj Kościół”. Trudno potem takie przekonanie zmienić nawet niejednym dobrym przykładem.

Ale wróćmy do słuchania słowa Bożego. Kiedy się czyta średnio-wiecznych kaznodziejów, trudno oprzeć się wrażeniu poczucia wielkiego realizmu duszpasterskiego, jakim się odznaczeni. Mieli świadomość, że skuteczność kazania to nie tylko owoc ich krasomówczych zdolności, ale także właściwego nastawienia słuchacza i – co przecież wcale nie jest takie nieistotne – łaski Bożej. Jaki przyniesie skutek ta współpraca trzech podmiotów: kaznodziei, słuchacza i Boga – nigdy nie wiadomo. Czasami ten sceptycyzm szedł bardzo daleko. Jeden z kaznodziejów, wspomniany już Piotr z Miłosławia, cytował opinię papieża Grzegorza Wielkiego, że „Większym cudem jest nawrócenie grzesznika dzięki kazaniu niż wskrzeszenie umarłego”<sup>1</sup>. A że nie znam

<sup>1</sup> „Maius miraculum est verbo predicationis peccatorem convertere quam mortuum suscitare”. Gregorius Magnus, Sermo 8; cyt. za: K. Bracha, *Nauczanie kaznodziejskiej Polsce późnego średniowiecza*, Kielce 2007, s. 112, przypis 48.

zbyt wielu przypadków wskrzeszenia w najświeższej historii, to i nawróconych przez kazania pewno też jest niewielu. Dola kaznodziei – jak widać – wydaje się prawie beznadziejna. Nie umniejszając jednak odpowiedzialności kaznodziei za to, co mówi, trzeba – dla sprawiedliwości – upomnieć się także o odpowiedzialność słuchacza. Istnieje bowiem nie tylko technika mówienia, ale także technika słuchania, nie tylko teologia głoszenia, ale także teologia słuchania. Nie tylko kaznodzieja jest odpowiedzialny za skuteczność kazania, ale i słuchacz.

Trwają wakacje. To szczególny czas naszego życia duchowego. Zdara się, że jesteśmy na Mszach św. w innych kościołach i słuchamy innych kaznodziejów. Dajmy im szansę, skoro swoich czasami mamy dość. Wsłuchajmy się w to, co ujawnia się poza i między słowami. Bóg – jeśli zechce – objawi się nawet „na zgłiszczach składni”. Nawet w byle jakim kazaniu da się znaleźć coś dla siebie, zaczepić się o słowo, frazę, obraz, myśl. Nawet jeśli się wydaje, że to bardziej ludzkie niż Boże słowo, to przecież nie jest ono głoszone bez Boga. „Słowo, które wychodzi z ust moich, nie wraca do Mnie bezowocne, zanim wpierw nie dokona tego, co chciałem, i nie spełni pomyślnie swego posłannictwa” (Iz 55,11) – zapewnia nas dzisiaj Bóg przez proroka Izajasza.

Nawet dziurawe wiadro – choć wody nie doniesie – pozostaje mokre. Takim dziurawym wiadrem może być jednak nie tylko słaby kaznodzieja, lecz także niechętny do słuchania słuchacz. A zadaniem księdza jest rzucać ziarno bez względu na glebę. Przecież nie wie, jakim słowem ten czy ów wierny nawróci się do Boga. Nie wie, co tamtego poruszy. Niejeden ksiądz może opowiedzieć o podziękowaniu za kazanie, które mu się wydawało beznadziejne, a – jak się okazuje – kogoś poruszyło. Kaznodzieja jest jak siewca, co nie ma pewności, czy wszędzie rzucone ziarno, i jak rybak, który zarzuca sieci, choć nie wie, czy połów się powiedzie czy też nie. Na jego szczęście, nie wszystko od niego zależy.

## Chleb z trującej mąki

Przedłożył im inną przypowieść: „Królestwo niebieskie podobne jest do człowieka, który posiał dobre nasienie na swojej roli. Lecz gdy ludzie spali, przyszedł jego nieprzyjaciół, nasiał chwastu między pszenicę i odszedł.

A gdy zboże wyrosło i wypuściło kłosa, wtedy pojawił się i chwast. Słudzy gospodarza przyszedli i zapytali go: «Panie, czy nie posiałeś dobrego nasienia na swej roli? Skąd więc wziął się na niej chwast?» Odpowiedział im: «Nieprzyjaczny człowiek to sprawił». Rzekli mu słudzy: «Chcesz więc, żebyśmy poszli i zebrali go?» A on im odrzekł: «Nie, byście zbierając chwast, nie wyrwali razem z nim i pszenicy. Pozwólcie obojgu rósć aż do żniwa; a w czasie żniwa powiem żęćcom: Zbierzcie najpierw chwast i powiązcie go w snopki na spalenie; pszenicę zaś zwieźcie do mego spichlerza».

Przedłożył im inną przypowieść: „Królestwo niebieskie podobne jest do ziarenka gorczycy, które ktoś wziął i posiał na swej roli. Jest ono najmniejsze ze wszystkich nasion, lecz gdy wyrośnie, większe jest od innych jarzyn i staje się drzewem, tak że ptaki podniebne przylatują i gnieźdzą się na jego gałęziach».

Powiedział im inną przypowieść: „Królestwo niebieskie podobne jest do zaczynu, który pewna kobieta wzięła i włożyła w trzy miary mąki, aż się wszystko zakwasilo».

To wszystko mówił Jezus tłumom w przypowieściach, a bez przypowieści nic im nie mówił. Tak miało się spełnić słowo Proroka: Otworzę usta w przypowieściach, wypowiem rzeczy ukryte od założenia świata.

Wtedy odprowadził tłumy i wrócił do domu. Tam przystąpili do Niego uczniowie, mówiąc: „Wyjaśnij nam przypowieść o chwacie”. On odpowiedział: „Tym, który siew dobre nasienie, jest Syn Człowieczy. Rolą jest świat, dobrym nasieniem są synowie królestwa, chwastem zaś synowie Złego. Nieprzyjacielem, który posiał chwast, jest diabeł; żniwem jest koniec świata, a żniwami są aniołowie. Jak więc zbiera się chwast i spala w ogniu, tak będzie przy końcu świata. Syn Człowieczy pośle aniołów swoich: ci zbiorą z Jego królestwa wszystkie zgorszenia oraz tych, którzy dopuszczają się nieprawości, i wrzucą ich w piec rozpalony; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. Wtedy sprawiedliwi jaśnieć będą jak słońce w królestwie Ojca swego. Kto ma uszy, niechaj słucha! [...]” (Mt 13,24–43).

Istota przesłania dzisiejszej przypowieści (Mt 13,24–43) kryje się wkazie, jaki gospodarz wydaje swoim sługom. Gdy ci chcą iść i wyplewić pole z chwastu, ten im tego stanowczo zabrania i pozwala na zachwaszczenie pola aż do żniw. Zrazu wydaje się to nielogiczne. Chwast zabiera słońce, wodę, przestrzeń, w której zboże mogłoby się dobrze rozwijać. Dlaczego gospodarz nie pozwala na wyrwanie chwastu? Aby rolnicy „zbierając chwast, nie wyrwali razem z nim i pszenicy” (Mt 13,29). Skąd brało się takie niebezpieczeństwo?

W polskiej tradycji biblijnej, która początek bierze od ks. Jakuba Wujka, przypowieść ta nazywana była przypowieścią o kąkolu. Pod osłoną nocy przychodził nieprzyjaciel i siał kąkol między pszenicą. Dlaczego kąkol? Ksiądz Jakub Wujek wyjaśniał: „Kąkol oznacza tu trawę w pierwszym okresie rozwoju do pszenicy podobną”. Nie wiem, czy rzeczywiście kąkol jest tak bardzo podobny do pszenicy, by się pomylić, ale to właśnie o tę właściwość chwastu szło Jezusowi.

Greckie słowo *zizanon* to polska życica roczna (*Lolium temulentum*), zwana też rajgrasem, trawa bardzo podobna do pszenicy, którą bardzo łatwo pomylić w okresie wzrostu. Dla zrozumienia właściwego sensu przypowieści ważne jest także to, że wspomniana życica nie jest znowu takim banalnym chwastem. Jest bowiem potencjalnie bardzo trująca. Badania archeologiczne pokazują, że w czasach starożytnych aż 86

procent nasion życicy zarażonych było grzybem *Stromatinia temulenta*, który powoduje bóle głowy, ślepotę, a dawka 0,04 g zawartej w nim temuliny, która działa narkotycznie na centralny układ nerwowy, jest dla człowieka śmiertelna.

To właśnie prawdopodobnie z powodu trujących właściwości ks. Wujek zastąpił życicę bardziej popularnym w Polsce kąkolem. Przeczytałem, że nasiona kąkolu także zawierają substancje toksyczne (m.in. saponiny i agrosteminę), są też trujące dla ludzi oraz zwierząt hodowlanych (głównie koni, bydła i świń). Jeśli dostaną się do zboża przeznaczonego na przemiał, uzyskana z niego mąka będzie skażona i stanie się trująca, a pieczywo z niej wytworzone będzie miało nieprzyjemny, goryczkowaty posmak. Po jego spożyciu mogą pojawiać się wymioty, bóle głowy, łzawienie, podrażnienie błon śluzowych, kaszel, trudności w oddychaniu, a także zaburzenia w pracy układu moczowego. Również pasza zawierająca nasiona oraz ziele kąkolu polnego nie nadaje się dla bydła, koni i świń, gdyż może powodować u nich poważne zatrucia. Zagrożenie dla zdrowia ludzi może nawet stanowić spożycie mięsa zwierząt zatrutych kąkolem. Sprawa jest więc poważna.

Jak pisze ks. Wujek, „sianie kąkolu – właściwiej owej życicy – w cudzą rolę było na Wschodzie aktem zemsty”. Zresztą, nie tylko na Wschodzie i nie tylko w czasach biblijnych. Niemiecki biblista luteński, Johann Albrecht Bengel, w dziele pt. *Gnomon Novi Testamenti*, wydany w roku 1741, przytacza wydarzenie, które miało miejsce w Anglii, gdzie na pole Gaddesby, w Leicestershire, sąsiad wysiał pomiędzy pszenicę trującą gorczycę polną, wspominaną zresztą przez Adama Mickiewicza jako „bursztynowy świerzop”, za co – oczywiście ów sąsiad, a nie Mickiewicz – został srodze ukarany. Z wyglądu piękne, a jakie trujące!

Tak czy inaczej – czy to będzie życica, czy też kąkol, czy nawet gorczyca – chodzi o taki chwast, który jest potencjalnie trujący, a który można skutecznie rozróżnić i oddzielić dopiero przy żniwach tak, by jednego nie wymłócić z drugim, a tym samym nie zatruci mąki na chleb. A chodziło o poważne niebezpieczeństwo. Greckie słowo

*zizanion*, określające ten chwast, pochodzi od słowa *zan*, czyli „wymiotować”. Ceną było zdrowie, a może i życie zwierząt i ludzi.

Po tym nieco przydługawym botanicznym wprowadzeniu wymowa przypowieści wydaje się już jednoznacznie czytelna. Pomylenie dobra ze złem jest bardzo prawdopodobne, a odróżnienie jednego od drugiego czasami wręcz niemożliwe. Jeśli ocenę tego, co dobre a co złe, podejmie się zbyt pochopnie, konsekwencje mogą być bardzo daleko idące. Nadgorliwość strażnika moralności, który wszędzie tropi zło, może doprowadzić do zniszczenia tego, co dobre, a co tylko powierzchownie, zewnętrznie wyglądało niczym trujący chwast. Kto jest chwastem, a kto pszenicą, okaże się właściwie dopiero przy żniwach, a więc na Sądzie Ostatecznym. Być może ci, którzy kreowali się na pszenicę, okażą się chwastem, a ci, których braliśmy za trujący kąkol, okażą się pszenicą. Każdy inny sąd będzie mniej lub bardziej sądem dokonanym po pozorach.

Święty Jan Chryzostom w komentarzu do Ewangelii wg św. Mateusza pisze, że „błąd przychodzi po prawdzie”, „Po prorokach przyszli fałszywi prorocy, po apostołach – fałszywi apostołowie, a po Chrystusie – Antychryst”<sup>1</sup>. „Dopóki diabeł nie widzi, co ma udawać czy przeciwko komu zastawiać pułapki, nie próbuje tego czynić, ani nie wie jak”<sup>2</sup> – pisze Chryzostom. Taka jest metoda diabła: naśladować prawdę, imitować ją, kłamstwo uprawdopodobnić podobieństwem do prawdy. Czyż nie tym jest tak popularna dzisiaj postprawda i *fake news*? Kiepskie kłamstwo jest jak sztuczny miód i wyrób czekoladopodobny, które to towary niektórzy z nas pamiętają jeszcze z dawnych czasów. Niestety, mimo że szybko się je demaskowało, dawały poczucie zaspokojenia, a może nawet smakowały. Kłamstwo ma to do siebie, że potrafi przekonująco udąć prawdę.

Ale są rzeczy poważniejsze od banalnego *fake newsa*, którego prawdziwość łatwo zweryfikować. Trzeba to jasno powiedzieć, że tak jak

<sup>1</sup> Św. Jan Chryzostom, *Homilie na Ewangelię według św. Mateusza*, cz. 2: Homilie 41–90, oprac. A. Baron, Kraków 2001, s. 59–60.

<sup>2</sup> Tamże, s. 60.

w dzisiejszej przypowieści jest z zasiewem – niestety – może być także z Ewangelią, która bywa instrumentalnie wykorzystywana, a jej wymowa zniekształcana. Dzisiaj postawą chrześcijańską niejednokrotnie chce się nazwać postępowanie, które tylko z pozoru jest podobne do Ewangelii, a w gruncie rzeczy jest jej zaprzeczeniem. Podobne bywa do pszenicy, a jest trującym chwastem.

W niejednych ustach pełno Boga i tzw. wartości chrześcijańskich, a za grosz Ewangelii i miłości bliźniego. Diabeł bywa doskonałym imitator, ale chleb, który wypieka – choć może wyglądać na dobrze wypieczony – jest trujący. Chleb z czystej mąki, który „z wielu ziaren pszenicznych się rodzi”, jest tu, przy ołtarzu, a nie przy mównicach polityków czy mikrofonach dziennikarzy. Oni mają własne, doczesne interesy, które rzadko wykraczają poza horyzont kadencji. I własny chleb, który – powiedzmy sobie szczerze – szybko czerstwieje. A tu chodzi o zbawienie ludzi i o pokarm, który musi starczyć na żywot wieczny.

I tu pierwotnie miało się kończyć dzisiejsze kazanie. Ale przed kilkoma dniami wszedłem w Londynie na Primrose Hill. Jest tam wyryty w kamieniu cytat z Williama Blake’a: „Rozmawiałem z duchowym słońcem. Widziałem je na Primrose Hill” (*I have conversed with spiritual sun. I saw him on Primrose Hill*). I przypomniałem sobie słowa Pisma: „słońce Jego wschodzi nad złymi i nad dobrymi” (Mt 5,45). Nie pozbawiajcie tego słońca nikogo, także tych, co do których macie może nawet prawie pewność, że są chwastem. Oni też mają prawo do słońca.

## O ślepej wierze i wzroku, co jej przeszkadza

Zaraz też przynaglił uczniów, żeby wsiedli do łodzi i wyprzedzili Go na drugi brzeg, zanim odprawi tłumy. Gdy to uczynił, wyszedł sam jeden na górę, aby się modlić. Wieczór zapadł, a On sam tam przebywał.

Łódź zaś była już o wiele stadiów oddalona od brzegu, miotana falami, bo wiatr był przeciwny. Lecz o czwartej straży nocnej przyszedł do nich, krocząc po jeziorze. Uczniowie, zobaczywszy Go kroczącego po jeziorze, zlékli się, myśląc, że to zjawa, i ze strachu krzyknęli. Jezus zaraz przemówił do nich: «Odwagi! To Ja jestem, nie bójcie się!» Na to odezwał się Piotr: «Panie, jeśli to Ty jesteś, każ mi przyjść do siebie po wodzie!» A On rzekł: «Przyjdź!» Piotr wyszedł z łodzi i krocząc po wodzie, podszedł do Jezusa. Lecz na widok silnego wiatru ulękł się i gdy zaczął tonąć, krzyknął: «Panie, ratuj mnie!» Jezus natychmiast wyciągnął rękę i chwycił go, mówiąc: «Czemu zwątpiłeś, człowiecze małej wiary?» Gdy wsiedli do łodzi, wiatr się uciszył. Ci zaś, którzy byli w łodzi, upadli przed Nim, mówiąc: «Prawdziwie jesteś Synem Bożym» (Mt 14,22–33).

Przed kilkoma dniami napisałem na Facebooku: „Czasami myślę, że wiara powinna być ślepa”. Pod wpisem pojawiło się wiele komentarzy. Jedni potwierdzali, inni zaprzeczali. Pisali, że – owszem – czasami, ale



przecież powinna być też rozumna i wynikać z wolności. Przypuszczam, że tak duża ambiwalencja ocen wynika z faktu, że samo wyrażenie „ślepa wiara” nie jest jednoznaczne. Można je chyba konotować zarówno pozytywnie, jak i negatywnie. Internetowy słownik podaje, że to „bezgraniczna, naiwna ufność”. „Bezgraniczna” brzmi dobrze, ale „naiwna” – niezbyt. Czas się więc wytłumaczyć z postulatu ślepej wiary.

Od wielu już lat, a dokładnie od wydania mojej książki pt. *Eucharystia zmediatyzowana*<sup>1</sup>, w której analizowałem fenomen transmisji Mszy św. w radiu i telewizji, zajmuje mnie problem związku między wiarą a widzeniem, rola spojrzenia w procesie wiary. Święty Paweł pisał – jak wiemy – że „wiara rodzi się z tego, co się słyszy” czy też „ze słyszenia” (Rz 10,17). A co z tym, „co się widzi”? Czy rodzi się też „z widzenia”? A więc nie tylko *fides ex auditu*, ale także *fides ex visu*? Kiedyś trzeba będzie temu wreszcie poświęcić pełną monografię, tymczasem zrodziło się we mnie pytanie, czy widzenie w procesie wiary bardziej nie przeszkadza niż pomaga? Czy – mówiąc inaczej – „dawać wiarę” temu, co się widzi, czy też raczej nie?

Pytanie to powraca przy okazji dzisiejszej Ewangelii. Słyszemy w niej o Piotrze, który – na wezwanie Jezusa „Przyjdź!” – szedł po jeziorze (Mt 14,22–33): „Piotr wyszedł z łodzi i krocząc po wodzie, podszedł do Jezusa” (Mt 14,29). Szedł jednak tylko do czasu: „na widok silnego wiatru uląkł się i [...] zaczął tonąć” (Mt 14,30). Ten moment wydaje mi się kluczowy. Często w komentarzach czytam, że w tym momencie Piotr odwrócił wzrok od Jezusa, przestał na Niego patrzeć i spoznał dookoła. I to go zgubiło.

Ale w tekście nie ma nic o tym, że Piotr szedł wpatrzony w Jezusa. Poza tym trzeba pamiętać, że Piotr się zastrzega: „jeśli to Ty jesteś” (Mt 14,28). Przed chwilą bowiem „Ucniowie, zobaczywszy Go kroczącego po jeziorze, zlekli się, myśląc, że to zjawa, i ze strachu krzyknęli” (Mt 14,26). Wzrok nie dawał im żadnej pewności, że to Jezus. Przeciwnie

<sup>1</sup> Por. A. Draguła, *Eucharystia zmediatyzowana. Teologiczno-pastoralna interpretacja transmisji Mszy Świętej w radiu i telewizji*, Zielona Góra 2009.

– zmylił ich, a w konsekwencji – przestraszył. To, co miało być dowodem, że to jest Jezus, to skuteczność, by nie powiedzieć – performatywność Jego słowa. Potwierdzeniem dla Piotra miało być „słowo, które działa”.

Dramat rozgrywa się więc nie między jednym a drugim spojrzeniem Piotra: na Pana i na to, co dookoła. Dramat rozgrywa się między wiarą słowu Jezusa a „wiarą” w to, co widzialne. To, co widzialne – świat wokół Piotra – nagle przemówiło do niego bardziej niż to, co przed chwilą słyszał od Pana: „Przyjdź!” (Mt 14,29). I to jest prawdziwe źródło zwątpienia. Każda wiara okazuje się mała, gdy oczom bardziej ufamy niż Słowu. Zgodnie zresztą z polskim wyrażeniem w oczach rodzi się lęk, a strach ma wielkie oczy. Jeśli nasze spojrzenie nas przeraża, a to, co widzimy, napawa nas lękiem, wiara Słowu staje się „mała” (por. Mt 14,31). Przegrywa z tym, co przed naszymi oczami.

Wydaje mi się, że tutaj jest źródło wielu „przebranych” Kościoła w debacie o współczesnych problemach społecznych czy politycznych. Powtórzę raz jeszcze to, co już pisałem wielokrotnie: obraz jest bronią. I to bronią bardzo niebezpieczną. W niejednej dyskusji na temat uchodźców, terroryzmu czy islamu argumenty z Ewangelii przegrywają z obrazami, którymi karmione są nasze oczy, a potem – serca i dusze. Obrazy – prawdziwe i nieprawdziwe – jak w soczewce koncentrujące wszystkie negatywne przykłady, wygrywają ze słowem Bożym. Czym jest wezwanie Jezusa „wszystko, co uczyniliście jednemu z tych [...] najmniejszych...” (Mt 25,40) wobec choćby jednego zdjęcia, które może w nas zrodzić strach niepokonalny? Niestety, często „dajemy wiarę” obrazom, a nie Słowu. Zresztą nie tylko w tej sytuacji, lecz także w wielu innych. Właśnie dlatego napisałem, że wiara powinna być ślepa, ale ślepa na wszystko, co nie jest słowem Boga.

Ja wiem, że to brzmi może nazbyt radykalnie, ale do własnego postulatu przekonał mnie przykład, jaki podpowiedziała w dyskusji na Facebooku Maria Rogaczewska, której bardzo, bardzo za to dziękuję. Marysia – bo tak zawsze o niej myślę – wrzuciła link z filmem z Mistrzostw Świata Osób Niepełnosprawnych w Lekkiej Atletyce. Polska biegaczka, niewidoma Joanna Mazur, wraz ze swoim przewodnikiem

Michałem Stawickim wygrywa dramatyczną walkę o złoty medal w biegu na 1500 m. Jak to skomentowała Marysia: „Wiara nie potrzebuje oczu”.

Dopytywałem potem, jaka jest rola przewodnika. Otóż przewodnik nie może wyprzedzać biegacza, nie może go ciągnąć, ale może mu mówić, jaka jest sytuacja, gdzie jest inny biegacz, którędy go ominąć, jaki wybrać tor. W pewnym sensie on jest strategiem biegu. Pomyślałem, że to rzeczywiście piękna metafora wiary. Warunkiem sukcesu jest nie tylko własna siła, wytrwałość, hart ducha, ale przede wszystkim posłuszeństwo i bezgraniczne zaufanie słowu przewodnika. Żadna dyskusja tam nie ma sensu. Trzeba się powierzyć bezgranicznie. Przewodnik jest dla niewidomego biegacza bogiem.

Znamienne jest także to, że niewidomi biegają w opaskach. Zapewne przede wszystkim po to, aby mieć wyrównane szanse, ale przypuszczam, że być może wkładają te opaski także z innego powodu. Kto zna kogoś niedowidzącego, wie dobrze, że takie – powiedzmy – „niepełne” spojrzenie może być bardzo zwodnicze, mylące. Doświadczył tego zresztą niewidomy z Ewangelii, który widział ludzi „niby drzewa” (Mk 8,24). Trudno rozpoznać kształty, wyczuć odległość i rozpoznać przestrzeń. Paradoksalnie niewidomemu wzrok może w biegu jedynie przeszkodzić. Mógłby być pokusą, by zwątpić w to, co mówi przewodnik.

Czy św. Paweł nie mówił: „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno” (1 Kor 13,12)? Może to, co widzimy, to tylko pozór? Ciekawe jest to, że słowo „pozór”, które jest dzisiaj synonimem tego, co fałszywe (oceniać po pozorach, pozory mylą), w słowniku Lindego ma zanotowane jeszcze swoje pierwotne znaczenie jako „wygląd, kształt”. „Pozór” to to, co zobaczone. Wzrok nas myli, wprowadza w błąd, bo widzi tylko to, co zewnętrzne, widzialne. Miał więc rację poeta, gdy wołał, by sięgać tam, „gdzie wzrok nie sięga”. Nie wolno się zatrzymać jedynie na tym, co widzialne, wszak „oczy są ślepe. Szukać należy sercem”, jak uczył nas już Mały Książę<sup>2</sup>.

<sup>2</sup> A. de Saint-Exupéry, *Mały Książę*, tłum. J. Szwykowski, Warszawa 1985, s. 108.

Nie wiem, co to znaczy być niedowidzącym czy też zupełnie nie widzieć. Być może jestem w wierze wciąż jak ten niedowidzący biegacz, który chciałby dyskutować z przewodnikiem? Ale czy gotów byłbym na ślepotę? „Być ślepym” w wierze to znaczy nie dawać wiary temu, co się widzi, nie powierzać się wzrokowi. „Być ślepym” w wierze to ufać Słowu mimo lęku, który rodzi się w naszych oczach na widok tego, co widzimy. Tej „ślepoty” uczyć się pewno będę całe życie. I właśnie dlatego na wiele rzeczy nie patrzę, bo wiem, jak bardzo dają się zwieść temu, co widzę. Wiem, jak łatwo obrazem pokonać we mnie słowo, jak łatwo ulec pozorom.

13 SIERPNIA 2017

## Wiara szczeniąt

Potem Jezus [...] podążył w okolice Tyru i Sydonu. A oto kobieta kananejska, wyszedłszy z tamtych stron, wołała: „Ulituj się nade mną, Panie, Synu Dawida! Moja córka jest ciężko nękana przez złego ducha”. Lecz On nie odezwał się do niej ani słowem. Na to podeszli Jego uczniowie i prosili Go: „Odpraw ją, bo krzyczy za nami”. Lecz On odpowiedział: „Jestem posłany tylko do owiec, które poginęły z domu Izraela”. A ona przysza, padła Mu do nóg i prosiła: „Panie, dopomóż mi”. On jednak odparł: „Niedobrze jest zabierać chleb dzieciom, a rzucać szczeniętom”. A ona odrzekła: „Tak, Panie, lecz i szczenięta jedzą okruchy, które spadają ze stołu ich panów”. Wtedy Jezus jej odpowiedział: „O niewiasto, wielka jest twoja wiara; niech ci się stanie, jak pragniesz!” Od tej chwili jej córka była zdrowa (Mt 15,21–28).

Kobieta kananejska nie należała do Narodu Wybranego, nie była Izraelitką. Była przedstawicielką tych narodów, które przed setkami lat Izraelici pobili i wygnali z Ziemi Obiecanej po powrocie z Egiptu. Marek nazywa ją Syrofenicjanką, co zgodne jest z prawdą, gdyż Fenicjanie byli potomkami Kananejczyków. Nie mieszkała pośród Żydów, ale poza granicami Izraela, dlatego Ewangelista zanotował, że wyszła „z tamtych stron” (Mt 15,22). Zdawała sobie sprawę z tego, że jest obca i że nic się jej nie należy, a jednak przychodzi do Jezusa.

Dochodzi więc do spotkania, które przecież z punktu widzenia żydowskiego prawa nie powinno mieć miejsca. Do Jezusa przychodzi nieznajoma kobieta, poganka, i zaczyna z Nim rozmowę. Co więcej, jej córka była opętana przez ducha nieczystego, a przez kontakt z nią, także ona sama. Trudno się więc dziwić, że uczniowie Jezusa chcieli ją odprawić.

Rozmowa kobiety z Jezusem rozgrywa się na poziomie metaforycznym. Jezus jako pierwszy sięga do obrazu dzieci, chleba i szczeniąt: „Niedobrze jest zabierać chleb dzieciom, a rzucać szczeniętom” (Mt 15,26). Chleb jest tutaj symbolem darów zbawczych, które należą się Żydom kryjącym się pod obrazem dzieci. A kim są szczenięta? W Talmudzie mamy takie zdanie: „Poganie podobni są do psów”. Dlaczego akurat do psów? Psy uważane były przez Izraelitów za zwierzęta nieczyste, choćby dlatego, że biegały gdzie chciały, a tym samym mogły dotykać tego, co rytualnie nieczyste, na przykład grobów albo ludzi chorych. Pamiętamy Łazarza, którego rany przychodziły lizać psy (por. Łk 16,21). Żydzi raczej nie hodowali psów, może dlatego tak mało ich w Biblii. Wyjątkiem może być starotestamentalny Tobiasz, który wyruszył w podróż z aniołem i psem (por. Tb 11,4). Ale jak mówią egzegeci, to znak hellenizacji judaizmu, ulegania obcym wpływom i modom. Tradycyjny Żyd używał słowa „pies” jako inwektywy, wyłącznie po to, by kogoś obrazić.

Kobieta kananejska zapewne miała świadomość, że Żydzi nazywali pogan psami, dlatego tak szybko podejmuje dialog z Jezusem. Dodajmy – bardzo inteligentny dialog. Najpierw przyznaje Jezusowi rację. Mówi Mu: „Tak” (Mt 15,27). Nie neguje religijnego porządku. Nie zaprzecza, że dary łaski należą się Żydom, ale jednocześnie wprowadza zupełnie inną logikę – logikę niezасłużonego daru: „lecz i szczenięta jedzą okruchy, które spadają ze stołu ich panów” (Mt 15,27). I właśnie wtedy Jezus jej mówi: „wielka jest twoja wiara” (Mt 15,28). Właśnie – wiara. Prawdziwa wiara zaczyna się wtedy, gdy jedynym, czego się oczekuje – jeśli w ogóle można tego oczekiwać – jest dar, a nie należność, która wynikać by miała z religijnej postawy. Jak pisze papież Benedykt XVI,

„nie możemy [...] – używając klasycznej terminologii – «zasłużyć» sobie na niebo przez nasze dzieła. Ono jest zawsze czymś więcej niż to, na co zasługujemy, tak jak to, że jesteśmy kochani, nigdy nie jest czymś, na co «zasłużyliśmy», ale zawsze darem”<sup>1</sup>.

Przejście od logiki należności do logiki daru nie jest łatwe, wymaga bowiem uznania, że nic nie zależy od naszej zasługi. Zapłata i należność dają pewność. Oczekiwanie na dar pozwala mieć tylko nadzieję. Czy „tylko”, skoro – jak mówi św. Paweł – „nadzieja zaś nie może” (Rz 5,5)?

Nadzieja to też pewność: pewność nadziei, a nie handlu. A ta nadzieja – jak pokazuje historia kobiety kananejskiej – dostępna jest wszystkim, także tym, którzy są „poganami”, którzy są poza porządkiem religijnym, jeśli tylko zdolni są zawołać „Panie, dopomóż mi” (Mt 15,25), choć zdają sobie sprawę, że żadna pomoc im – poganom – z Prawa się nie należy. Terry Eagleton pisze: „Ku wściekłości zelotów, faryzeuszy i prawicowych Południowców wszystkich czasów ciało [Chrystusa] jest poświęcone szczególnie wszystkim owym nieudacznikom, dłużnikom, wyrzutkom i kolaborantom z kolonii, którzy nie należą do sprawiedliwych, a wprost przeciwnie – żyją w stanie nieustannej niezgody z Prawem Mojżeszowym albo, jak goje, znajdują się w ogóle poza jego zasięgiem”<sup>2</sup>. Jak owa kobieta z dzisiejszej Ewangelii, Kanańka, po wielokroć nieczysta: bo poganka, bo mająca w domu demona, bo zachowująca się nieobyczajnie. A mimo to wielka jest jej wiara.

Żydzi nazywali pogan psami. To nie jest obca nam strategia. Niejednokrotnie słyszeliśmy zapewne o „kocie wierze” Świadków Jehowy. Przyrównywanie człowieka do zwierzęcia jest dość powszechne. Wystarczająco często słyszymy popularną inwektywę z niczemu niewinną świnia w roli głównej. To prosty językowy zabieg, by pozbawić kogoś jego ludzkiej godności. A wtedy można już traktować człowieka

<sup>1</sup> Benedykt XVI, Encyklika *Spe salvi*, Rzym 2007, 35.

<sup>2</sup> T. Eagleton, *Rozum, wiara i rewolucja. Refleksje nad debatą o Bogu*, tłum. W. Usakiewicz, Kraków 2010, s. 30.

jak zwierzę, a nie jak istotę ludzką. Jak pisze amerykański psycholog Stanley Milgram, „systematyczna dewaluacja ofiary służy jako psychologiczne uzasadnienie jej brutalnego traktowania i nieodłącznie towarzyszyła ona masakrom, pogromom i wojnom”<sup>3</sup>.

Historia zna wiele takich przypadków. W czasie wojny secesyjnej w Ameryce Północnej niejaki Henry Wirz, oficer Armii Konfederacji, a więc tzw. Południa, był komendantem obozu jenieckiego „Camp Sumter” w okolicach miasta Andersonville, w stanie Georgia. W obozie za jego kadencji zmarło blisko czterdzieści tysięcy jeńców. Podczas procesu został oskarżony o doprowadzenie do ich śmierci. Saul Levitt rekonstruuje ten proces w dramacie *Sprawa Andersonville*. W pewnym momencie, w trakcie przesłuchania przed trybunałem, komendant obozu tak mówi o swoich jeńcach, którzy próbowali ucieczki: „[...] nic nie mogło ich powstrzymać... to rycie... Nocami... Nie śpię. Nie potrzebuję ich widzieć, żeby wiedzieć, co robią. Ryją. Nocami. Kopią, kopią... starają się... daremnie... uciec... kopią, pełzną... jak szczury...”<sup>4</sup>. W tym momencie przerywa mu prokurator: „A szczury mogą zdychać i nikt nie ma z tego powodu wyrzutów sumienia”. Gdy Wirz zaoponował, prokurator stwierdził: „więc nie były to dla pana szczury – ale również nie byli to już dla pana ludzie. W duchu przekreślił ich pan jako ludzi, zrobił pan z nich coś mniej ważnego i wtedy mogli umierać i nikt nie potrzebował cierpieć z tego powodu”<sup>5</sup>. Przecież szczury to nie ludzie. Można do nich strzelać bezkarnie.

Nie będę cytował, jakimi inwektywami opisywani są dzisiaj uchodźcy. Zresztą nie tylko uchodźcy, nasi rodzeni bezdomni też. Powiem więcej – taka strategia pojawia się w każdej dyskusji o tych, których nie lubimy, również w domowych dyskusjach politycznych, a może nawet w niejednej kłótni rodzinnej. Nie będę wyliczał, do jakich zwierząt bywają przyrównywani ludzie. Wystarczy przejrzeć internet, przeczytać

<sup>3</sup> S. Milgram, *Posłuszeństwo wobec autorytetu*, tłum. M. Hołda, Kraków 2008, s. 32.

<sup>4</sup> S. Levitt, *The Andersonville Trial*, New York 1961. Korzystałem z: S. Levitt, *Sprawa Andersonville*, tłum. A. Przedpełska-Trzeciakowa, „Dialog” 1972, nr 12, s. 89.

<sup>5</sup> Tamże.



kilka dyskusji na różnych forach. Są tam i psy, i szczury, i świnie i wiele, wiele innych, bardziej jeszcze zmyślnych epitetów. I nie mogę się oprzeć myśli – a tego uczy mnie dzisiejsza Ewangelia – że wielka może tam być wiara. Nie pośród dzieci, którym się chleb należy, ale pośród – jak to mówi dzisiaj Jezus – szczeniąt, które spadający w darze chleb przyjmują z wdzięcznością.

20 SIERPNIA 2017

## Najniżsi święci

Jezus, widząc tłumy, wyszedł na górę. A gdy usiadł, przystąpili do Niego Jego uczniowie. Wtedy otworzył swoje usta i nauczał ich tymi słowami: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie.

Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni.

Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadą ziemię.

Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni.

Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.

Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą.

Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi.

Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie.

Błogosławieni jesteście, gdy ludzie wam urągają i prześladową was, i gdy z mego powodu mówią kłamliwie wszystko złe na was. Ciescie się i radujcie, albowiem wielka jest wasza nagroda w niebie” (Mt 5,1–12a).

Świętość kojarzy się nam powszechnie z doskonałością. Sięgając do języka sportowego, możemy powiedzieć, że święty to taki wyczynowiec, mistrz, złoty medalista, zwycięzca. Tak doskonały i wyjątkowy, że ani

go naśladować, ani dogonić nie wydaje się nam po prostu możliwe. Tak jakby święci byli z jakiejś innej, lepszej, wartościowszej gliny. Coś jak Usain Bolt w biegach czy Michael Phelps w pływaniu – prawie niepokonalni, gdzieś poza granicami możliwości człowieczeństwa.

Zacząłem od sportu, bo wydaje mi się, że świętość i sport są do siebie podobne. I tu, i tam jest podobne dążenie do doskonałości, do bycia lepszym, do przekraczania granic, osiągnięcia wysokiej miary. Jak wiemy, idei olimpijskiej przyświeca motto składające się z trzech łacińskich słów: *citius – altius – fortius*, to znaczy: szybciej – wyżej – silniej.

Czy nie mogłoby to być także motto tych, którzy chcieliby się stać rekordzistami w dyscyplinie świętości? Do nieba też należy dążyć szybciej, wyżej i silniej. Niedawno doczytałem, że autorem tego mota był dominikanin o. Henri Didon, który był przyjacielem barona Pierre’a de Coubertina, uznawanego za twórcę nowożytnej idei olimpijskiej. Henri Didon, który był dyrektorem szkoły, użył słów *citius – altius – fortius* na apelu podczas wręczania nagród zwycięzcom szkolnych zawodów sportowych w marcu 1891 roku, zachęcając w ten sposób uczniów do sportowej rywalizacji. Słowa te były wyhaftowane na fładze, która towarzyszyła zawodom. Tymi samymi słowami w wersji francuskiej (*Plus vite, plus haut, plus fort*) rozpoczynał się też hymn tej szkoły.

Sportowa metaforyka nie jest zupełnie nowa w mówieniu o wierze czy świętości. Sam św. Paweł pisał o sobie: „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem” (2 Tm 4,7). Nic jednak Paweł nie pisze o rekordach, a sam ma nadzieję – jak twierdzi – „na wieniec sprawiedliwości” (por. 2 Tm 4,8), a nie na „wieniec zwycięstwa”, co bardzo znamienne.

Kiedy jednak spojrzałem do dzisiejszej Ewangelii, to – jak się domyślać – cała moja sportowo-wyczynowa koncepcja świętości legła w gruzach. Po ponownym przeczytaniu ośmiu błogosławieństw pomyślałem sobie, że zamiast *citius – altius – fortius* (szybciej – wyżej – silniej) należałoby chyba powiedzieć, że motto świętości brzmi zupełnie odwrotnie: *lentius – humilior – infirmior*, to znaczy: wolniej – niżej – słabiej.

Przypomnijmy sobie Jezusowy katalog świętych: ubodzy w duchu, którzy płaczą, cisi, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, miłosierni, czystego serca, którzy wprowadzają pokój, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, ci, którym ludzie urągają i na których mówią kłamliwie wszystko złe z powodu Jezusa. Czy oni żyją szybciej, wyżej, silniej? Czy może jednak wolniej, niżej, słabiej. Świętość jest w kategoriach tego świata swoistą powolnością, uniżeniem, słabością.

Papież Franciszek wprowadził do kościelnego języka słowa dotychczas w tym języku nieznane: peryferie, kultura odrzucenia, kultura wysypiska, kultura wyrzucania na śmietnik. Na śmietnik wyrzuca się starych i dzieci, nienarodzonych i umierających, swoich i obcych. Na marginesie świata, by nie powiedzieć – na śmietniku, mieszkają owi powolni, uniżeni, słabi; ci, którzy odpadli w zawodach do sukcesu, w wyścigu szczurów, stali się „odpadkiem” rozwijającej się ślepo cywilizacji. Kto wie, czy nie ma tam więcej świętych niż wśród tych, którzy stanowią ekonomiczne, kulturowe, a czasami nawet religijne centrum świata.

Świętość jednak chyba nigdy nie zmieniła adresu, ona zawsze tam mieszkała, skoro św. Jan pisze dzisiaj, że święci, odziani w białe szaty, które wypłukali we krwi Baranka, „przychodzą z wielkiego ucisku” (Ap 7,14). Święci nie są herosami na kształt mistrzów sportu, ale zdarza się, że ich życie jest o wiele bardziej heroiczne, zaś ich śmierć bywa niezauważalna. Dzisiejsza uroczystość jest upomnieniem się o tych świętych, o świętych niedoskonałych, a przecież błogosławionych.

Jedną z moich ulubionych książek o świętych jest *Najniższy* (*Le Très-Bas*) Christiana Bobina. To opowieść o św. Franciszku. Autor opisuje go za pomocą metafory psa, który wraz z aniołem poszedł za młodym Tobiaszem, bohaterem ze Starego Testamentu.

Książka kończy się w bardzo niecodzienny sposób. W ostatnim rozdziale nie pojawia się już sam święty, a bohaterem staje się zdjęcie wycięte ze współczesnej gazety. Towarzyszy ono artykułowi o rodzinie pochodzącej z biednej dzielnicy, żyjącej w którejś z wielkich metropolii. W tym artykule pojawiło się słowo „odpadek”. „To słowo, w pierw-

oznaczające zawartość śmietników, stopniowo objęło tych, którzy tam znajdują pożywienie” – jak pisze autor. Ludzie odpadki.

Posłuchajcie zakończenia: „Wyciąłeś zdjęcie z gazety. Piękne zdjęcie rodzinne – na pierwszym planie ojciec i matka w otoczeniu chyba dziesięciorga dzieciaków o dziwnie promiennych, otwartych twarzach. Nie bardzo wiedziałeś, po co przechowywać ten obraz. [...] Po kilku dniach sprawa się wydała. Po kilku dniach za grupką dzieci wreszcie zobaczyłeś anioła. Trochę go zasłaniały, a na pewno nie zauważył go fotograf. [...] Nie patrzy w obiektyw. Jest nazbyt pochłonięty, pochyla się nad pojemnikiem i grzebie, patrzy, czy przypadkiem nie dałoby się tam znaleźć jeszcze jakiegoś śmiecia. Na razie, niemal niewidoczny, odegnany na dalszy plan, w mglistą dal obrazu, trzy kroki z tyłu, niedbale, sunie śladem dzieci, wózka i anioła – ten drugi, pies Tobiasza. I radość w jego chodzie, bezsensowna radość – przeciwieństwo kupieckiej wesołości. W tej chwili zrozumiałeś, co masz przed sobą. Na widok radości parszywego psa pojąłeś, że jesteś przed tym, co nosi miano świętego obrazu”<sup>1</sup>.

Takich świętych obrazów nie wiesza się na ścianach, próżno ich szukać po kościołach. Ale za to pełne są ich nasze gazety, ekrany, monitory. Wystarczy tylko wyteńczyć wzrok, popatrzeć gdzie indziej – tam, gdzie ludzie żyją wolniej, niżej, słabiej. Tam jest mnóstwo aniołów i świętych. Najniżsi święci. To oni patrzą dzisiaj na nas z góry.

1 LISTOPADA 2017

<sup>1</sup> Ch. Bobin, *Najniższy*, tłum. A. Kuryś, Poznań 1995, s. 124–126.

## Vademecum kaznodziei pasywnego

### 1.

Nie zaczynaj kazania od: „Zebraliśmy się dzisiaj na Gorzkich Żalach, aby po raz kolejny rozważać Mękę Pańską...”, chyba że jest ci to potrzebne ze względów konstrukcyjnych, a wstęp ten twórczo wykorzystasz dalej. Jeśli nie, nie zaczynaj tak. Ci, którzy przyszli, wiedzą, dokąd przyszli, po co się zebrali i co będą rozważać. Nie mów rzeczy oczywistych. Nie ma na to czasu.

### 2.

Nie powtarzaj co tydzień, jaki jest pomysł na cykl tematyczny twoich kazań pasyjnych. Nie mów wciąż, że „w tym roku zatrzymujemy się przy postaciach z Męki Pańskiej...”, nie przypominaj, że nawiązywać będziesz do kolejnego słowa z krzyża, etapu Męki, wydarzenia, świętych, którzy rozważali Mękę Pańską itd. Mów tak, aby to było oczywiste. Jeśli dla słuchacza to oczywiste nie jest, to znaczy, że myśl przewodnia jest nieczytelna.

### 3.

Pamiętaj, że w Ewangelii jest WSZYSTKO, co konieczne. Uważaj, by Katarzyna Emmerich czy inna wizjonerka nie były ważniejsze od Mateusza, Marka, Łukasza i Jana. Mów tak, aby słuchacze wiedzieli,

co jest Objawieniem, w które trzeba wierzyć. Wszelkie wizje są jedynie niekoniecznym uzupełnieniem fabuły. Bez nich też jest możliwe kazanie pasyjne.

4.

Nie uprawiaj wiwisekcji Jezusa. Nie epatuj detalami anatomii i fizjologią bólu. Pamiętaj, że Jezus nie zbawił nas przez ból, ale przez miłość, a Jego cierpienie duchowe ważniejsze jest od fizycznego. Tych dwóch z prawej i lewej Jego strony bolało tak samo, a może nawet bardziej, bo połamano im golenie. W historii świata wynaleziono wiele przemyślniejszych tortur, ale nikt tak duchowo nie cierpiał jak Jezus, bo nikt inny nie był Bogiem na krzyżu. Zbawienie to nie licytacja bólu.

5.

Nie krzycz na ludzi obecnych w kościele, nie gań ich, nie moralizuj. Na Gorzkie Żale przychodzi „najlepsza częśćka”, a na pewno ta najpobożniejsza. Tych, co nie chodzą na Gorzkie Żale czy w ogóle do kościoła, tutaj nie ma, więc nie mów o nich i do nich, to znaczy do nieobecnych.

6.

Nie bądź nachalnie dydaktyczny. Nie powtarzaj wciąż: „Ile to razy Bóg nam przebaczył? I co od nas dostaje w zamian?” itp. Nie wzbudzaj poczucia winy, ale poczucie wdzięczności. *Mysterium salutis* jest ważniejsze niż *mysterium iniquitatis*. Niech ludzie wracają do domów ze świadomością, że dzięki Męce Pańskiej zostali zbawieni, a nie że wciąż są niewdzięczni Bogu za to, co dla nich zrobił. Nie dobijaj ludzi pytaniami „A ty?”. Wdzięczność za miłość bardziej ich skłoni do zmiany niż poczucie winy.

7.

Opowiadaj. Pozwól ludziom wejść „w przepaść Męki”. Pomóż im przeżyć ją razem z Jezusem. Niech się zanurzą w wydarzenia zbawcze. Wyjaśnij, co konieczne, by łatwiej było im wejść w opowiadany świat.

Zinterpretuj, zaktualizuj. To z konfrontacji Męki Jezusa i własnej historii ma się zrodzić pragnienie rewizji życia. I nie zapominaj, że Pasja jest paschalna.

8.

Przykłady, których chcesz użyć (choćby z życia świętych), potraktuj jak lustra, w których odbija się Męka Pańska. Ona trwa w cierpieniach ludzi. Jak słusznie pisał Blaise Pascal, „Jezus będzie konał aż do skończenia świata; nie wolno nam spać przez ten czas”<sup>2</sup>. Szukaj znaków Pasji w codzienności.

9.

Popracuj nad innym zakończeniem niż modlitewna doksologia, która usypia słuchacza: „Módlmy się, abyśmy umieli...”. Bezpośrednie wezwanie do zmiany i nawrócenia typu (dość bezradne) „zechciejmy” też nie jest lepsze. Zostaw słuchacza z historią Jezusa, a nie z twoim pouczeniem.

10.

Nie bój się ciszy po kazaniu, zwłaszcza jeśli je głosisz *coram Sanctissimum*. Niech trwa. Bóg mówi nie tylko wtedy, gdy ty mówisz.

<sup>2</sup> B. Pascal, *Myśli*, 736, tłum. T. Boy-Żeleński, Warszawa 1983, s. 229.





## Spis treści

Proroctwo Jego zgonu już się w świecie szerzy...	5
O inicjalach Samarytanina	8
Pamięć Maryi. Na Nowy Rok...	11
Metamorfozy Boga i nasze	16
Dobro, co rozsądza system	20
O (nie)podobieństwie, cesarze i synodzie	24
O naturze królestwa Bożego (na ziemi)	28
Na Nowy Rok. O wolności od dyktatu chwili	33
Niebo paradoksów	38
Krzyż(yk) na nienawiści	41
Miłosierdzie, czyli spojrzenie, które ocala	45
Pięćdziesiątka Trzech Króli	50
Miłosierdzie, które się śpieszy	54
Koszta miłosierdzia	60
Dzieci wichru Wieczernika	64
Dać się Bogu zobaczyć	68
Bezdomność duszy	72
Bezdomność Jezusa (i nasza)	75
(Nie)godni pokoju	79
Ścisk w dołku	83
Jedno, czego trzeba	87
Zamknięte drzwi i otwarte okna	91
Wtedy dzieje się niebo	96

Dżihad uczniów Chrystusa .....	100
Cisza Wniebowzięcia .....	104
Bóg, który się nie upomina .....	108
Nosiciele krzyża .....	113
Czas wołania kamieni? .....	118
Spojrzenie w górę .....	123
Dobre rzeczy na małej przestrzeni .....	127
Słudzy i służący .....	132
Bóg po naszej stronie .....	136
Modlitwa zza filara .....	140
Wszyscyśmy święci .....	143
Bóg przychodzi „na <i>cito</i> ” .....	149
Myślenie „nie z tego świata” .....	154
Pan Bóg niegrzecznych .....	159
Wpatrzeni w Baranka .....	163
Co się wydarzyło nad Jeziorem Galilejskim? .....	167
Staruszka na pasach, czyli jak uratować cywilizację europejską? .....	172
Rozbrajanie zła .....	176
Nienasycenie .....	180
O pragnieniu i wodzie z butelek .....	184
W białych szatach .....	189
Każdego dnia Wielkanoc .....	192
Otwarte serce miłosierdzia .....	197
Kim jest ten trzeci? My wiemy .....	202
Dojrzał przed Bogiem .....	208
Dzwon z Aubrac, czyli (nie)obecność Boga .....	212
Komfort Kościoła .....	216
Nie daj się, duszo, we mnie zabić .....	220
Stary poganin we mnie .....	225
Siewca, czyli kaznodziejska (nie)dola .....	230
Chleb z trującej maki .....	234
O ślepej wierze i wzroku, co jej przeszkadza .....	239
Wiara szczeniąt .....	244
Najniżsi święci .....	249
Vademecum kaznodziei pasywnego .....	253
Indeks cytatów biblijnych .....	259

# Indeks cytatów biblijnych

## STARY TESTAMENT

### Pięcioksiąg Mojżeszowy

#### KSIĘGA RODZAJU

Rdz 1,27	25
Rdz 3,6	182
Rdz 3,7–8	155
Rdz 3,21	145, 155
Rdz 9,6	177

#### KSIĘGA WYJŚCIA

Wj 14,15	191
Wj 14,29	191
Wj 17,8–13	136
Wj 20,4	25
Wj 21,24–25	177
Wj 22,26–27	178

#### KSIĘGA LICZB

Lb 21,9	124
---------	-----

#### KSIĘGA POWTÓRZONEGO PRAWA

Pwt 21,23	116
-----------	-----

### Księgi dziejów Izraela

#### KSIĘGA TOBIASZA

Tb 11,4	245
---------	-----

## Księgi mądrościowe i Psalmy

### KSIĘGA PSALMÓW

Ps 22,2	205
Ps 33,5	122
Ps 33,13–14	71
Ps 45,3	124
Ps 90,10	52
Ps 90,13	42
Ps 118,6	139
Ps 121,8	139

### KSIĘGA PRZYSŁÓW

Prz 30,8–9	182
Prz 30,16	101

### KSIĘGA KOHELETA

Koh 3,1	53
---------	----

### KSIĘGA MĄDROŚCI

Mdr 3,2	214
---------	-----

### KSIĘGA MĄDROŚCI SYRACHA

Syr 35,17	142
-----------	-----

### Księgi prorockie

#### KSIĘGA IZAJASZA

Iz 12,3	186
---------	-----

Iz 42,14	190	Mt 4,11	181
Iz 53,2	124	Mt 4,12–23	167
Iz 53,4	201	Mt 4,19	168
Iz 53,5	62, 187	Mt 4,20	168
Iz 53,12	6, 7, 48	Mt 4,22	168
Iz 55,11	233	Mt 5,1–12a	38, 143, 249
Iz 58,7	174	Mt 5,3–10	147
		Mt 5,13–16	172
<b>KSIĘGA JEREMIASZA</b>		Mt 5,15	174
Jr 2,13	185	Mt 5,38–48	176
		Mt 5,39	177
<b>LAMENTACJE</b>		Mt 5,43	176
Lm 5,21	120	Mt 5,45	238
		Mt 6,28–29	156
<b>KSIĘGA AMOSA</b>		Mt 7,10	92
Am 8,11	183	Mt 9,11	141
		Mt 9,12	162
<b>KSIĘGA DANIELA</b>		Mt 9,36	57
Dn 12,1	42	Mt 10,26–33	220
		Mt 10,28	220, 222, 223
<b>KSIĘGA OZEASZA</b>		Mt 10,37	225
Oz 11,8	62	Mt 10,37–42	225
		Mt 10,38	228
<b>KSIĘGA HABAKUKA</b>		Mt 10,39	229
Ha 2,4	135	Mt 13,1–9	230
		Mt 13,24–43	235
		Mt 13,24–43	235
		Mt 13,29	235
<b>NOWY TESTAMENT</b>		Mt 14,22–33	240
		Mt 14,22–33	239
<b>Ewangelie</b>		Mt 14,26	240
		Mt 14,28	240
<b>EWANGELIA WEDŁUG ŚW. MATEUSZA</b>		Mt 14,29	240, 241
Mt 1,1–16	6, 47	Mt 14,30	240
Mt 1,18–24	159	Mt 14,31	241
Mt 1,21	159	Mt 15,21–28	244
Mt 2,1–12	50	Mt 15,22	244
Mt 2,12	51	Mt 15,25	246
Mt 3,1–12	154	Mt 15,26	245
Mt 3,4	155	Mt 15,27	245
Mt 4,1–11	180	Mt 15,28	245
Mt 4,2	181	Mt 17,1–9	16
Mt 4,3	182	Mt 20,1	20, 21, 23
Mt 4,4	182	Mt 20,1–16	20, 21

Mt 20,4	21	Łk 2,44	203
Mt 20,14–15	22	Łk 2,51	11
Mt 22,15–21	24	Łk 2,52	52
Mt 22,20	25	Łk 5,30	119
Mt 22,21	24	Łk 7,1–10	72
Mt 24,34	42	Łk 7,3	73
Mt 24,37–44	149	Łk 7,7	73
Mt 25,23	135	Łk 7,9	74
Mt 25,31–46	29	Łk 7,13	57
Mt 25,36.38.43.44	155	Łk 9,11b–17	68
Mt 25,40	241	Łk 9,23	113
Mt 25,45	222	Łk 9,51–62	75
Mt 26,26–27	68	Łk 9,57	76, 78
Mt 26,52	43	Łk 9,58	76
Mt 27,46	44, 205	Łk 9,59	76
Mt 28,1–10	189	Łk 9,61	76
Mt 28,10	190	Łk 10,1	79, 82
Mt 28,16–20	212	Łk 10,1–12	79
Mt 28,17	61	Łk 10,5	80, 81, 82
Mt 28,18	213	Łk 10,5–9	80
Mt 28,20	213	Łk 10,6	81
		Łk 10,10–11	82
		Łk 10,12	82
		Łk 10,25–37	8, 83
		Łk 10,30	203
		Łk 10, 33	85
		Łk 10,33	57
		Łk 10,34	84, 260
		Łk 10,35	84
		Łk 10,38–42	87
		Łk 10,39	87
		Łk 10,40	87
		Łk 10,41	87
		Łk 10,42	88
		Łk 11	91, 92, 94, 141
		Łk 11,1–13	91
		Łk 11,10	92
		Łk 11,13	92
		Łk 12,35–40	96, 132
		Łk 12,49.51	100
		Łk 12,49–53	100
		Łk 14,1.7–14	108
		Łk 14,12	110
		Łk 14,25	113, 114
<b>EWANGELIA WEDŁUG ŚW. MARKA</b>			
Mk 1,20	168		
Mk 8,24	242		
Mk 9,2	17		
Mk 10,21–22	171		
Mk 12,34	31		
Mk 13,24–32	41		
Mk 13,26	42		
Mk 14,34	190		
Mk 15,27	6, 48		
Mk 15,39	198		
Mk 16,12	16, 193		
<b>EWANGELIA WEDŁUG ŚW. ŁUKASZA</b>			
Łk 1,38	14		
Łk 1,39–56	105		
Łk 1,48.52	105		
Łk 2,1	5, 6, 45, 47		
Łk 2,1–7	45		
Łk 2,16–21	11		
Łk 2,19	11		
Łk 2,35	13		

Łk 14,25–33	113
Łk 14,26	225
Łk 14,27	114
Łk 15,1	55, 118, 122
Łk 15,1–3.11–32	55
Łk 15,1–10	118
Łk 15,2	119
Łk 15,11–32	21, 118, 133, 144, 180
Łk 15,14	181
Łk 15,16	181
Łk 15,17.18.20	56
Łk 15,20	55, 57, 85
Łk 15,31–32	22
Łk 15,32	57
Łk 16,1–13	128
Łk 16,3	129
Łk 16,8	129
Łk 16,10	130
Łk 16,21	245
Łk 17,5–10	132
Łk 17,9	133
Łk 18,1–8	136
Łk 18,7	137
Łk 18,8	139
Łk 18, 9	141
Łk 18,9	140, 142
Łk 18,9–14	140
Łk 18,11	141
Łk 18,13	142
Łk 19,40	122
Łk 21,12	64
Łk 23,35	69
Łk 23,46	125
Łk 24,13–35	16, 203
Łk 24,14	206
Łk 24,15	206
Łk 24,16	17, 193
Łk 24,17	203
Łk 24,18	206
Łk 24,25	206
Łk 24,33	206
Łk 24,34	206
Łk 24,35	206
Łk 24,37	193

## EWANGELIA WEDŁUG ŚW. JANA

J 1,19–28	33
J 1,29	34, 163, 164
J 1,38	168, 169
J 1,39	168
J 3,13–17	123
J 3,15	123
J 4,5–15.19b–26.39a.40–42	185
J 4,6	186, 187
J 4,7	187
J 4,14	186
J 6,26	114
J 7,37–38	186
J 12,21	69
J 12,32	124
J 13,4–5	98
J 13,14	98
J 13,30	98
J 14,15	64, 208, 209
J 14,15–16.23b–26	64
J 14,15–21	208
J 14,16	216
J 15,20	64, 218
J 18,36	158
J 19,27	14
J 19,30	76
J 19,34	61
J 20,1	192, 195
J 20,1–9	192
J 20,9	195
J 20,19	61, 64, 198, 216, 218
J 20,19–31	61, 198
J 20,22	65
J 20,26	194
J 20,27	201
<b>Dzieje Apostolskie</b>	
Dz 1,8	66
Dz 1,9	212
Dz 1,10	212
Dz 1,11	212
Dz 2,1	65

Dz 2,2	65
Dz 2,5	65
Dz 2,6	65
Dz 2,7	66
Dz 2,9–11	66
Dz 2,11	66

### **Listy św. Pawła**

#### **LIST DO RZYMIAN**

Rz 5,5	246
Rz 5,8	150
Rz 6,9	194
Rz 7,24	116
Rz 8,35	42
Rz 10,17	240

#### **PIERWSZY LIST DO KORYNTIAN**

1 Kor 1,23	214
1 Kor 1,27	157, 158
1 Kor 13,12	242

#### **DRUGI LIST DO KORYNTIAN**

2 Kor 4,4	25
-----------	----

#### **LIST DO GALATÓW**

Ga 3,13	116
Ga 3,27	145

#### **LIST DO EFEZJAN**

Ef 2,8–9	111
----------	-----

#### **LIST DO FILIPIAN**

Flp 2,6–7	135
Flp 2,7	116

#### **LIST DO KOŁOSAN**

Kol 1,15	25
Kol 3,4	194

### **Listy pasterskie**

#### **PIERWSZY LIST DO TYMOTEUSZA**

1 Tm 1,15	121
-----------	-----

#### **DRUGI LIST DO TYMOTEUSZA**

2 Tm 4,7	250
2 Tm 4,8	250

#### **LIST DO HEBRAJCZYKÓW**

Hbr 12,22	111
-----------	-----

### **Listy powszechnie**

#### **PIERWSZY LIST ŚW. PIOTRA**

1 P 1,18–19	112
1 P 5,8	137, 139

#### **DRUGI LIST ŚW. PIOTRA**

2 P 1,19	195
----------	-----

### **Apokalipsa św. Jana**

Ap 1,4	151
Ap 5,12	164
Ap 7,14	144, 191, 251
Ap 21,23	191
Ap 22,16	195



